



Ken Kalfus



***Choroba
małżeńska***

Dedykuję Bobby'emu i Lauren
„[...] istnieje pewna swoista przypadłość, która dotyka ten naród i co
sezon sieje w nim dziwne spustoszenie”.
Oliver Goldsmith, *The Citizen of the World*, 1760

WRZESIEŃ

W drodze na lotnisko Newark Joyce odebrała telefon: rozmowy w Berkeley zostały ostatecznie zerwane. Zamknęła na chwilę oczy, a potem poprosiła taksówkarza, żeby zawrócił. Było jeszcze wcześnie. Udała się prosto do swego biura przy Hudson Street, żeby się zastanowić, jak zaradzić skutkom fiaska negocjacji, a przede wszystkim, jak uniknąć odpowiedzialności za nie. Mniej więcej po godzinie zaczęli się schodzić współpracownicy. Kiedy mijali otwarte drzwi biura Joyce, zdawało jej się, że ktoś wspomniał o samolocie, który wbił się w wieżę World Trade Center. World Trade Center: te słowa wywołały nagłą myśl, którą można by porównać do zwierzątka na moment wystawiającego łepkę z nory, żeby zaraz z powrotem się schować pod ziemię. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała, może się zdrzemnęła i to był tylko sen – w końcu poprzedniej nocy spała raptem pięć godzin. Usiłując się skupić, myślała, jak by tu sformułować raport i doszła do wniosku, że nie może on być w tonie zbyt defensywnym. Jednocześnie była ciekawa, czy właśnie zdarzyło się coś, o czym będą trąbić w wiadomościach przez najbliższe parę miesięcy, aż do znudzenia. Jeśli tak, sto razy zdąży się dowiedzieć, co to było. Uznała, że był to pewnie niewielki samolot, który spowodował miejscowe uszkodzenia (zakładając, że w ogóle chodziło o samolot i że faktycznie wleciał on w World Trade Center). Z okien jej biura nie widać wież, ale w ogrodzie na dachu przyległego budynku zauważyła kilku firmowych obiboków, którzy paląc papierosy, spoglądali w stronę dolnego Manhattanu. Wróciła do pisania, lecz po kilku minutach usłyszała krzyk i podniesione głosy. Pomyślała, że ktoś spadł z dachu.

Nawet teraz nie spieszyła się ze wstawaniem – przede wszystkim musiała zapisać plik. Jeśli istotnie ktoś spadł, dowie się o tym tak czy owak, a jej obecność i tak już biedakowi nie pomoże. Gdy jednak stanęła w drzwiach prowadzących na dach, z nieustających krzyków kolegów dowiedziała się, co się przed chwilą stało: kolejny samolot uderzył w WTC. Na wszystkich twarzach malowały się szok i przerażenie. Jedna z tych twarzy należała do dyrektora firmy, człowieka mrukliwego, słynącego z nieustępliwości, który nigdy wcześniej publicznie nie wyrażał emocji. Teraz stał z otwartymi ustami i nabiegłą krwią twarzą; wyglądał jakby się krztusił. Prawie wszyscy mieli łzy w oczach. Kobiety wtulały głowy w ramiona kolegów, za którymi na co dzień niekoniecznie przepadały. Ktoś mamrotał pod nosem: „Nie, nie, to niemożliwe...”

Joyce odwróciła głowę i ujrzała dwie wieże: w połowie jednej ziała ogromna, ognista dziura, a górne piętra drugiej spowijał gęsty, ciemnoszary dym. W dole wyły syreny. Słysząc było trzask płonących budynków odległych prawie o dwa kilometry.

Prawie wszyscy pracownicy zebrali się teraz na dachu. Joyce stała wśród kolegów oniemiała z wrażenia. Czysty błękit jesiennego nieba nad miastem jawnie drwił sobie z niego. Ktoś wyniósł przenośne radio. Ludzie urywanymi głosami dyskutowali o tym, co się mogło stać, jak duże były samoloty i jak to możliwe, że aż dwa trafiły w to samo miejsce. Ich rozmowy zamierały, zagłuszane przez chaotyczne i coraz bardziej przerażające komunikaty płynące z radia.

Po chwili jedna z wież jakby przeraźliwie jęknęła, po czym wyrzuciła w powietrze gigantyczne tumany popiołu i mniej więcej na wysokości pięćdziesiątego, sześćdziesiątego piętra wygięła się i pochyliła. Zaraz potem

cały budynek jednym zgrabnym ruchem zapadł się pod własnym ciężarem, zupełnie jakby przez te wszystkie lata był tylko fatamorganą. Kłęby dymu, popiołu i gruzu we wszystkich możliwych odcieniach czerni, szarości i bieli wzbiły się w górę, zasypując sąsiednie zabudowania. Najtrudniej było dopuścić do siebie myśl, że właśnie w tym momencie tysiące osób straciły życie.

Na okolicznych dachach także stali gapie, głównie pracownicy biur. Zakrywali usta lub trzymali się za głowy, lecz nikt nie zasłaniał oczu. Nie byli w stanie oderwać wzroku. Słysząc było jęki, przerażone westchnienia i wyrażane na głos pretensje do Boga. Jakaś stojąca obok kobieta nie mogła opanować szlochów. Tymczasem Joyce czuła, jak ogarnia ją... Tak, to była radość. Satysfakcja tak silna jak po zaspokojeniu głodu. Uniesienie. Głuchy rumor walący się wieży w końcu do niej dotarł i brzmiał, zdawało się, dobre kilka minut, a w ślad za nim nienaturalnie gorący podmuch powietrza, który rozwał jej włosy i pofalował bluzkę. Budynek zamienił się w grzyb dymu, popiołu i pochłoniętych istnień ludzkich, a ona czuła wielką radość.

– O Boże, Joyce! – krzyknęła nagle jedna z koleżanek. – Właśnie sobie przypominałam. Przecież tam pracuje twój mąż!

Przytaknęła powolnym skinieniem głowy. Jego biuro mieściło się na osiemdziesiątym szóstym piętrze południowej wieży, tej, która przed chwilą w całości zniknęła z powierzchni ziemi. Joyce przyłożyła dłoń do twarzy, aby ukryć, jak bardzo stara się powstrzymać cisnący się na jej usta uśmiech.

*

Polecono im porozumiewać się ze sobą wyłącznie za pośrednictwem adwokatów, ale tego nakazu nie sposób było przestrzegać, jako że Joyce i Marshall wciąż mieszkali we wspólnym trzypokojowym mieszkaniu wraz z

dwójką małych dzieci i ujadającym, wiecznie spragnionym pieszczoł psem rasy springer spaniel o ostrych jak brzytwa pazurach, którego Marshall niedawno przyniósł do domu, nie uzgadniając tego z nikim, nawet z własnym adwokatem. (Dzieci były zachwycone). Odkąd rok temu wnieśli sprawę o rozwód, zdążyli sobie wypracować taki system organizacji codziennego życia, który nie wymagał odzywania się do siebie. Chodziło głównie o kwestie typu: kto zawozi dzieci do przedszkola (przeważnie Joyce), a kto odbiera (przeważnie Marshall), kto ma im przygotować kanapki, kto omawia które problemy z przedszkolanką, kto robi zakupy czy pranie, kto ugotuje dzieciom obiad, popilnuje ich w weekend i tak dalej. Ilekroć coś zakłócało ten system – a zdarzało się to kilka razy dziennie: a to stan podgorączkowy, a to wieczorne spotkanie z klientem, a to mały regres w nauce korzystania z nocniczka czy niewyjaśnione zniknięcie dwulitrowego kartonu mleka kupionego zaledwie dzień wcześniej – Joyce i Marshall byli zmuszeni się do siebie odezwać i nawet najbardziej banalna wymiana zdań najczęściej przeradzała się w ostrą kłótnię obejmującą wszystkie te problemy, które przede wszystkim przywiodły ich do decyzji o rozstaniu.

To się zaczęło w bardzo kulturalny sposób, jeszcze w poprzedniej dekadzie, w innym stuleciu. Oboje doszli do wniosku, że temperatura ich związku nie jest już taka jak dawniej. W ciągu sześciu miesięcy terapii małżeńskiej, kiedy to odważyli się przełamać bariery, które przeszkadzały im rozmawiać z sobą otwarcie, Joyce i Marshall odkryli, że się nawzajem nienawidzą. Kwestie nigdy wcześniej przez nich nieporuszone – pieniądze, seks, dzieci, wybór miejsca spędzenia urlopu, nadwaga Joyce oraz wysoce rozbieżna ocena wkładu Marshalla w wychowanie dzieci – psuły teraz

atmosferę w gabinecie terapeuty, która i tak była gęsta po wizycie poprzedniej pary. Terapeuta w końcu namówił ich, żeby wzięli rozwód bez orzekania o winie i skierował do odpowiedniego sądu. Tam wszystkie argumenty odpadły lub zostały podciągnięte pod jeden punkt niezgody: pieniądze. Marshall zarabiał znacznie więcej niż Joyce, która dwukrotnie zmieniała pracę i dwukrotnie ją przerywała, żeby urodzić dzieci. Zażądała dla siebie mieszkania i tego, aby Marshall nadal ponosił połowę kosztów hipoteki oraz płacił alimenty, których wysokość miała być dopiero ustalona. Znaleźli się w impasie i przez kilka miesięcy co tydzień usiłowali go bezskutecznie przełamać, dali sobie spokój z mediacją i każde wynajęło dla siebie adwokata: Joyce kobietę, a Marshall mężczyznę. Okazało się, że są to dobrzy znajomi i przy każdym spotkaniu całowali się na powitanie.

Już wcześniej, zanim Joyce i Marshall wstąpili na drogę, która miała ich doprowadzić do rozvodu, wspólne zarobki nie bardzo wystarczały na życie. Dwie trzecie dochodów pochłaniał kredyt i utrzymanie ciemnego, nie remontowanego, ale za to fantastycznie usytuowanego mieszkania na Brooklyn Heights. Oboje uwielbiali i to mieszkanie, i jego otoczenie, swój własny z trudem zdobyty skrawek Nowego Jorku. Okna wychodziły na inny blok, ale za nim rozciągał się już Manhattan i można było dostrzec czubki wież World Trade Center. Marshalla absolutnie nie byłoby stać na jednoczesne płacenie choćby części czynszu i wynajmowanie osobnego mieszkania w tej samej okolicy ani gdziekolwiek, gdzie jest w miarę bezpiecznie – problem nie do rozwiązania, zagadka niemal filozoficzna. Joyce pragnęła go zrujnować, nie tylko finansowo, ale i psychicznie. I to na zawsze.

Jakże on jej nienawidził. Mógłby pisać sonety o nienawiści, przysięgać na nią i w jej imię dokonywać heroicznych czynów. Czasami późno w nocy, kiedy dostrzegał śpiącą sylwetkę żony na sofie w salonie (nie zgodził się oddać sypialni; Viola, ich czteroletnia córka wciąż wierzy, że mama co wieczór zasypia przed telewizorem), budziła się w nim taka agresja, że godzinami leżał na łóżku, zaciskając pięści. Być może dlatego, że nie mógł spać, bo kiedy zasypiał, zaczynał zgrzytać zębami. Tak twierdził jego dentysta, który powiedział, że można poznać po śladach na szkliwie, że Marshall jest w trakcie rozwodu. Zalecił mu pewne zabiegi, na które nie było go stać. Czy to leżąc w łóżku, czy siedząc na fotelu dentystycznym z rozdziawionymi ustami, nie mógł przestać myśleć, ile krzywdy wyrządziła mu Joyce. Jej małostkowość i irracjonalne pretensje postawiły ich wspólne życie na głowie, a właściwie na głowach dzieci. Upokarzające było to, że nie potrafił wymazać z pamięci faktu, że kiedyś kochał ją tak bardzo, jak teraz nienawidził.

Intrygował przeciwko niej, ona o tym wiedziała. Działał podstępnie, znajdując sojuszników wśród dalszych znajomych i krewnych, rozpuszczał szkodliwe plotki, podkopywał jej pewność siebie, wyprzedzając jej wyrzuty identycznymi oskarżeniami. Chwytał się wszystkich możliwych sposobów: nawet jej ojciec rzucił kiedyś mimochodem krytyczną uwagę, która świadczyła o tym, że obilo mu się o uszy coś niezbyt pochlebnego na jej temat, ale Joyce nawet nie zaprotestowała, bo uznała domniemany zarzut za zbyt mętny. Ilekroć pod jej nieobecność dzwonił ktoś z pracy w ważnej sprawie, Marshall odzywał się nieuprzejmie i nigdy nie przekazywał wiadomości. Znowu przestał opuszczać deskę klozetową, zostawiał na krawędzi umywalki oblepioną włosami i pianką maszynkę do golenia oraz

rozzucał bieliznę po podłodze. Robił wszystko to, co Joyce udało się wypełnić wiele lat temu. Usiłował też przekabacić dzieci; echa ich rozmów Joyce słyszała w wieczornych pytaniach przed snem: „Mamusi, dlaczego masz tak dużo zmarszczek? Czemu nie lubisz Snufflesa?” Snuffles to był ich pies, obślinione, cuchnące, szarpiące nogawki narzędzie w prowadzonej przez Marshalla kampanii przeciwko niej, w wojnie toczącej się w ukryciu.

Cały ten proces przeniknął do wymiaru, w którym czas jest wielkością ulotną i nieokreśloną. Joyce zarzekała się, że pozbędzie się Marshalla z domu przed końcem roku, ale ponieważ nie sprecyzowała którego, Marshall nic sobie z tej groźby nie robił. Odciął się, mówiąc, że do tego musiałaby złożyć osobny pozew. Złożyła, a potem jego adwokat złożył odwołanie. Trwało to całą zimę. W międzyczasie były jeszcze święta. Mieszkanie trzeba było wycenić – kolejne koszty. Wynajęli konkurencyjnych biegłych, dżinów i alchemików, którzy przemieniają złoto w ołów i *vice versa*. Wartość dyplomu szkoły plastycznej, który Marshall zdobył już w trakcie trwania ich związku, a więc stanowił dla Joyce podstawę domagania się części przyszłych zarobków męża, choć nie miał żadnego związku z jego obecną pracą, także trzeba było oszacować, dwukrotnie. Opłaty i honoraria szybko uszczupliły ich oszczędności, które nie tylko zostały podzielone, lecz umieszczone na osobnych kontach w dwóch konkurencyjnych bankach, zlokalizowanych w odległych od siebie dzielnicach. Emocje między małżonkami osiągnęły natężenie czegoś historycznego, plemiennego, etnicznego. Kiedy oglądali w telewizji relacje z jakiejś wojny, na przykład na Bałkanach czy Zachodnim Brzegu, myśleli sobie w duchu: „O, tak. To właśnie czuję do ciebie”.

Tymczasem trzeba było wychowywać dzieci, owoc niegdysiejszego uczucia, fatalne komplikacje ich małżeństwa, cywilne ofiary rozvodu. W weekendy opiekowali się nimi na zmianę, ale Marshall uważał, że aby zachować moralne prawo do korzystania z mieszkania, powinien przebywać w domu, kiedy przypada kolej Joyce. Większość czasu spędzał wtedy w sypialni, ostentacyjnie, złowieszczo zamykając drzwi, tak że nie było słychać nawet odgłosów włączonego telewizora. Wychodził tylko po to, żeby nakarmić i wyprowadzić psa. Joyce odmawiała wykonywania tych czynności, nawet gdy Marshalla nie było w domu, a Snuffles dostawał kręćka. Marshall był zmuszony wynająć specjalnego opiekuna.

Pewnego niedzielnego popołudnia pod koniec sierpnia coś jakby drgnęło i nastąpiło przesunięcie na styku tych dwóch ścierających się płyt tektonicznych. Joyce przyszła właśnie z dziećmi na plac zabaw. Dwuletni Victor siedział na ziemi obok ławki i bawił się znalezionym kawałkiem folii, a Viola wspinała się po drabinkach. Nagle pędem podbiegła do mamy, śmiejąc się w głos. Ma czarujący uśmiech i potrafi być przemiłym, kochanym dzieckiem. Czasami, kiedy rodzice zapatrzą się w jej lśniące brązowe oczka, kompletnie zapominają, że kiedykolwiek byli nieszczęśliwi.

– Kupa! – oznajmiła dziewczynka. Joyce zaklęła szpetnie, Viola miała już przecież cztery lata. Na szczęście wzięła z sobą ubrania na zmianę. Wyjęła z torby garść nawilżanych chusteczek i próbowała co nieco zetrzeć, ale ogrodniczki były już pełne i wszystko spływało po nogach. Viola cały czas robiła kupę, specjalnie.

– Przestań – zdenerwowała się Joyce. – W tej chwili przestań. – Miała ochotę rzucić te chusteczki, położyć się na ławce, schować twarz w ramionach i się rozplakać. Zasnąć cichutko i rzeką łez odpłynąć z tego życia.

Inne matki i opiekunki (nikogo tam nie znała) przyglądały im się chłodno. Nawet grupka dzieci grających w kosza, dotąd skupiona tylko na piłce, zaczęła ich obserwować. Joyce podniosła Violę i mijając zamknięte na cztery spusty budki toalet, podeszła z nią do kontenera na śmieci, cały czas starając się trzymać ją jak najdalej od siebie. Odpięła klamerki i zafajdane ogrodniczki zsunęły się prosto do kosza. Niedługo i tak by z nich wyrosła. Jedną ręką trzymała dziewczynkę nad koszem, a drugą usiłowała wytrzeć jej pupę chusteczką. Zajęło to minutę, może dwie. Dziecko wciąż było brudne. Joyce wsunęła jej gołe i chichoczące ciało w czyste spodenki, lecz nagle zauważyła, że przy ich ławce dzieje się coś bardzo niedobrego. Aż ją ścisnęło w żołądku. Vic darł się wniebogłosy, trzymany w ramionach przez jakiegoś rozchełstanego szaleńca, który z obłędem w oczach coś wykrzykiwał. To był jej mąż. Przyszedł z psem.

– Gdzieś... – Marshall z trudem wydobywał z siebie słowa. Cały się trząsał, drżał, wyglądał, jakby za chwilę miał wystrzelić w kosmos. – Ty... była?

– Viola narobiła w spodnie.

– Zostawiłaś go!

– Odpieprz się. Musiałam ją umyć.

Snuffles pewnie pomyślał, że mówią o jedzeniu. Szczekając i merdając ogonem, skoczył na Joyce i radośnie wbił się pazurami w jej udo. Zachwiała się do tyłu, a Viola w wilgotnym ubraniu przywarła jej do bluzki. Zobaczyła, że smycz trzyma bliski przyjaciel Marshalla, Roger, mąż jej byłej bliskiej przyjaciółki Lindy – ściślej mówiąc, niegdyś najbliższej. Rok temu, zanim zdecydowali się powiedzieć znajomym o swoich kłopotach małżeńskich, Marshall zwierzył się ze wszystkiego Lindzie i Rogerowi

podczas jednej długiej nocy pełnej łez, przytulania i wzajemnych zapewnień o dozgonnej przyjaźni. Teraz Roger uciekał ze wzrokiem, skrępowany tym spotkaniem.

– Tyle czasu? – krzyknął Marshall. – My tu jesteśmy od pięciu minut! Specjalnie patrzyłem na zegarek. Porywacz już dawno byłby na drugim końcu miasta! Tym razem przegięłaś, Joyce. Jesteś skończona. Mój adwokat udowodni przed sądem, że nie nadajesz się na matkę.

Dotrzymał słowa: wspomniał o incydencie na kolejnym spotkaniu w piątek i powiedział, że w razie czego na świadka powoła Rogera. Prawniczka Joyce poradziła jej, aby się tym nie przejmowała, ponieważ musiałyby zrobić coś dużo gorszego, żeby stracić prawo do opieki nad dziećmi, a poza tym jej zdaniem Marshall nie ma żadnych argumentów, bo sprawa opieki w ogóle nie stanowiła dotąd problemu. Joyce wiedziała, że Marshall nawet by nie chciał być głównym opiekunem, ale zrobił to z czystej złośliwości. To wystarczający straszak, by ją w końcu zmusić do obniżenia lub całkowitej rezygnacji z żądań finansowych co do hipoteki – a sama mieszkania nie utrzyma, nie ma takiej możliwości. Co za perfidia! Czowała się pobita, sponiewierana, uduszona i porzucona. Siła jego nienawiści była niewyobrażalna. Jak ona mogła tak zostawić Victora? Wszystko się teraz sprzysięgło przeciw niej: przytyła kolejne dwa kilo, rozmowy w Berkeley utknęły w martwym punkcie, w pracy zbliżała się pora oceny rocznej.

Po tym wszystkim poszukała schronienia u rodziców w Connecticut, którzy jednak byli wyraźnie rozczarowani, że nie przyjechała z dziećmi, chociaż wiedzieli, że to nie jej kolej na spędzenie z nimi weekendu. Tymczasem na Brooklynie zapanował spokój. Pod nieobecność Joyce

Marshall poczuł się nagle wolny, pełen optymizmu i nabrał chęci do życia. Nucił piosenki z filmów, tarzał się z dziećmi po podłodze, zabrał je do pizzerii. Potem poszli z psem na spacer wzdłuż promenady, gdzie Viola pokazywała Victorowi i kolejno nazywała wszystkie najważniejsze budynki Manhattanu. W sobotni wieczór Vic zasnął przytulony do ojca. Ciężar chłopca na piersi wpłynął nań kojąco, zwłaszcza że sam czuł się wyjałowiony i pusty. Ciało dziecka było realne, prawdziwe, kochające. Po raz pierwszy od czasu, gdy lont rozvodu został podpalony, Marshall uwierzył, że mógłby sobie poradzić jako samotny ojciec.

Ten cudowny weekend przedłużył się do poniedziałku. Joyce prosto od rodziców pojechała do pracy, a potem zjadła obiad na mieście. Marshall w pogodnym nastroju przywiózł dzieci z przedszkola, nakarmił i posadził przed telewizorem, żeby móc przejrzeć raporty, które przyniósł z pracy. Dwukrotnie przeszkodził mu telefon, za każdym razem do Joyce. Najpierw dzwonił jakiś kretyn z Kalifornii, któremu nie udało się złapać jej na komórce. Zdyszany i zaaferowany, najwyraźniej niezorientowany w ich rodzinnej sytuacji, szczegółowo wyłuszczył Marshallowi, że jakieś tam negocjacje ruszyły z miejsca, ale niezbędna jest obecność Joyce. Najlepiej, gdyby przyleciała jutro z samego rana. Potem zadzwoniła kobieta z biura podróży, która na polecenie owego kretyna zarezerwowała dla niej bilet na samolot z Newark i załatwiła wszystkie formalności.

Marshall pomyślał, że wygodniej byłoby jej lecieć z La Guardi, ale się nie odezwał. Z zasady nie miał ochoty pomagać Joyce w czymkolwiek. Zanotował informację w notesie, nie zdecydowawszy jeszcze, czy ją przekaże – każdy taki gest mógł zostać odczytany jako oznaka słabości, zaproszenie do stołu rokowań, przeprosiny za wszystkie poprzednie

nieprzekazane wiadomości, a nawet jako przebaczenie za to, że ona nie przekazywała mu wiadomości. Z drugiej strony, oto pojawiła się okazja do pozbycia się jej z domu, może nawet do końca tygodnia. Rozważył wszystkie za i przeciw i wreszcie na osobnej karteczce nagryzmolił (tak, by ledwie mogła odczytać) numer lotu i nazwę hotelu. Krótko i zwięźle, bez żadnego podpisu ani zwrotu powitalnego. Następnie położył ją w kuchni na blacie pod mikrofalówką, gdzie najprawdopodobniej nie zostanie zauważona.

Jednak Joyce wróciła do domu głodna. Zmuszona wbrew własnym przekonaniom odgrzać sobie mrożone ciasto, znalazła karteczkę. Ucieszyła się, że drzwi do pokoju Marshalla są zamknięte, bo bała się, że niechcący wyrwie się jej z ust jakieś słowo wdzięczności. Naładowała komórkę i spakowała walizkę. Nazajutrz rano jej taksówka przyjechała tak wcześnie, że to Marshall musiał zawieźć dzieci do przedszkola, co oczywiście było powodem karczemnej awantury, połączonej z trzaskaniem drzwiami.

Marshall zaczął ubierać dzieci, kiedy jeszcze spały.

– Gdzie jest mama? – wymamrotała Viola.

– W Berkeley. To w Kalifornii, niedaleko San Francisco. Zostawiła cię, żeby polecieć do Kalifornii.

– Przed śniadaniem?

Nie mając już czasu na wyjście z psem, Marshall zanotował w myślach, żeby zaraz po przyjeździe do pracy zadzwonić po opiekuna. W końcu odprowadził dzieci do przedszkola, gdzie wdał się w długą i niezwykle sympatyczną pogawędkę o niczym z wychowawczynią Violi, młodą, energiczną dziewczyną z kręconymi włosami. Prawdopodobnie dopiero co skończyła college, cerę miała świeżą i rumianą niemal jak jej podopieczni.

Podobała się Marshallowi i choć nie zostało to do końca potwierdzone, a możliwe, że było tylko pobożnym życzeniem (jak ten nieśmiały optymizm w kwestii samotnego rodzicielstwa) mającym uleczyć jego rozpaczliwy stan emocjonalny, złożony z poczucia klęski, bezużyteczności, nieatrakcyjności i własnej śmiertelności, wyglądało na to, że on jej też. Niestety, był już spóźniony do pracy.

Godzinę później leżał na ziemi w stercie gruzu, na którą wpadł po ciemku, w miejscu, którego nie umiał rozpoznać, po serii zdarzeń, których nie potrafił ani uporządkować, ani w pełni ogarnąć. Pamiętał panikę przy windach, wybuchy, sprzeczne komunikaty alarmowe, pandemonium na schodach. Nawet nie dotarł do biura. W gęstych od dymu i pyłu ciemnościach rozlegały się jęki, płacz i żalosne wołanie o pomoc. Nie było czym oddychać. Gdzieś ciekła woda, dźwięcznie pluszcząc niczym strumyk na alpejskiej polance. Część sufitu i ścian zawaliła się, i albo coś spadło na Marshalla, albo on w coś mocno uderzył. Ludzie przyszedli tu za nim po schodach. Ucieczka w górę wydawała się nielogiczna, ale Marshall był przekonany, że tak go właśnie poinstruował policjant na dole. A teraz pewnie utknęli tu na dobre.

Podniósł się z ziemi i dotknął głowy. Była wilgotna z jednej strony, pewnie od krwi, ale stwierdził, że żyje i jest przytomny. Zachował nieznośną jasność myśli. Doskonale pamiętał wszystko, co zdarzyło się wcześniej tego ranka: kłótnię z Joyce, flirtowanie z panną Naomi. Dotarło do niego, że to są prawdopodobnie ostatnie chwile jego życia i nigdy już nie zobaczy Violi i Vica; już nigdy nie będzie mógł o nich pomyśleć. Pamiętał też, że musi zadzwonić do opiekuna, bo inaczej pies obsika chodnik w przedpokoju.

Jeden już zniszczył. Cementowy pył oblepiał mu twarz i nie wiadomo czemu czuć było woń paliwa lotniczego.

Tu i ówdzie rozlegały się wołania: „Policja! Policja! Jesteśmy uwięzieni!”. Nie było słycać odzewu, jedynie bliskie odgłosy syren na ulicy.

Marshall przesunął ręką po gruzowisku, ale natychmiast ją cofnął, natrafiwszy na wyszczerbiony fragment szyby z rozbitego okna. Zauważył, że trochę dalej mrok nieco się rozrzedza, więc ruszył przed siebie w stronę bladej poświaty. Idąc, osłaniał twarz dłońmi na wypadek, gdyby znów natknął się na szkło. Zdał sobie sprawę, że przechodzi przez okno. Wymacał dłońmi coś, co wyglądało na jakiś słup nośny. Odwrócił się i zawołał:

– Chyba znalazłem wyjście!

Potknął się o kolejną stertę gruzu, ominął ją i nagle znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu między wieżami. Krajobraz jak z innej planety, zimny, nieprzyjazny. Ostre światło poraziło go w oczy. Cofnął się gwałtownie. Spopielone strzępki opadały z góry na kilkucentymetrową warstwę popiołu, stopniowo zasypując ślady uciekających stóp. W popiele dopalały się szczątki jakichś maszyn, kawałki betonu, które spadły z wież oraz coś jeszcze, co dało się rozpoznać dopiero po chwili. Tak, to były ludzkie części ciała. Także całe zwłoki, porozrzucane na kamiennych płytach dziedzińca. Zwęglone notatki, raporty, wydruki, zestawienia, a wokół nich wirujące konfetti z żółtych karteczek, niczym dusze ulatujące w zaświaty. Z budynku wybiegali ludzie, niektórzy z krzykiem, nakrywając głowy aktówkami, mimo że to, co spadało z góry, było znacznie większe od aktówek. Z górnych pięter wylewały się języki roztopionej stali i w zderzeniu z zimnym podłożem wybuchały malowniczą fontanną iskier.

– Jest wyjście! Chodźcie! – zawołał za siebie do wnętrza budynku, prosto w kłęby szarego dymu.

Ale ludzie sami zaczęli wychodzić. Pierwsza szła roztrzęsiona kobieta w białej bluzce pokrytej smugami sadzy pomieszanej ze łzami. Nie miała butów. Pod wpływem światła zamrugła oczami, a potem jeszcze raz, kiedy ujrzała widok na dziedzińcu. Wzdrygnęła się.

Deszcz szczątków spadających z góry gęstniał z każdą minutą. Kuląc się pod uderzeniami drobnych, wbijających się w ciało przedmiotów, Marshall przywarł do bocznej ściany budynku. Kobieta w białej bluzce ruszyła w stronę porzuconych wózków z hot dogami, które stały obsypane popiołem na drugim krańcu dziedzińca. Biegła w samych rajstopach, zwinnie przeskakując wystające fragmenty rumowiska. Z górnych pięter cały czas spadały na ziemię ciała kobiet i mężczyzn, może nawet kolegów Marshalla z biura.

Z budynku wylaniały się kolejne ludzkie cienie, powoli się materializując, kaszląc i przecierając oczy. Wstrząśnięci widokiem rzezi na dziedzińcu, nie zauważali Marshalla. Od razu uciekali, jedna para trzymała się za ręce. Niebo wypełniało niemiłosierne wycie syren. Marshall wiedział, że powinien uciekać, ale coś go powstrzymywało. Zastanowił się, skąd u niego taka nagła utrata instynktu samozachowawczego. To przez ten pieprzony rozwód – wyssał z niego wszystkie siły. Odwrócił się za siebie i zawołał:

– Hej, jest tam ktoś jeszcze?

Nikt nie odpowiadał. Marshall schylił się pod zwisającą framugą okna i cofnął kilka kroków w głąb ciemnego korytarza. Dym i pył parzyły oczy. Miał wrażenie, że budynek się zatrzęsł. Przyrzekł sobie, że zrobi jeszcze

tylko jeden krok, ale coś go pchało dalej. Na końcu korytarza dostrzegł zjawę. Słyszał jej oddech i czuł zapach jej strachu, wcale nieróżniący się od jego własnego.

– Proszę pana – powiedział. – Musi pan uciekać. Wymacał rękaw i pociągnął. Zaskoczyła go jego materialność. Zjawa, do której należał, poruszała się bez słowa. Marshall wyprowadził mężczyznę tą samą drogą, która miała może dziesięć metrów, nie więcej, lecz tym razem wydawała się znacznie dłuższa. To było jak wyprawa albo przejście do innego świata. Ogarnęła go chłodna pewność siebie. Czuł, że robi coś dobrego, gdy tymczasem wszystko, co się działo między nim a Joyce przez te ostatnie dwa lata, było wyłącznie złe. Walcząc z nią, nawet kiedy bronił swych najbardziej podstawowych interesów, miał wątpliwości, czy postępuje właściwie – robił po prostu to, co konieczne. Teraz, w chwili zagrożenia, kiedy musiał podjąć decyzję i działać, doznał objawienia. Dostrzegł iskierkę nadziei. Przez ułamek sekundy zobaczył człowieka, którym jeszcze może się stać.

Wyszli na dziedziniec, Marshall odwrócił głowę, żeby się przyjrzeć swemu jeńcowi. Był starszy od niego, skronie miał przyprószone siwizną, bujne wąsy pozlepiane krwią, zaczerwienione oczy i martwy wyraz twarzy – Marshall zaczął wątpić, czy cokolwiek widzi.

– No, już prawie się wydostaliśmy – powiedział.

Mężczyzna przysiadł, opierając się o ścianę. Przez chwilę patrzył na gruzowisko, a potem opuścił głowę. Może się modlił. Marshall w zamyśleniu przygryzł wargi i poczuł na ustach smak tynku. W końcu powiedział:

– Na imię mam Marshall, a pan? Mężczyzna nawet się nie poruszył.

– Jak panu na imię?

W tym momencie na dziedzińcu zrobiło się cicho. Nikt nie wyskakiwał z okien, opadał tylko szary pył. Marshall delikatnie dotknął ramienia mężczyzny, a gdy ten nie zareagował, zaczął nim potrząsać. Przypomniawsobie, że w sytuacji kryzysowej surowe wielkowiejskie zasady dotyczące kontaktów fizycznych z nieznanymi przestają obowiązywać. Głowa mężczyzny kiwała się jak na sprężynie.

– Człowieku, powiedz, jak się nazywasz.

Mężczyzna ocknął się, uniósł głowę i szepnął:

– Lloyd.

– Lloyd – powtórzył Marshall. – A ja Marshall. Słuchaj, Lloyd, to nie jest najlepsze miejsce na odpoczynek. Zaraz coś nam zleci na głowę. Co powiesz na to, żebyśmy się stąd ewakuowali? Chodź, pójdziemy gdzieś na kawę. Lloyd, wstawaj. Musimy natychmiast uciekać, bo będzie z nami źle. Masz dzieci? Ja mam dwoje, Violę i Victora, niezłe urwisy. A twoje jak mają na imię?

Lloyd po raz pierwszy spojrzał na Marshalla. Krawędzie powiek miał zaskorupiałe, a białka oczu przekrwione i gęsto pokryte żyłkami. Marshall wolałby na to nie patrzeć, nie chciał wiedzieć, co mu się stało, ale musiał wytrzymać spojrzenie mężczyzny.

– Sarah – wymamrotał Lloyd.

– Bardzo ładnie. Ile ma lat?

– Sześć.

– To fajny wiek. Moja ma cztery i ciągle jeszcze jej się zdarza posusiać w majtki. Strasznie nas to wkurza. No, wstawaj, idziemy.

Słowo „nas” zabrzmiało fałszywie, choć w zasadzie to była prawda. Moczenie się Violi męczyło i jego, i Joyce, tyle że z osobna, nie jako wspólny problem. Marshall prowadził Lloyda pod rękę. Gdyby go puścił, upadłby. Zastanawiał się, czy ma żonę, a jeśli tak, czy jest z nią szczęśliwy. Może zdołałby mu wyjaśnić te ambiwalentne uczucia dotyczące użycia liczby mnogiej. Próbował skierować Lloyda w stronę Church Street. Mężczyzna zatoczył się jak pijany. W chwili, gdy prawie udało im się wymknąć, coś, co wyraźnie wyglądało na kobietę w granatowym kostiumie, którego krój pewnie można by jakoś opisać, a nawet określić markę, gdyby się człowiek znał na tych rzeczach, gruchnęło o ziemię kilka metrów od nich, odbiło się i rozerwało na kawałki. Po chwili spadły buty i uderzyły z hałasem o betonowe płyty chodnika.

– Nie patrz tam – jęknął Marshall. – Na litość boską, nie patrz. – Wepchnął Lloyda z powrotem na dziedziniec. To dziwne, ale w tej całej sytuacji obaj mężczyźni nadal mieli przy sobie torby, Marshall na ramieniu, a Lloyd w rękach. Ścisnął ją kurczowo, jakby poranna ucieczka stanowiła stały element jego codziennej drogi do pracy. Popiół chrzęścił pod nogami, a wokół rozrzuconych ciał widniały ciemne plamy zaschniętej krwi. W powietrzu było czuć mdlącą, słodkawą woń oparów gazu. Każdy krok wzbił w powietrze tumany popiołu. Z góry wciąż spadały jakieś rzeczy i Marshall dostał czymś w ramię. Cokolwiek się dzisiaj wydarzyło, jest potworne i na pewno przejdzie do historii. Marshall skupił wzrok na przeciwległym krańcu dziedzińca i próbował sobie przypomnieć jaki to dzień. Wiedział, że jest wtorek i że w piątek będzie czternastego, bo wtedy miał mieć ważne zebranie w pracy, ale nic więcej na tej podstawie nie zdążył obliczyć.

Tuż przed nimi nastąpił piekielny huk i błysk. Marshall zakrył twarz, uderzył go potężny podmuch gorącego powietrza. Uskoczył na prawo, popychając Lloyda, który wyślizgiwał mu się z rąk. Chwycił go mocniej za rękaw, ale poczuł, że materiał zaczyna puszczać.

– Już niedaleko – wysapał, ale zobaczył, że Lloyd go nie słyszy, że pół jego głowy (Marshall nie umiał powiedzieć które pół) zostało oderwane.

Teczka Lloyda upadła na ziemię, ukazując swą zawartość, która nagle przestała mieć znaczenie: dokumenty, raporty, kanapka zawinięta w folię. Marshall wiedział, co teraz należy zrobić. Musi ułożyć mężczyznę na przysypanej popiołem ziemi, delikatnie ale szybko, i starać się nie patrzeć na jego głowę. A potem jak najprędzej wyrzucić z pamięci wszystko, co tutaj zobaczył. Gdy odchodził, z ciała mężczyzny wydobywał się dym.

Wyszedł na ulicę pełną porzuconych, płonących samochodów. Między nimi biegali spanikowani ludzie. Do tej pory nie było w tym nic niezwykłego; wiadomo, że na całym świecie ludzie gdzieś uciekają przed swymi własnymi lokalnymi kataklizmami. Dzieci – nie zdołał dokończyć myśli. Był na wysokości Chambers Street, gdy usłyszał za plecami potężny huk, a po nim przeciągły rumor: jedna z wież zaczęła się walić. Tłum zareagował zbiorowym jękiem i okrzykami przerażenia. Policjanci stojący w głębi ulicy machali rękami, nakazując wszystkim uciekać. Ryk upadającego budynku brzmiał jak spieniona fala rozbijająca się o brzeg i zdawał się unosić Marshalla nad ziemią. Gruz sypał mu się na plecy, a nos i usta wypełniał kredowy pył. Pędził przed siebie zupełnie bez wysiłku, jakby nic nie ważył. Torba objęła mu się o biodro. Gdy wreszcie zwolnił i spojrzął za siebie, zobaczył kobiety i mężczyzn wyłaniających się niczym nimfy i

serafini z olbrzymiej chmury szarobiałego pyłu, która w ten słoneczny letni dzień okryła cały Dolny Manhattan.

Marshall musiał jakoś wrócić na Brooklyn, do przedszkola, ale na razie dołączył do milczących szeregów wielkiego marszu na północ. W okolicy Canal Street jakiś sanitariusz wyszedł na środek ulicy, delikatnie chwycił Marshalla za rękę i zaprowadził do punktu medycznego, gdzie zdezynfekowano i opatrzone mu czoło. Mieli tam małe przenośne radio, które nadawało wiadomości. Spiker podał, że dwa rejsowe samoloty lecące z Bostonu wbiły się w wieże World Trade Center – zszokowany Marshall odruchowo obrócił głowę w stronę dzielnicy finansowej – i dodał, że zaatakowano także Pentagon.

Marshall nie znał nazwiska Lloyda ani nazwy firmy, w której pracował. W tym momencie nieobecność tego człowieka w swoim dalszym życiu odczuwał jak ogromną dziurę w niebie, a jednak jakimś cudem wyleciało mu z pamięci imię jego córeczki. Emocje, które targały nim na dziedzińcu i tak wiele obiecywały, zniknęły, została tylko rozpacz. Zaczął sobie uświadamiać rozmiar tragedii. Pod gruzami leżeli prawdziwi ludzie, kobiety i mężczyźni, z którymi od lat prawie codziennie spotykał się w biurze lub w windzie.

Kiedy runęła północna wieża, ludzie znowu zaczęli uciekać i Marshall razem z setkami osób próbował się dostać na któryś z mostów na East River, lecz opancerzeni od stóp do głów policjanci, pilnujący głównych skrzyżowań, krzyczeli do nich, że mają uciekać na północ, ostrzegali o bombach i zagrożeniu azbestem. Telefony komórkowe nie działały, a przy automatach wiły się długie kolejki. Marshall zaczął się przedzierać na południe bocznymi uliczkami. Po jakimś czasie zmęczony i skołowany

zatrzymał się przed cukiernią w Chinatown, którą okupował tłum ludzi wpatrzonych w ekran telewizora zawieszzonego pod sufitem nad kasą.

Widzowie wychodzili na ulicę przekazując wieści. W całych Stanach wstrzymano ruch lotniczy, ale kilka samolotów nadal było w powietrzu i spodziewano się kolejnych ataków. Co najmniej jeden z porwanych samolotów się rozbił, podobno gdzieś w Pensylwanii. Prezydenta wywieziono w sekretne miejsce.

Marshall zwrócił się do młodego mężczyzny w koszulce z logo CNN.

– Wybuchła wojna czy co? Dobrze usłyszałem, że jakiś samolot uderzył w Pentagon?

Mężczyzna też nie widział ekranu telewizora, ale odpowiedział z przekonaniem:

– Pół budynku rozwalone. American Airlines, lot 77 z Dulles. A ten samolot, który się rozbił w Pensylwanii leciał z Newark. Nikt nie wie, w co miał trafić. Ale ty wyglądasz, człowieku. Byłeś tam? – wskazał ręką w kierunku, gdzie stały wieże.

– Słuchaj, a ten samolot z Newark, dokąd on leciał? Podali numer lotu?

Młody człowiek wzruszył ramionami, ale zagadnął ludzi obok i pytanie zostało przekazane w głąb sklepu. Chwilę czekali na odzew. W tym czasie Marshall usiadł na krawężniku i otworzył torbę, którą teraz niczym cenny antyk pokrywał pył historii. Wyjął ze środka swój notatnik, przewertował go i znalazł stronę z raportem, nad którym pracował poprzedniego wieczoru, kiedy zadzwonił telefon.

– Dziewięćdziesiąt trzy – odezwał się młody człowiek. – Mówią, że leciał do San Francisco.

Marshall ponuro skinął głową i zamknął notatnik. Włożył go do torby i wstał. Choć spodnie i tak nadawały się do wyrzucenia, zaczął je niespiesznie otrzepywać z pyłu. Dotknął bandaża na głowie. Był przesiąknięty krwią. Sanitariusze mówili, że nie obejdzie się bez szwów. Ulice ledwo mieściły falę uciekinierów: brudnych, półprzytomnych, załamanych, osieroconych. Niektórzy wciąż zakrywali usta i nosy. Kobiety kuśtykały na bosaka. Ktoś wspierał się na czyimś ramieniu. Wielu płakało, ale większość twarzy wyrażała pustkę. Marshall wszedł w tłum i niemal w podskokach udał się w kierunku mostu.

TTLR

PAŹDZIERNIK

Joyce zawsze wiedziała, że nowojorscy policjanci i strażacy są przystojniejsi niż ci z innych miast. Te seksowne fryzury, egzotyczna uroda, elokwencja, wigor. Teraz jednak dodatkowo nabrali cech klasycznych bohaterów – silni, męscy, szarmanccy, witani brawami, kiedy przemierzali ulice czy wchodzili do sklepów. Tragedia zostawiła ślad na ich twarzach, ale nawet teraz były one niewinne i piękne. Szczególnie strażacy wiedli prym w powrześniowej żałobie miasta. Wypowiadali się przyciszonymi głosami, przyznawali do bezsenności i utraty apetytu. Wyraźnie mieli w pogardzie ten wyjątkowo długi jak na tę porę roku okres bezchmurnego nieba. Każdy z nich stracił w zamachu przynajmniej jednego „brata” z własnej jednostki lub kolegę z innej; wielu opłakiwało śmierć rodzonych braci, ojców lub synów. W tej chwili gdziekolwiek w mieście pojawiał się strażak, ludzie z szacunkiem ustępowali mu drogi. Jego silne mięśnie ukryte pod czarnym kombinezonem poruszały się jak części dobrze naoliwionej maszynierii. Każdy krok stóp w ciężkich gumowych butach był przemyślany i dobrze obliczony.

Dwie młodsze koleżanki z biura Joyce, Dora i Alicia, pracowały teraz po nocach w kuchni polowej w Strefie Zero, karmiąc ratowników, którzy schodzili ze zmiany. Rano zazwyczaj pojawiały się spóźnione i wyczerpane, ale w oczach miały ten blask, który często się widuje u kobiet w ciąży. Przez resztę dnia opowiadały o Strefie Zero wszystkim, którzy znaleźli się w pobliżu ich boksów i mieli ochotę posłuchać. Na razie nikt nie widział sensu w tym, co robią. Dziś rano Alicia ubrana w hełm i żółtą strażacką pelerynę, o wiele na nią za dużą, została wprowadzona na teren rumowiska (w świetle

tysiącwatowych halogenów musiała wyglądać niezwykle ponętnie). Zaczęła kręcić z jednym strażakiem, żonatym Włochem z jednostki w Bay Ridge (połowa jego brygady zginęła w WTC 2). Opowiadała, jak cierpi, jak jest załamany, aż jej samej się to udzieliło. Twierdziła, że wejście na teren rumowiska bardzo ją zbliżyło do wszystkich pracujących tam mężczyzn i pozwoliło zajrzeć głębiej we własną duszę. A seks z jej strażakiem był ponoć przeżyciem jedynym w swoim rodzaju.

– On jest taki silny i bardzo mnie potrzebuje. Nie mam pojęcia, jak to się skończy, ale na razie muszę być z nim. Ja go potrzebuję.

Koleżanki z biura, przeważnie młodsze od Joyce i niezamężne, doskonale wiedziały, co Alicia miała na myśli. Koszmar zamachów spowodował, że ogarnęła je swego rodzaju desperacja. W zeszłym tygodniu Dora ni stąd, ni zowąd zaczęła się namiętnie całować z kolegą, z którym znała się od lat. Ściszone głosem, tak by męska część biura nie słyszała, opowiedziała też o przyjaciółce, która wpadła w ciąg przygodnych romanсів. To nie był bezpieczny seks. Jej partnerami byli mężczyźni poznani w barach, a w jednym przypadku na schodach stacji metra przy Spring Street. Ta dziewczyna nigdy czegoś takiego nie robiła. Podobno wyszła z metra i odruchowo próbowała odszukać wzrokiem bliźniacze wieże, tyle że ich nie było, ale za to był facet i od razu zrozumiał jej zagubienie. Słuchające koleżanki pokiwały smutno głowami. Syndrom końca świata. Każdy teraz miał potrzebę przeżycia czegoś intensywnego, jakiegoś wyzwolenia, rekompensaty za psychiczny wstrząs lub chociaż potwierdzenia, że życie uległo zmianie. Joyce wyłączyła się na chwilę z rozmowy, odwróciła głowę i spojrzała przez okno na okaleczoną panoramę Manhattanu. Sama o włos uniknęła śmierci i widziała, jak walą się wieże, ale jak dotąd nie przyszło jej

do głowy szukać pociechy w seksie, na razie poprzestała na wiaderku lodów wiśniowych.

Nie kochała się z mężczyzną od jakichś dwóch lat. Nie umiała precyzyjnie określić daty, kiedy przestała to robić z Marshallem. Kilka ostatnich prób zbliżenia czy jakiegokolwiek czułego, fizycznego kontaktu, który może miałby szansę pomалу odbudować ich intymne relacje, jeszcze pogłębiło wzajemne urazy. Nie tylko dotyczące sfery seksu, ale na przykład zalegającego prania, wrzeszczących dzieciaków, rachunku za kartę kredytową i rozlanego mleka. Tarzali się na łóżku zupełnie na próżno. Zazwyczaj kończyło się to płaczem i trzaskaniem drzwiami, nim doszło do jakiegokolwiek penetracji. Joyce nie umiała sobie przypomnieć tej naprawdę ostatniej, podjętej bez większych nadziei próby, która poprzedziła ich decyzję, porozumienie zawarte bez słów, że dłużej nie warto się wysilać. A więc minęły co najmniej dwa lata. Joyce miała teraz trzydzieści pięć. Kiedy Alicia i Dora opowiadały swoje historie, zdała sobie sprawę, że też za czymś tęskni: chce, aby taki facet jak ci, o których mówiły, rzucił ją na łóżko i pieprzył tak, jakby miało nie być jutra. Chciała zaznać smaku seksu w czasach terroru. Po tym wszystkim, co się stało – z jej miastem, z jej małżeństwem – zasłużyła na to.

No i okazało się, że tego jutra rzeczywiście może nie być. Kiedy Joyce wracała z toalety przez centralną, otwartą część biura z boksami, jedna z pracownic tymczasowych, pani w średnim wieku o imieniu Anne-Marie, nagle przeraźliwie wrzasnęła. W dłoni trzymała otwartą białą kopertę. Zanim wszyscy zobaczyli, co się z niej wysypało na biurko, domyślili się przyczyny wrzasku.

W ostatnich dniach podobne koperty zawierające śmiertelnie niebezpieczne laseczki wąglika pojawiły się w kilku miejscach na Wschodnim Wybrzeżu. Najpierw były tajemnicze zgony w redakcji gazety „National Enquirer” na Florydzie, a potem ślady bakterii – najbardziej śmiertelnej, jaką zna nauka – odkryto w budynku senatu USA i siedzibach kilku stacji telewizyjnych w Nowym Jorku. Parę osób zmarło, w tym ludzie, których nie było wtedy w budynku, więc najpewniej zetknęli się z przesyłkami, leżącymi wcześniej obok innych, które miały kontakt z wąglikiem. Korzystanie z poczty stało się innym rodzajem niebezpiecznego seksu. Wszyscy starali się zdobyć receptę na antybiotyk Cipro. Anne-Marie, skierowana tu do pracy w ramach programu aktywizacji zawodowej bezrobotnych, sortowała dziś korespondencję, ponieważ osoba, która zwykle się tym zajmuje, nagle postanowiła wziąć wszystkie przysługujące jej wolne dni na ten i przyszły rok. Anne-Marie założyła gumowe rękawiczki i maskę, ale wiedziała, że są bezużyteczne wobec niezliczonej ilości groźnych białych cząsteczek, które przed chwilą wysypały się z rozciętej koperty. Zdążyły już unieść się w powietrze, narażając ją i wszystkich wokół na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Joyce w sekundzie odwróciła się, zjechała windą na dół i opuściła budynek, pozostawiając swoje rzeczy w biurze. Ma przecież dwoje dzieci, które musi wychować. Mieszkając w Nowym Jorku i rozwodząc się z mężem, już i tak narażała ich dobro na szwank. Cały czas wstrzymywała oddech, dopiero na ulicy wypuściła powietrze. Zaczęła iść na północ, jak najdalej od biura, od sprzysiężonych sił zła, które spotkały się we wrześniu w Strefie Zero i do dziś nawiedzają miasto. Czowała się idiotycznie. Było wpół do jedenastej rano, za chwilę miał do niej dzwonić klient w bardzo ważnej

sprawie, a na nogach miała dziesięciocentymetrowe szpilki od Dolce & Gabbany, na których ledwo łąpała równowagę. To był spontaniczny zakup. Na dodatek właśnie w tej chwili śmiernicobójcze mikroorganizmy prawdopodobnie wwiercały się w jej płuca. Minęła ją kawalkada wyjących radiowozów.

Mniej więcej cztery przecznice dalej Joyce zorientowała się, że nie ma przy sobie żadnych pieniędzy, nawet karty do metra, a klucze do mieszkania zostały w biurze, w torebce. Co robić w tej sytuacji? Jak teraz dostanie się do domu? Co się stało, że całe jej życie zrobiło się nie do zniesienia? Ma zadzwonić do Marshalla? Nie próbowała się z nim kontaktować nawet miesiąc temu, kiedy istniało spore prawdopodobieństwo, że spadło mu na głowę sześćset tysięcy ton gruzów z zawalonego budynku. Tamtego dnia wrócił po południu do domu ze szwami na głowie, w podartym garniturze, a ona powiedziała: „A więc udało ci się uciec?” On odwrócił głowę, spojrzał w dał i odparł: „A więc nie zdążyłaś na samolot?”, po czym ciężkim głosem dodał: „Cóż za szczęściarze z nas”. Teraz Joyce stała na rogu Charles Street i nie miała siły iść dalej ani podjąć jakiegokolwiek decyzji. Tak właśnie wyglądało jej życie: zastygłe w miejscu, zatrzaśnięte, martwe. Przechodnie obchodzili ją dookoła, jakby była niefortunnie umiejscowionym automatem na gazety. Nie pozostało jej nic innego, jak wrócić po torebkę.

Kiedy dotarła na miejsce, budynek był prawie w całości ewakuowany. Policja zabezpieczała wejście, a po drugiej stronie ulicy zebrali się gapie. Joyce z dużym niezadowoleniem spostrzegła, że inne osoby z jej firmy pamiętały o zabraniu swoich toreb i płaszczy. Poza ryczącą wniebogłosy Anne-Marie, którą właśnie wprowadzano do karetki, wszyscy zachowywali spokój. Rozmawiali i palili papierosy. Policjanci co chwila wchodzili i

wychodzili z budynku, ale żaden z nich nie miał maski na twarzy. Joyce chyba zbyt pośpieszyła się z ucieczką. Stała z boku i obserwowała. Musi odzyskać torebkę. Bez niej nie jest w stanie nic zrobić. Oddychając płytko, weszła za jednym z funkcjonariuszy do budynku i dalej do windy. Nawet na nią nie spojrzał, lecz gdy wysiedli na czwartym piętrze, od razu zatrzymał ją inny policjant.

– W tył zwrot, droga pani – powiedział. Był to przystojny ciemnowłosy chłopak z podskakującym jabłkiem Adama. – Dostaliśmy zgłoszenie o podejrzanej paczce.

– To nie była paczka – sprostowała Joyce – tylko koperta. Ja tu pracuję. Zostawiłam torebkę. – Mówiła szybko, krótkimi zdaniami, żeby wdychać jak najmniej skażonego powietrza.

Gliniarz pokręcił głową i odwrócił się. Zaczął tłumaczyć policjantowi, który przyjechał z Joyce windą, dlaczego nie mogli zaplombować drzwi do zewnętrznych pomieszczeń taśmą maskującą – ta, którą im dostarczyli, okazała się za wąska, żeby przykryć futryny. Drzwi windy nadal były otwarte, jakby cierpliwie czekały, aż Joyce znów wsiądzie do środka. Szczypały ją oczy, była na krawędzi płaczu. Wściekła się z tego powodu. W zeszłym tygodniu po kolejnej upokarzającej kłótni z Marshalllem, jak zwykle pełnej wrzasku i łez (i o co poszło? nawet nie pamięta), przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie rozplacze się w obecności mężczyzny.

– Tam są klucze! – nalegała. – Muszę wracać do domu, mam małe dzieci! – I wtedy popłynęły łzy. A dokładniej napłynęły do kanałów łzowych, ale ostatkiem sił zdołała je powstrzymać. W międzyczasie starała się nie oddychać. Musiała mieć bardzo dziwny wyraz twarzy, ponieważ policjanci przerwali rozmowę i przyglądali się jej. Ale Joyce się nie rozplakała.

– Proszę pani – powiedział młody funkcjonariusz. – Nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Może to wążlik, a może puder dla dzieci, ale dostaliśmy rozkaz, żeby wszystkich ewakuować. – Drugi gliniarz, który teraz zdał sobie sprawę, że postąpił lekkomyślnie, wpuszczając Joyce do windy, spojrzał na nią groźnie.

– Panowie! – odezwał się czyjś gniewny głos. Korytarzem nadchodził pośpiesznie niski, krępy mężczyzna w garniturze. – Co to ma być? Pogawędki sobie urządzać? Musimy oczyścić budynek.

– Usiłowałem to wytłumaczyć tej pani – powiedział ponuro drugi gliniarz.

Nowo przybyły mężczyzna nie patrząc na Joyce, chwycił ją za łokieć i pociągnął do windy. Łzy, które wezbrały w jej oczach, zakółsały się i omal nie wypłynęły. Wyrwała rękę.

–Kim pan jest?

–FBI.

Powiedział to niemal ze smutkiem. Trudno się dziwić. Biuro ostatnio mocno się oberwało. Agenci zlekceważyli sygnały, mogące sugerować, że terroryści planują zamachy z użyciem porwanych samolotów. Ostrzegano ich, że pewne podejrzane osoby wjechały na teren kraju, a ludzie Osamy Bin Ladena szkolą się na kursach pilotażu. Zgubili ślad tysięcy islamskich fundamentalistów, którzy naruszyli przepisy imigracyjne. Teraz wszyscy szydzili ze sposobu, w jaki Biuro zareagowało na aferę z wążlikiem. Jego pracownicy pojawiali się w skażonych miejscach bez odpowiedniego wyposażenia i ustalonej procedury postępowania. FBI dość późno zidentyfikowało wążlika, więc na początku komunikaty przekazywane społeczeństwu były skąpe i sprzeczne. Ten przedstawiciel Biura też raczej

nie budził zaufania. Był niewysoki, przy kości, miał obwisłą twarz i gęste brwi. Mocno się pocił, mimo że w budynku było chłodno. Klimatyzacja wciąż działała, rozpylając bakterie. Na razie nikt nie zakładał maski.

– Proszę zrozumieć. – W głosie agenta zabrzmiała nieładna błagalna nuta. – Jeśli się pani nie dostosuje, będziemy zmuszeni panią aresztować.

– Muszę wziąć klucze! – powtórzyła Joyce. – Zamkniecie biura na cały dzień, może nawet miesiąc, a ja muszę odebrać dzieci z przedszkola. Jak się dostaniemy do domu bez kluczy?

– A mąż nie ma drugiego kompletu?

– Jesteśmy w separacji – odparła. Agent stał z zaciśniętą szczęką i przyglądał się jej chłodnym wzrokiem. Analizował uważnie każde słowo, jakby przesłuchiwał potencjalnego terrorystę. Ciało Joyce przeniknęło dziwne uczucie, podobne do tego, jakiego doznała, kiedy przechodziła przez bramkę wykrywacza metali. Zauważyła, że agent ma rzadkie włosy, ale świetnie obcięte, co tuszowało niedostatki. W Nowym Jorku nawet ci starsi, szeregowi agenci FBI są znakomicie ostrzyżeni. Pospiesznie uściśliła swoje wyznanie:

– To znaczy, właściwie mieszkamy razem, bo mąż nie chce się wyprowadzić, ale sprawa rozwodowa jest w toku, mamy wynajętych adwokatów i wyznaczony termin rozprawy. Złożyłam wniosek o eksmisję, ale mąż się broni. Nie wiem, co robi i gdzie przebywa za dnia, ale wiem, że dziś jest moja kolej na odebranie dzieci z przedszkola. Krótko mówiąc, chodzi o to, że nie mogę poprosić tego człowieka o jakąkolwiek przysługę.

Gliniarze spojrzeli po sobie sceptycznie. Joyce poczuła, że się rumieni, a łzy znów zaczynają się gromadzić niczym burzowe chmury. Poczowała też, że niebezpiecznie głęboko oddycha. Te wyjaśnienia też nie były do końca

ściśle: pewne szczegóły i niuanse zostały pominięte. Agent nie odpowiedział od razu. Rozwagał jej słowa. Joyce żałowała, że nie wzięła z sobą szminki, kiedy szła do łazienki. No, ale wtedy oczywiście nie istniałby problem torebki.

– Gdzie są te klucze? – westchnął agent z tym samym smutkiem w głosie.

– W torebce, na parapecie! – wyrzuciła z siebie Joyce. – Trzecie drzwi po lewej. Obok jest tabliczka: Joyce Harriman.

– W sumie drzwi nie są zaplombowane – mruknął agent do policjantów. – Nawet, cholera, nie potrafią załatwić porządnej taśmy. Proszę tu poczekać.

Gdy zniknął w głębi korytarza, Joyce znów zaczęła wstrzymywać oddech. Policjanci zajęli się swoimi sprawami. Jeden gdzieś odszedł, a drugi odwrócił się tyłem, rzucił coś niezrozumiałego przez krótkofalówkę i uzyskał równie niezrozumiałą odpowiedź. Na korytarzu pojawił się jeszcze jeden funkcjonariusz i podejrzliwie zmierzył Joyce wzrokiem, po czym bez słowa się oddalił. Potem przyszedł kolejny, niosąc wreszcie garść masek ochronnych. Ale nie zaproponował żadnej Joyce. Klimatyzacja nadal działała: pewnie ewakuowali ostatnią osobę, która wiedziała, jak ją wyłączyć. Joyce była skąpana w chmurze śmiertcionośnych zarazków. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, po cierpieniach i upokorzeniach ostatniego roku, byłoby to odpowiednie zakończenie jej życia jako kobiety, żony i matki.

– Czy to pani torebka? Musiałbym zobaczyć jakiś dokument.

Agent FBI pojawił się w korytarzu, niosąc na ramieniu jej torbę – model Fendi Baguette z beżowym paskiem i szeroką klamrą. W drugiej ręce

niósł buty, w których Joyce przyjeżdża do pracy. Jeden z gliniarzy parsknął śmiechem. Joyce zwykle nie bawi widok mężczyzny niosącego damskie akcesoria, lecz teraz nie mogła się powstrzymać. Dopadło ją coś na kształt ataku śmiechu. Potem poszło już szybko: łyzy przerwały wszystkie tamy, które próbowała im postawić i trysnęły z oczu jak fontanna, prawdopodobnie rozmazując na policzkach cały tusz. Płakała i śmiała się jednocześnie, wszystkimi rodzajami śmiechu i w historycznej kolejności, w jakiej nauczyła się śmiać. Od niewinnego chichotu dziecka, poprzez nieprzyjemny, wulgarny rechot nastolatki, który dość wcześnie postarała się wykreślić z listy dopuszczalnych reakcji, aż po dorosłe „ha, ha, ha”. Na dodatek ciekło jej z nosa. Tusz do rzęs pobrudził jej bluzkę, a ona nawet nie miała chusteczki: została w torebce. Policjanci i agent federalny patrzyli na nią w zdumieniu, w ogóle nie zdając sobie sprawy, że się śmieje.

Kiedy w końcu dotarła do domu, Marshalla nie było. Wychodził co rano, jak gdyby szedł do pracy, mimo że biura jego firmy w World Trade Center przestały istnieć, i wczesnym wieczorem wracał. Podejrzewała, że znalazł sobie inne zajęcie. Jej prawniczka prędzej czy później wszystkiego się dowie. Snuffles przywitał panią, skacząc po całym przedpokoju. Joyce chwyciła go za obrożę, wepchnęła do pokoju dzieci i zamknęła drzwi. Pies zaczął drapać i skowyczeć. Joyce tłumiała jakiegokolwiek ciepłe uczucia wobec tego zwierzęcia: w końcu to pupil Marshalla. Jeśli zdoła zignorować psie błagania o zabawę, do czasu wyjazdu po dzieci będzie mieć całe mieszkanie dla siebie. Włączyła telewizor i od razu trafiła na specjalną relację na żywo w sprawie podejrzanego listu, który nadszedł do jej firmy. Reporter, który praktycznie krzyczał do mikrofonu, stał na środku zamkniętej dla ruchu Hudson Street, a za plecami miał budynek firmy ogrodzony taśmą i

otoczony przez pojazdy straży, policji i pogotowia. Pokazano wcześniejsze nagranie, na którym zabierają roztrzęsioną Anne–Marie do karetki. Gdy wznowiono transmisję, Joyce w tłumie gapiów poszukała wzrokiem koleżanek z pracy, ale gdzieś już poszły. Była zawiedziona, że wśród osób wchodzących i wychodzących z budynku nigdzie nie widać znajomego agenta FBI ani policjantów.

Poszła do łazienki i wzięła długi, gorący prysznic, jakby to miało zmyć węglika. Drugi raz tego dnia umyła włosy, energicznie masując skórę głowy. Podstawiła twarz pod silny strumień wody, aż zrobiła się czerwona i nabrzmiała. Pragnęła zagłuszyć świadomość, całkowicie się wyłączyć. Woda wymyje pamięć o jej smutnej, uciśnionej, szarej egzystencji.

Zazwyczaj ubierała się w łazience, chowając się przed wzrokiem Marshalla, lecz tego popołudnia uczciła swą wolność, wchodząc do salonu nago, delikatnie tylko otulona ręcznikiem. Drugim owinęła głowę. Gorący prysznic sprawił, że poczuła się znużona i obolała. Taki stan zwykle nastraja do seksu. Przypomniał jej się strażak Alicii. Nie odczuła podniecenia, ale uznała, że przy odrobinie wysiłku mogłaby. Jej libido trwało w uśpieniu, nawet nie umiała sobie przypomnieć, kiedy się ostatnio masturbowała. To jest myśl. W tym momencie miała wrażenie, że cokolwiek może odmienić jej życie na lepsze.

Rozłożyła ręcznik na sofie i położyła się na brzuchu. Ostatni raz zadając sobie pytanie, czy na pewno chce to zrobić, wsunęła dłoń między uda i odnalazłszy właściwe miejsce, poczuła zaskakujący dreszcz. Telewizor niestety wciąż był włączony; po wiadomościach puścili jakiś serial (a dokładnie *Masz tylko jedno życie*), zaś pies skomlał żałośnie, wtykając nos pod drzwi. Joyce próbowała wyprzeć ze świadomości te odgłosy.

Pracowicie poruszała palcami i jak można się było spodziewać, po chwili pojawiło się znajome, dawno zapomniane uczucie ciepła rozlewającego się po udach. Jej nagie pośladki wciąż były wilgotne po kąpieli, lecz przyjemny chłód na skórze tylko wzmagął odczucie gorąca wzbierającego falami w całym ciele. „No, zrób to, zrób” – szepnęła i wsunęła palec głębiej, zaciskając usta z rozkoszy. Sutki jej stwardniały, czuła pod nimi szorstką fakturę ręcznika. Przypomniała sobie, jaki ma ładny biust. Wprawdzie trochę przytyła w udach i na brzuchu, ale mimo urodzenia dwójki dzieci zachowała wspaniałe piersi, niezwykle okrągłe i jędrne, pewnie nawet ładniejsze niż u Alicii. Niejeden facet z chęcią by ich dotknął. Spróbowała przywołać w myślach obraz strażaka, którego mogła widzieć na ulicy lub w telewizyjnych wiadomościach. Młody blondyn w biało-niebieskiej bluzie bejsbolowej, która ciasno opina ciało, a pod nią widać zarysy umięśnionej klatki piersiowej... Mocniej napała biodrami na palec. Sofa zaskrzypiała, Joyce jęknęła, Snuffles piskliwie zaszczekał. Jeszcze chwila i coś z tego będzie. No już, już. Może ten strażak miał wąsy? Nie, lepiej nie. A może jednak? Spotkała go na rogu Charles Street, kiedy uciekała z budynku. Zauważył, że jest zagubiona i przerażona. Miał silne ramiona i delikatne dłonie. Przyłgnęła do niego, a on tymi ramionami i tymi dłońmi objął ją całą. Potem zawiózł do domu (a co z kluczami? nieważne) i położył na tej sofie. Niewiele mówili. On potrzebował jej tak samo jak ona jego. Nagle obraz zamigotał. W końcu miał te wąsy czy nie? „Nieważne, nie patrz na twarz”. Ale Joyce spojrzała i okazało się, że strażak ma twarz Marshalla. Miał jego oczy, jego usta. „Nie patrz” – skarciła się w myślach, jeszcze energiczniej poruszając biodrami, jeszcze głębiej penetrując palcem, ale już było za późno. Jęknęła zawiedziona. Strażak z wąsami. Bez wąsów. Nic z

tego nie będzie. Teraz miała przed oczami tylko zachmurzoną twarz Marshalla i jego nienawistne spojrzenie. Niech to szlag.

To było żałosne. Niżej upaść nie można.

Przeszła jej cała ochota. Wątpliwe, czy w ogóle ją miała. Wymyśliła sobie tę romantyczną historię o tym, kim jest i czego pragnie. Naprawdę chciała się kochać ze strażakiem? Poczowała się jak idiotka i żałowała, że nie ma już czasu na kolejny prysznic. Ubrała się i pojechała po dzieci. Kiedy przygotowywała im obiad, zadzwonił jej szef i przekazał informację, że zbadano biały proszek, który wysypał się z koperty – to był talk. A więc fałszywy alarm. W jego głosie było słychać olbrzymią ulgę, niemal euforię. Widocznie ta sprawa bardzo go dręczyła. Dodał, że biura będą zamknięte jeszcze przez kilka dni, bo FBI musi przeprowadzić dodatkowe badania. Poza tym prosi pracowników o zgłoszenie się następnego dnia rano do ich nowojorskiej siedziby przy Foley Square w celu przesłuchania. Biuru bardzo zależy na znalezieniu wszelkich śladów, które mogą pomóc doprowadzić do źródła prawdziwych zarazków wąglika.

Joyce jednak wcale nie ulżyło. Nawet jeśli teraz to nie był prawdziwy wąglik, czemu nie mieliby go użyć następnym razem? Wyrzucała sobie dawną wiarę, że ich życiu w Ameryce nic nie zagraża. Ktoś im bezczelnie nakłamał prosto w oczy jak niewierny mąż. Na całym świecie są ludzie, którzy chcą zabić Amerykanów; także tutaj rozmaite świry mają dostęp do broni automatycznej, śmiertelnych bakterii i wirusów, materiałów nuklearnych i wybuchowych nawozów. Jak mogła sprowadzić swoje dzieci na tak okrutny świat, jeszcze gorszy niż jej małżeństwo? Nad ich przyszłością na trwale zawisł cień śmierci.

Marshall wrócił do domu, kiedy dzieci kończyły jeść obiad. Jak zwykle przywitał je najbardziej czarującym z uśmiechów i czule ucałował. Następnie słodkim głosem wypytał, co robiły przez cały dzień i wręczył drobne upominki, najlepsze, jakie udało mu się kupić po drodze. Ani razu nie spojrzał w stronę Joyce. Uczynił z tego niemal sztukę. Joyce też unikała jego wzroku, ale odniosła wrażenie, że kosztowało ją to więcej wysiłku. Marshall zaniósł torbę do sypialni i wyszedł z psem.

Drzwi się zamknęły i w tym samym momencie, akurat gdy w telewizji zaczynały się wiadomości, Viola potrąciła kubek z mlekiem, z którego jeszcze nie zdążyła się napić. Struga białego płynu niczym tsunami przelała się po stole, kierując się prosto w stronę torebki Joyce. Dziewczynka zachichotała. Joyce mało się nie potknęła, rzucając się na ratunek torebce. Mleko ściekło na krzesło, a następnie na podłogę. Wtedy Joyce zorientowała się, że Peter Jennings mówi o jej firmie. Szybko poszła do kuchni urwać ręcznik, po czym zaraz wróciła po całą rolkę i stamtąd zobaczyła, jak na ekranie pokazują ich budynek. Zaczęła energicznie wycierać kałużę. Reporter rozmawiał z Alicią. Kamera ujmowała ją od pasa w górę. Uśmiechała się skromnie i dziękowała nowojorskiej policji za odwagę i profesjonalizm, z jakim przeprowadziła ewakuację budynku. Następnie rzecznik prasowy FBI, stojąc na podium przed gąszczem mikrofonów, oświadczył niskim głosem, że podejrzana substancja okazała się być zwykłą zasypką dla niemowląt. Pokazał do kamery zdjęcie ręcznie zaadresowanej koperty, w której ową substancję znaleziono.

Joyce przerwała wycieranie i z mokrym ręcznikiem w dłoni podbiegła do telewizora.

– Mama, ona mnie bije! – oznajmił triumfująco Victor.

Koperta była widoczna na ekranie może piętnaście sekund – wystarczająco długo, żeby Joyce zdążyła się jej dokładnie przyjrzeć i pomyśleć, jak to nagle wszystko może się zmienić. Znowu. Kopertę pokazywano jeszcze chwilę po tym, gdy reporter przestał o niej mówić. Anne-Marie rozcięła ją swoim nożykiem równiutko aż do bólu. Znaczek był walentynkowy, a z zamazanej pieczętki, jak poinformowało FBI, wynikało, że list wysłano z Trenton w stanie New Jersey, podobnie jak część przesyłek z prawdziwym wąglikiem. Prymitywne pochyłe pismo, gdzie każda linijka w adresie wędrowała w górę, można by określić jako gryzmoły pierwszaka, osoby opóźnionej w rozwoju albo chorej psychicznie. Od razu też je rozpoznała. Chociaż całość była dość charakterystyczna, to przede wszystkim dwie literki „g” zawarte w nazwie firmy zdradziły autora. Były kanciaste i wydłużone, a ogonki przybrały formy trójkątów równoramiennych.

Wyglądały trochę jak powyginane spinacze. Tylko jedna znana jej osoba pisała takie „g”. Jej mąż Marshall.

Jego pismo poznałaby wszędzie. We wczesnym okresie narzeczeństwa – czyli bardzo dawno temu, w erze prekambryjskiej – Marshall zasypywał ją namolnymi i namiętymi listami, które pisywał na luźnych kartkach. Nawet na papierze w linie literki miały tendencję do „uciekania” w górę. Przez następne lata mogła je zobaczyć na niezliczonych kartkach świątecznych, listach zakupów i notatkach telefonicznych. A teraz, jeżeli nie porozumiewali się za pośrednictwem prawników, głównym sposobem komunikacji, poza krzykiem, były odręczne liściki, żeby można było zachować kopie do akt. Joyce znała wszystkie kaligraficzne niuanse jego pisma; wiedziała, kiedy był zły czy zmęczony, kiedy starał się pisać

szczególnie starannie albo wręcz przeciwnie. Jednym krótkim spojrzeniem na tę kopertę potrafiła nawet ocenić wysiłek, jaki włożył, żeby zamaskować swój charakter pisma.

Joyce była zachwycona: wreszcie miała go w ręku. Departament Sprawiedliwości podszedł do fałszywych alarmów równie poważnie jak do prawdziwych i zapowiedział, że będą traktowane jak akt terrorystyczny. Tyle lat się pilnował, knując te swoje intrygi z podziwu godnym zapamiętaniem, a tu taki głupi błąd. Co tam stateczna pani adwokat Joyce, kobieta strachliwa i zawsze chętna do ugody

– teraz Marshall może mieć do czynienia z samym Johnem Ashcroftem. Niech go wsadzą do więzienia. Niech wyślą do Guantanamo. A dla niej zostanie mieszkanie.

Kiedy wrócił z psem, ukradkiem na niego zerknęła. Cera mu pociemniała, kosmyk włosów opadał na oczy. Odwrócił się, poszedł do siebie i zamknął drzwi. Joyce już miała się uśmiechnąć pod nosem, lecz nagle dopadły ją wątpliwości, czy koperta z fałszywym węglikiem na pewno została wysłana przez jej męża. Byłby zdolny popełnić coś tak strasznego? Przestępstwo? Doszła do wniosku, że tak, przypominając sobie wszystkie nikczemne czyny, których się dopuścił, od kiedy zaczęli się rozwodzić, całą tę rywalizację na śmierć i życie, wszystkie kłamstwa i oszczerstwa, które rozgłaszał na jej temat. A jednak nie była do końca przekonana. Chociaż serdecznie go nienawdziła, w głębi duszy nie uważała, żeby był złym człowiekiem. Kiedyś go przecież kochała i to wspomnienie działało jak zdrajca sabotujący wszelkie próby przetrwania tego rozwodu. Jeszcze zanim się pobrali, Marshall cały miesiąc się nią opiekował, kiedy chorowała na zapalenie opon mózgowych. Co wieczór po pracy przynosił jej rosół z

chińskiej restauracji i jedną czerwoną różę. Przy narodzinach Violi delikatnie podniósł dziewczynkę z zakrwawionego prześcieradła i ułożył Joyce na piersiach. Ale z drugiej strony te charakterystyczne literki „g” – czyżby Joyce mieszkała pod jednym dachem z niebezpiecznym ekscentrykiem? To fakt, że Marshall zawsze miał specyficzne poczucie humoru – FBI zapewne odkryje, że za czasów studenckich aresztowano go za dowcip, który zrobił koledze z akademika – ale nigdy dotąd nie posunął się do czegoś tak groźnego, chorego. Czyżby cierpiał na syndrom stresu pourazowego? Co się z nim działo 11 września? Nie opowiedział o tym ani jej, ani żadnej ze znanych jej osób. Nigdy nie wyjaśnił, jak zdołał uciec z World Trade Center, kiedy wszystkie biura jego firmy zostały zniszczone. Stracił kolegów i przyjaciół. A jednak milczał. To wszystko musiało się w nim nawarstwić, doszły napięcia związane z rozwodem i zwyczajnie postradał zmysły. Skoro potrafił dla żartu wysłać do jej firmy puder dla niemowląt (czy to na pewno on?), to co może zrobić jej i dzieciom tu, w ich własnym mieszkaniu?

Zza drzwi nie dobiegały żadne dźwięki. Co on tam robi całymi godzinami? Zakleja kolejne koperty z talkiem czy jeszcze coś gorszego? Joyce musi jak najszybciej zabrać stąd Violę i Victora, najlepiej jeszcze dzisiaj. Nie może ryzykować. Ale czy wolno jej to zrobić bez zgody sądu? Adwokaci wciąż się spierają o zasady sprawowania opieki nad dziećmi. Wszelkie pochopne działania mogłyby się obrócić przeciwko niej. Poczula się głęboko dotknięta tą rażącą niesprawiedliwością – przecież ona chce właśnie chronić swoje dzieci! Po raz kolejny tego dnia została postawiona w sytuacji bez wyjścia. Co tu robić?

Tę noc przeleżała na sofie niespokojna i sfrustrowana. Rano ma iść do FBI. Powiedzieć im o kopercie? To trochę niepoważne twierdzić, że się rozpoznało czyjeś pismo, widząc je przez moment na ekranie telewizora. Może to Joyce straciła rozum i trzeźwość myślenia po 11 września? A może jednak nie. Nasłuchiwała odgłosów z sypialni, jakichś kroków albo syku ulatniającego się gazu. Zastanawiała się, do czego jeszcze może się posunąć w swym obłędzie.

Owszem, tej jesieni Marshall nie był w najlepszej kondycji psychicznej. Może nawet zahaczało to o obłęd. Jedenastego września na miejscu zamachów zrobiono tysiące zdjęć, a on nie pojawił się na żadnym. W zaciszu swego pokoju studiował gazety, czasopisma i specjalne pamiątkowe wydawnictwa, które ukazały się w ciągu ostatniego miesiąca. Szukał siebie i osób, które mógł napotkać podczas ewakuacji. Starannie przyglądał się zdjęciom przez lupę, zwłaszcza tym, które przedstawiały uciekających ludzi po zaważeniu się południowej wieży. Nie znalazł żadnego dowodu, że tamtego ranka był w World Trade Center i przeżył.

Szukał także Lloyda na tych nielicznych fotografiach dziedzińca, które zrobiono jeszcze przed zaważeniem się wież, ale one musiały przedstawiać jakiś inny fragment albo po prostu nie był w stanie rozpoznać ciała. Ledwie pamiętał twarz tego człowieka, która i tak była brudna, obsypana pyłem i wykrzywiona bólem. Na opublikowanych listach ofiar figurowały nazwiska kilku mężczyzn o imieniu Lloyd. Co rano Marshall sprawdzał rubrykę „Portrety smutku” w „Timesie”. Niektóre wpisy opatrzone były zdjęciami. Na razie nie rozpoznał wśród nich Lloyda, a żaden z pozostałych mężczyzn o tym imieniu nie był ojcem Sary, Sofii ani tym podobnych.

Marshall szukał też twarzy Lloyda na ogłoszeniach, które w pierwszych dniach po zamachu zrozpaczone rodziny rozwieszały na latarniach i słupach w całym mieście. Miał nadzieję skontaktować się z jego żoną i córką, pocieszyć je jakoś, choć nie bardzo wiedział, co miałby im powiedzieć. Nie potrafiłby nawet wyjaśnić silnej więzi, jaka go połączyła z tym człowiekiem. To była przecież tylko jedna krótka chwila na dziedzińcu WTC. Jak tu opowiedzieć, co się stało? Ktoś mógłby mu zarzucić (Joyce na pewno), że to on pośrednio odpowiada za śmierć Lloyda: gdyby w innym momencie wyciągnął go z budynku albo pozwolił wyjść o własnych siłach, tamten by nie zginął. Marshall wyobraził sobie, jak się broni: nieprawda, bez względu na to, co się stało dwie minuty później nie z jego winy, kiedy zdecydował się wydostać mężczyznę z budynku, zachował się jak bohater. Czy ty tego nie widzisz, do diabła?! Nie widzisz tego?!

Leżał w półmroku na łóżku i gapił się w sufit, próbując coś wyczytać ze śladów pędzla pozostawionych tam wiele lat temu. Może w tych zawijasach kryje się jakiś szyfr, może mógłby się czegoś z nich dowiedzieć. Tak jak wtedy, gdy runęły wieże, poznał niemal dokładne linie i wzory, które w jakiś tajemny sposób łączą go z każdym człowiekiem na ziemi.

Nad ranem Joyce zdołała w końcu przespać parę godzin, ale wstała wcześnie, żeby przygotować dzieci do przedszkola, a siebie na wizytę w FBI. Wyjmując ubrania z szafy, wykonywała nerwowe, energiczne ruchy, jakby wypła o kilka kaw za dużo. Trzecim z kolei przymierzanym strojem był grafitowy kostium, w którym często jeździła do pracy. Strasznie poważny, ale też nastały poważne czasy: w gazetach piszą, że po 11 września moda ulegnie zawieszeniu. Żadnych szaleństw, najlepiej skromnie.

Wyszędłszy z metra, Joyce odszukała drogowskazy prowadzące do budynku przy Foley Square, gdzie mieści się siedziba FBI. Mimo że były to godziny szczytu, w okolicy panowała dziwna cisza. To przecież zaledwie kilka przecznic od Strefy Zero. Na ulicach prawie nie było samochodów, z wyjątkiem pojazdów uprzywilejowanych. Na skrzyżowaniu stał radiowóz z włączonym „kogutem”. Dalszą drogę blokowała formacja czarnych opancerzonych hummerów oraz czołg. Wzdłuż chodników ustawiono betonowe barierki, a w kilku miejscach leżały stosy worków z piaskiem.

Policjanci krótkimi poleceniami rozdzielali cywilów według sobie tylko znanego klucza i kierowali ich na chodnik bądź na ulicę. Obok stali uzbrojeni żołnierze. To wszystko było dość emocjonujące. W punktach kontrolnych trzeba było okazać prawo jazdy i przejść przez bramkę do wykrywania metalu. Jeden z żołnierzy nakazał Joyce ustawić się w kolejce, która ciągnęła się prawie do następnej przecznicy. Właśnie miała wyjaśnić, że przyszła zgłosić ważną informację w sprawie węglik, lecz inny wojskowy, śniady mężczyzna z groźną miną, podszedł do niej i przyjrzał się jej twarzy, jakby chciał ją dobrze zapamiętać, więc zrezygnowała. Zastanawiała się, gdzie teraz może być Marshall i co znowu wymyśli.

– Pani Harriman?

Odwróciła się z niecierpliwością i zaskoczeniem: to był głos agenta, który wczoraj odzyskał jej torebkę. Uświadomiła sobie, że od tego czasu, ilekroć myślała o FBI, przed oczami miała właśnie jego. Akurat wyszedł zza rogu z kubkiem kawy w papierowej torebce. Najwyraźniej i on miał za sobą niespokojną noc. Może nawet nie zajrzał do domu. Skóra na twarzy mu obwisła, a włosy były jakby w gorszej formie. Wczoraj, kiedy przyniósł jej

torebkę, nie uśmiechał się. Zaczekał, aż się uspokoi i jeszcze raz poprosił o dokument.

– Kazali nam przyjść na przesłuchania – powiedziała teraz Joyce.

Agent zmarszczył brwi.

– Ano tak. Musimy pokazać, że coś robimy.

– Czyli to niepotrzebne?

– Niech pani idzie ze mną – odparł i wyciągnął ją z kolejki. Kilka osób zdążyło się już za nią ustawić. Odprowadzili ją wzrokiem z dużym zaciekawieniem. Joyce cały czas czuła na ramieniu delikatny dotyk dłoni agenta. – Gdzieś grasuje bioterrorysta, a my nie możemy znaleźć żadnego śladu. Sprawdzamy więc wszystko, nawet głupie kawały. Wyrządzają dość szkód, żeby je ścigać jak przestępstwa. Z tym że ma pani rację, to tutaj to kompletna strata czasu.

Szli wzdłuż chodnika po drugiej stronie barierki. Stojący w kolejce pracownicy firmy Joyce obrzucali ją gniewnymi spojrzeniami, lecz ona nie zwracała na nich uwagi. Przy pierwszym punkcie kontrolnym funkcjonariusz tylko machnął na nich ręką. Joyce poczuła się, jakby selekcjoner wpuścił ją do ekskluzywnego klubu. To ją trochę ośmieliło.

– Nawet nie wiem, jak się pan nazywa – rzekła. Zwlekał z odpowiedzią, jak gdyby rozważał to zdanie pod kątem potencjalnej wartości dowodowej.

– Agent specjalny Nathaniel Robbins – odparł niechętnie. – Gdy wejdziemy, dam pani wizytówkę. A teraz proszę mi powiedzieć, pani Harriman, jaką funkcję pełni pani w firmie?

– Proszę mi mówić Joyce.

– Aha. – Powtórzył pytanie, po czym spytał jeszcze o nazwisko bezpośredniego przełożonego i ewentualnych podwładnych. Najwyraźniej ją przesłuchiwał, ale był przy tym jakiś rozkojarzony. Pokrywka na kubku z kawą poluzowała się i dno torebki przemokło. Trzymał ją z dala od siebie niczym tykającą bombę. Spytał Joyce o najważniejszych konkurentów na rynku, którzy mogliby skorzystać na czasowym zamknięciu firmy oraz czy nie zna kogoś, kto mógłby żywić do nich osobistą urazę. Zanim na to odpowiedziała, zrobiła wymowną pauzę, żeby zachęcić go do dalszych pytań, choć się ich obawiała. Agent już dalej nie drążył. Gdy zbliżali się do ostatniego punktu kontrolnego, Joyce zobaczyła Alicię, którą właśnie sprawdzano ręcznym wykrywaczem metali. Stała z uniesionymi rękami i wyglądała na zniecierpliwioną. Ona też ubrała się na czarno – w sukienkę mini z odkrytymi ramionami. Odwróciła się w ich stronę akurat w chwili, gdy ją mijali. Joyce przybrała ważną minę. Przy wejściu do budynku agent Robbins delikatnie chwycił ją za łokieć i poprowadził przez drzwi.

– Czy to znaczy, że jestem aresztowana? Roześmiał się i w jednej chwili ubyło mu z twarzy kilka

lat. W holu przy windach wyrzucił papierową torebkę do kosza i wciąż uśmiechnięty poprawił wieczko kubka. Tak pozytywna reakcja na jej uwagę zaskoczyła Joyce i zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Na razie nie – odparł.

Biuro Robbinsa stanowił średniej wielkości boks, w którym znajdowało się niewiele osobistych przedmiotów; nie było tam żadnych zdjęć dzieci. Joyce zauważyła też, że Robbins nie nosi obrączki. Właściwie zauważyła to już wczoraj. To rodzaj odruchu. To wcale nie znaczy, że automatycznie dodało jej to odwagi. Na tym bądź co bądź nieciekawym

etapie życia musiałyby sobie najpierw odpowiedzieć na pytanie, czego oczekuje od mężczyzny. A jednak nurtowało ją, czy z nim jest coś nie tak, skoro nie ma dzieci albo nie chce trzymać związanych z nimi pamiątek. Wiedziała, że Marshall przynajmniej stawia na swoim biurku zdjęcia Violi i Victora. Biurko przydzielone agentowi Robbinsowi pokrywały głównie papiery, biało-zielone wydruki zasłaniały klawiaturę stosunkowo nowego komputera. Jediną ozdobą obitej pomarańczową tkaniną ścianki działowej był przyczepiony plan Nowego Jorku. Z punktu, gdzie znajdowały się wieże WTC, rozchodziły się kręgi nakreślone w odstępach odpowiadających dwustu metrom.

– Proszę usiąść. To zajmie tylko chwilę – powiedział Robbins, wskazując czarne krzesło obite skajem.

– Mam powtórzyć wszystko, co powiedziałam? Pan nic nie zapisywał.

– Nigdy nie robię notatek – mruknął właściwie sam do siebie. Odstawił kubek. – Za dużo informacji zapycha system.

Otworzył szufladę i wyjął z niej woreczek strunowy, w którym znajdowała się szklana fiolka i kilka długich patyczków do uszu. Na komódce pod mapą stał duży słoik z przezroczystym płynem. Odkręcił pokrywkę i zanurzył w nim dwa patyczki. Trzymając je przed sobą w powietrzu, wstał i wyszedł z biurka.

– To wszystko, co muszę zrobić – powiedział i nagle ukląkł przy Joyce, tak że ich twarze znalazły się na jednej wysokości. – Staramy się zebrać jak najwięcej próbek.

– Próbek? – spytała zaniepokojona.

– Szukamy śladów zarodników węglika. Na wypadek, gdyby autor fałszywego alarmu miał kontakt z prawdziwymi terrorystami. Kto go tam wie.

Delikatnie ujął jej twarz w dłoń (och!) i zbliżył do siebie. Koniuszki jego palców pachniały kawą. Jednym płynnym ruchem wsunął patyczek do prawego nozdrza Joyce i przycisnął do ścianek. Unieruchomiona, mogła tylko patrzeć mu w oczy skupione na jej nosie. Wacik był wilgotny i dziwnie ciepły, a ruchy Robbinsa pewne. Obrócił patyczek, pociągając przy tym za delikatne włoski, i wyjął go. Następnie włożył do fiolki i powtórzył tę samą czynność w lewym nozdrzu. Wydawało się, że tym razem trwało to o sekundę dłużej i w tej właśnie sekundzie podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Joyce. A jednak wszystko z nim w porządku, stwierdziła. Czuła jego puls przenoszony przez patyczek. Robbins wysunął go obrotowym ruchem.

– Nie ma powodu do niepokoju – powiedział. Podniósł się z kolan i podał Joyce chusteczkę. – Na pewno niczego nie znajdziemy. Ale dziękuję, że pani przyszła.

Joyce siedziała jak przykuta do krzesła.

– To ja panu dziękuję – palnęła głupio.

Skinął głową. Wstając zaczerwienił się lekko na twarzy.

– To już wszystko?

Agent Robbins też wyglądał na zawiedzionego. A potem się uśmiechnął.

– Tak, to wszystko. Żadnych tortur. A jeśli pozwolą nam nielegalnie aresztować obywateli, zostanie pani powiadomiona.

– Mam nadzieję, że znajdziecie tego drania.

Na nalepce przyklejonej do woreczka z próbkami dużymi literami zapisał jej nazwisko.

– Ja też. Mogę prosić o numer telefonu?

– Ależ oczywiście – odparła radośnie, ale on dopisał go pod nazwiskiem, po czym wrzucił worek do brezentowej torby z logo FBI, która stała obok biurka.

Joyce sięgnęła po torebkę, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. To była jej ostatnia szansa. Wyglądało to tak, jakby opracowywała w głowie plan uwolnienia się z krzesła. Uniosła się, lecz w połowie drogi zrezygnowała i usiadła z powrotem.

– Jest pan pewien, że to nie był węglik?

– Ale co?

– Ten proszek u nas w biurze.

– Poddano go jonizacji, fluoroskopii i zbadano pod mikroskopem elektronowym. To zasyпка dla dzieci marki Johnson and Johnson. Znamy numer partii, wiemy, kiedy i gdzie ją wyprodukowano. Tylko że to nas ani trochę nie przybliżyło do schwytania terrorysty.

Joyce przyszło do głowy, czy nie powinna teraz wyjść i zapomnieć o całej sprawie. Kiedy zacznie mówić, sprawy wymkną się spod kontroli. Wciąż czuła w nosie lekki dyskomfort po zabiegu. Miała ochotę pobiec do toalety i porządnie wydmuchać nos.

– Agencie Robbins... – zaczęła. Nie wiedziała, czy mówić dalej, ale po chwili namysłu stwierdziła, że tak. – Pytał pan, czy nie znam kogoś, kto mógłby żywić osobistą urazę do naszej firmy. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy, ale znam kogoś, kto żywi urazę do mnie: to mój mąż. Wspominałam wczoraj, rozwodzimy się, sytuacja jest dosyć

skomplikowana. On jedenastego września był w World Trade Center, przeżył zamach, ale od tego czasu, sama nie wiem, jest jakiś niezrównoważony. Niby wcześniej też taki był – co ja musiałam przez niego przejść – ale teraz... Te przeżycia mogły coś zmienić w jego psychice, może chciał się w ten sposób na mnie odegrać.

Agent Robbins odwrócił głowę, jakby chciał już przejść do kolejnego przesłuchania. Joyce pożałowała słów „co ja musiałam przez niego przejść”. Wyjdzie na to, że się użala nad sobą.

– Uhm – mruknął.

– A ta koperta, którą pokazywali w telewizji... Ma pan może kopię? Znam charakter pisma mojego męża i mogę przysiąc, że jest dokładnie taki sam. Weźmy na przykład literę „g”.

Robbins skrzywił się z niechęcią i wydobył spod sterty papierów ksero listu.

– Mówi pani, że może przysiąc?

Dopiero po chwili zrozumiała pytanie i nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Czy naprawdę wierzy, że to Marshall przysłał list? Na powiększonej kopii pismo wcale nie wyglądało już tak podobnie, jak początkowo uznała. Laseczki w literach „h” i „l” były zbyt zaokrąglone, kreski w „f” za długie. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kartkę, na której Marshall zanotował w zeszłym miesiącu: „Newark–SF Un. 93 8:02 Berk Best West”. Nie było tam ani jednego „g”

– Tu mam próbkę – powiedziała i podała ją Robbinsowi.

Wziął ją do ręki i zaczął oglądać ze wszystkich stron. Obchodził się z nią jak ze sznurem pereł. Potem przyłożył ją do kserokopii koperty.

– Przekażę to do laboratorium. Nie da się ukryć, że jest podobne.

- O mój Boże.
- Jak się mąż nazywa i gdzie go możemy znaleźć?
- Aresztujecie go?

Tym razem się nie roześmiał. Nigdy wcześniej nie patrzył na nią w ten sposób, nawet wczoraj, kiedy usiłowała wytłumaczyć, dlaczego koniecznie musi odzyskać torebkę. To było czujne spojrzenie drapieżnika. Analizował każdy aspekt jej stroju i zachowania, każdy gest i słowo.

– A chce pani?

– Nie – odparła pośpiesznie. Zaczynała się go bać. — Chyba że uznacie to za konieczne.

– Zobaczymy. Jak on się nazywa?

– Marshall Harriman. Nie wiem, gdzie go można znaleźć, widzimy się tylko przelotnie, choć formalnie mieszka z nami. Mam numer jego komórki i numer adwokata...

Robbins zapisał je w notesie i jeszcze raz powoli odczytał Joyce na głos. Czowała się teraz jak donosiciel. Chciała wyjść.

– Miał już kiedyś tego typu wyskoki?

– Nie. To znaczy, na studiach lubił się wygłupiać, ale nie do tego stopnia...

– Proszę mi opowiedzieć o waszym małżeństwie.

– Nasze małżeństwo... – Upiorne widmo jej małżeństwa wyrosło przed nią niczym stupa wieża. Tak wielka, że nie da się jej obejść z żadnej strony ani przeskoczyć. Nie wiedziała, od czego zacząć. Właśnie dlatego zawsze był problem z terapią: żadne z nich nie umiało zdecydować, o czym najpierw powiedzieć terapeutce. – To sprawy osobiste – rzekła w końcu Joyce.

Agent zmarszczył brwi. –Tu jest FBI.

– No tak. Więc... – zaczęła jeszcze raz, starając się nie słuchać własnego głosu. – Nasze małżeństwo...

– Zbadamy sprawę – uciał Robbins i nagle się rozluźnił. Uśmiechnął się i wręczył Joyce swoją wizytówkę. Uznał, że nie chce o tym słuchać. – Proszę dzwonić, jeśli coś się pani przypomni albo gdyby coś się wydarzyło.

Bezmyślnie przyglądała się wizytówce.

– Co miałyby się wydarzyć?

– Nic, nic – odparł, lecz wcale jej to nie uspokoiło. – To na pewno nic takiego, pani Harriman. Jeśli będę czegoś potrzebował, zadzwonię.

Każdy powszedni dzień Marshall spędzał tak samo: wstawał, zakładał garnitur i wychodził z domu. Z dziećmi, jeśli akurat wypadła jego kolej na odprowadzenie ich do przedszkola, lub sam, gdy miała to zrobić Joyce. Szedł do metra na Borough Hall i wsiadał w najbliższy pociąg jadący na Manhattan. Wysiadał razem z wszystkimi na pierwszej stacji na Dolnym Manhattanie, szedł pod Strefę Zero i przyglądał się pracom na gruzowisku. Nie wiedział, czy pociąga go widowisko – dźwigi, ciężki sprzęt – czy po prostu nie może się odzwyczaić od codziennej rutyny. Uliczny sprzedawca, u którego zawsze zaopatrywał się w kawę i drożdżówki, straciwszy pod gruzami starą furgonetkę, wrócił na miejsce z nową. Marshall spożywał śniadanie razem ze strażakami i robotnikami budowlanymi. Poranki były przyjemnie jednolite, monotonne. Potem przez resztę dnia włóczył się ulicami, uważnie przyglądając się twarzom przechodniów.

Nie miał określonego planu ani celu. W niektóre dni zostawał na Dolnym Manhattanie, krążąc wąskimi, zacienionymi ulicami, gdzie nawet w tym pełnym ograniczeń okresie w miesiąc po zamachach roіło się od ludzi i

kwitł handel. Z każdego kąta wiało historią. W inne dni udawał się pieszo na Środkowy Manhattan. Godzinami snuł się między stoiskami u Barneysa, niczego nie kupując. Zaglądał do księgarń i wodził palcami po grzbietach książek, których nigdy nie przeczytał. Czasami wracał na Brooklyn przez most. Odkrył, że idąc cały czas na wschód, mijając po drodze tak egzotyczne dzielnice jak Mazar-el-Sharif, można jeszcze przed wieczorem dotrzeć do okręgu Nassau.

Momentami podczas tych wypraw ogarniała go taka depresja, że nie potrafił zrobić kroku. Stawał na rogu pierwszej z brzegu ulicy i rozmyślał o Joyce i o tym, jak ich życie zamieniło się w kompletną ruinę. Cóż on jej takiego uczynił? Czym sobie na to wszystko zasłużył? Dlaczego go tak nienawidzi?

Ale te pytania zajmowały tylko część czasu, wtedy gdy wydarzenia z 11 września na chwilę zniknęły z pamięci. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że jest październik 2001 roku, trwa reżim wojenny, a on sam kroczy po polu bitwy w mieście, gdzie jedna cywilizacja została zaatakowana przez drugą. Ta cywilizacja to Barneys, „New York Times”, elektroniczne karty do metra, zapłakana kobieta o kruczoczarnych włosach zatrzymująca na ulicy taksówkę, żółte taksówki, *mojitos*, adwokaci rozwodowi i Derek Jeter*, elementy pozostające w nieustannym ruchu i zderzające się z sobą. Zjawisko kolizji i zjawiska z niego wynikające określają tę cywilizację. Marshall też pozostawał w zderzeniu z każdą nieznaną twarzą lub widokiem, który napotykał na ulicy. Każde takie spotkanie to źródło kolejnych spostrzeżeń, myśli lub wyobrażeń o tym czy o owym.

* *Gwiazda bejsbolu, kapitan drużyny New York Yankees [przyp. tłum.].*

Tej jesieni Marshall zmagał się wręcz z ich nadmiarem.

Owszem, była to bardzo ładna jesień, niezwykle pogodny dzień, niebo przypominało przejrzystą, pulsującą błonę, za którą jest coś tak cudownego, że nie sposób tego oddać słowami. Kupił sobie drugie śniadanie: hot doga z sosem i musztardą.

Marshall bardzo długo mieszka w Nowym Jorku, ale jeszcze mu się nie udało spotkać przypadkiem na ulicy (pomijając bezpośrednio okolice domu i biura) ani jednej znajomej osoby. Miasto jest za duże, a szlaki jego mieszkańców zbyt nieprzewidywalne. To też charakterystyczna cecha tej cywilizacji. Marshall nie wątpi w bogactwo kulturalne tradycyjnych wiejskich społeczności, lecz idee, pojęcia czy wartości rodzące się, powiedzmy, w afgańskiej wiosce, wynikają z interakcji między rodzinami, między kuzynostwem a długoletnimi znajomymi czy między człowiekiem a jego naturalnym środowiskiem, funkcjonującym w przewidywalnym rytmie pór roku. Tamtejsze poglądy są zakorzenione w historii i silnych więziach społecznych. W Nowym Jorku ludzka świadomość zwykle czerpie z obcości, chaotycznego wzajemnego oddziaływania na siebie poszczególnych jednostek: młody mężczyzna w pomiętym smokingu przeszedł właśnie Trzecią Aleją; dwie nastolatki wyłoniły się z obłoku pary wydobywającej się z otwartej studzienki, otoczonej pojazdami przedsiębiorstwa energetycznego; policjanci na koniach; kobieta w wąskiej spódnicy do kostek, rozmawiając przez komórkę o jakimś niebezpiecznym mężczyźnie, stwierdza, że bierze sobie tydzień wolnego.

Stojąc na rogu ulicy i dojadając tłustą parówkę, której smaku nawet nie zdążył poczuć, Marshall zastanawiał się, czy ten chaos nie zaczyna zagrażać

społeczeństwu, które go stworzyło. Przecież mógł zginąć. Jego dzieci... Ktoś gdzieś w tej chwili jest bardzo zajęty. Rozdrabnia kolonie bakterii i powleka je krzemionką, żeby zmniejszyć ich właściwości elektrostatyczne. Wyklada wewnątrz adidasów porcją pentrytu. Mężczyźni w turbanach klikają na dziwne, tajemnicze ikony.

A jednak żyjemy, nie zdając sobie sprawy, jak wiele nas łączy. Pielęgnowujemy złudzenie niezależności, idiotyczną wiarę w to, że sami siebie kreujemy. Marshall teraz to rozumiał. Ruch uliczny, metro, telefony, e-maile, naładowane paliwem odrzutowce krążące nad naszymi głowami, Amerykański Urząd Pocztowy: to wszystko utrzymuje nas w delikatnej, drżącej, cienkiej jak pajęczyna sieci znaczeń. Jeden wrogi akt jest w stanie ją rozerwać na strzępy. Znaczenie naszej osoby leży w rękach innych i *vice versa*.

Po powrocie do domu Joyce znowu wzięła długi prysznic. Oczywiście zdenerwowała się trochę tym spotkaniem w Federalnym Biurze Śledczym, ale była też zaintrygowana. Poza tym trawiła ją jakaś silna, niepohamowana żądza, której nie umiała sobie na razie wytłumaczyć. Gorący prysznic był cudowny, podziałał uspokajająco i zarazem podniecająco. Ale tym razem nastrój ten nie skłonił Joyce do podjęcia kolejnej próby masturbacji. Nietypowo dla siebie postanowiła się dogłębnie zastanowić, co tak naprawdę chce robić. Rzadko miała ku temu okazję. Odpowiedź nadeszła sama: po tym długim, ciężkim i nerwowym dniu (dopiero minęło południe) największą ochotę miała na to, żeby pomalować sobie paznokcie. Tak, właśnie to robi. Skończyła się wycierać i otworzyła apteczkę. Z najwyższej półki prosto w jej ręce wytoczyła się plastikowa buteleczka z zasypką dla niemowląt. Joyce nigdy nie kupowała zasypki, bo kiedyś przeczytała, że

zawarty w niej talk jest rakotwórczy. Nigdy też nie łapała rzeczy w locie. To musiało coś znaczyć. „Johnson and Johnson”. No jasne, wszyscy kupują „John– son and Johnson”, ale jednak...

Dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Natychmiast zamknęła się od środka, mając nadzieję, że Marshall nie usłyszał trzasku zamka.

– Joyce? Jesteś w domu?

Zobaczył zamknięte drzwi łazienki. Joyce ogarnął nagle tak silny strach, że niemal się przewróciła. Spojrzała w zaparowanym lustrze na swą owiniętą ręcznikiem postać z butelką zasyпки w dłoni. W gardle jej zaschło i kręciło jej się w głowie. Cholera, ciuchy zostały w salonie. Pies zaczął skowyczeć.

– Joyce? – powtórzył Marshall.

– Czego chcesz? – odezwała się w końcu.

– Co ty robisz w domu?

– Kąpię się.

– O tej porze?

– To wolny kraj.

Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Miała przy sobie torebkę, a w niej telefon i palmtopa. Ile ma czasu, zanim Marshall się zorientuje, że znalazła puder? Wyjęła z portfela wizytówkę Robbinsa. Marshall stał zbyt blisko, żeby mogła użyć telefonu, ale w rogu wizytówki był też adres e–mailowy. Oddychając z trudem, nasłuchiwała kroków Marshalla i czekała, aż odsunie się od drzwi. Nie chciała, żeby usłyszał, jak stuka w klawisze.

Snuffles wył jak najęty. „Wyjdźże z nim” – błagała w duchu. Marshall odszedł. Joyce kciukiem wpisała na klawiaturze tytuł wiadomości: „wąglik – pilne”.

witam,

znalazłam w łazience puder dla dzieci nigdy go nie kupowaliśmy nr partii 141 b, man maj 01. maz jest w domu. nie moge rozmawiac, zamknelam sie w lazience co robic?

milo bylo poznac, prosze o szybka odpowiedz

joyce harriman

Pies umilkł, ale Joyce była pewna, że Marshall nadal jest w mieszkaniu. W jednej ręce trzymała zasypkę, w drugiej palmtopa i wpatrywała się to w jedno, to w drugie, aż w końcu obie rzeczy odłożyła na toaletkę. Spuściła deskę i usiadła na muszli. Ciekawe, czy Marshall coś podejrzewa. Nie powinien był zostawiać tego w apteczce, lecz wyrzucić do kosza – na ulicy, w Bronksie. Prawdopodobnie w tym momencie uświadamia sobie swój błąd. A agent Robbins prawdopodobnie nie siedzi teraz przy komputerze i nie sprawdza poczty. Raczej je lunch. Wyobraziła sobie, jak stoi przy ladzie w stołówce FBI z identyfikatorem przypiętym do marynarki i z ciężkim westchnieniem stawia na tacy talerz zupy jarzynowej. Bierze do niej chleb i w końcu nie zjada ani jednego, ani drugiego. Jest zatroskany i sfrustrowany. Pewnie wcale o niej nie myśli. Dziś rano musiał pobrać dziesiątki próbek. A jednak coś między nimi zaiskrzyło. Niekoniecznie od razu w sensie erotycznym. Robbins na pewno kogoś ma albo jest zbyt oddany swojej pracy, żeby znaleźć czas na kobiety. Niemniej bardzo, oj, bardzo przydałaby się teraz Joyce jakaś bratnia dusza. Wydawało jej się, że dojrzała jakiś żar w jego ciemnych oczach. Wszystko możliwe. Ale na razie przede wszystkim potrzebowała jego pomocy. I to natychmiast. Chciała, żeby rozwiązał ten problem i pomógł jej się wydostać z łazienki. Ciekawe, jak często sprawdza pocztę. Joyce sprawdziła swoją. Pusto.

Usłyszała, jak Marshall i Snuffles przechodzą przez salon, potem Marshall coś powiedział do psa. Nie wyglądało, żeby się gdzieś wybierali. Byłoby słychać odgłos brania smyczy i niecierpliwy tupot łapek na parkiecie. Plastikowa miska szurała po kafelkach w kuchni. Nawet przez zamknięte drzwi ten dźwięk doprowadzał ją do szału. Marshall karmił psa.

Ile czasu przyjdzie jej tkwić w tej łazience? Spróbowała się uspokoić i przygotować na dłuższe oczekiwanie. Wstała, żeby poprawić ręcznik i przez moment widziała swoje nagie odbicie w lustrze, wciąż miejscami zaparowanym. Jak na trzydziestopięcioletnią matkę dwojga dzieci figurę ma całkiem niezłą, zwłaszcza od pasa w górę. Świetny biust. Ładna, delikatna skóra, szczupłe kostki. Przyjrzała się uważniej, lecz tym razem starając się spojrzeć na siebie z zewnątrz, oczami agenta Robbinsa. Był to wzrok na przemian smutny, samotny, zamyślony, pełen uznania i drapieżny.

Usłyszała kroki Marshalla. Sprawdziła jeszcze raz, czy drzwi są dobrze zamknięte.

– Joyce, wyjdiesz wreszcie? Muszę do kibla.

Jej małżeństwo było właśnie jak ta łazienka. Od lat tkwiła zamknięta w ciasnym, dusznym i wilgotnym pomieszczeniu, próbując się schronić przed szaleńcem.

– Idź do Rogera i Lindy – rzuciła.

To było złośliwe. Przypomniał jej się – jemu pewnie też – pewien wieczór przed laty, kiedy w całym bloku na kilka godzin zabrakło wody i poszli kilka przecznic dalej do nowego, świeżo malowanego i jeszcze nie umeblowanego mieszkania Rogera i Lindy, żeby się wykąpać i umyć zęby. To był dzień powszedni i cała czwórka nazajutrz normalnie szła do pracy. Ale co tam: wtedy jeszcze nie mieli dzieci. Wypalili wtedy dwie paczki

papierosów i wypili kilka butelek wina, zamówili pizzę i siedzieli w kółku na podłodze, gadając niemal do rana. Ich osiem stóp i nóg od czasu do czasu niechcący się tręcało. Joyce pamięta jeszcze ten utrzymujący się zapach farby. W którymś momencie położyła się na plecach i spojrzała w sufit, wyłączając się na chwilę z rozmowy. Pomyślała wtedy, jaką jest szczęściarą, że ma takich inteligentnych, błyskotliwych przyjaciół, zdolnego i przedsiębiorczego męża, że jest młoda, inteligentna i mieszka w Nowym Jorku. A potem ci sami przyjaciele ją zdradzili, dając się Marshallowi przekabacić na swoją stronę.

– Joyce? – Marshall powiedział to niemal na jednym tonie. Słysząc było, że stara się nad sobą panować. Czyżby się domyślił, że znalazła zasypkę?

– Idź do Rogera i Lindy – powtórzyła. Chwyła ręcznik i zakryła nim twarz, przyciskając mocno do oczu, żeby się nie rozpłakać. Marshall odszedł.

Jeszcze raz sprawdziła pocztę i znalazła odpowiedź od Robbinsa: „Re: wąglik – pilne”. Kliknęła na nagłówek, ale pokazał się tylko pusty ekran. Przewinęła na sam dół aż do rozwlekłego ostrzeżenia o prawnych konsekwencjach nieuprawnionego wykorzystania treści wiadomości. Cofnęła się do menu i spróbowała ściągnąć wiadomość jeszcze raz. To samo.

Wrócił Marshall. Słyszała, jak krąży pod drzwiami.

– Pospiesz się, Joyce – powiedział tonem na poły błagalnym, na poły zniecierpliwionym. – Ja naprawdę muszę do kibla, i to bardzo. Joyce?

Joyce wpatrywała się w ekran palmtopa. Nadeszła druga wiadomość. Też pusta. Cholera. W trzeciej wreszcie pojawił się tekst, ale składał się z jednej literki:

– Joyce?

– Idź sobie – warknęła.

– Joyce?

–Co?

Nie odpowiedział. Nie wiedziała, czy jeszcze tam jest. Pochyliła się, nasłuchiwała, wreszcie Marshall zapytał:

– Joyce, dobrze się czujesz?

Zamurowało ją na te słowa. Wpatrywała się w to miejsce na drzwiach, skąd nadeszło pytanie. On myślał, że jej się zrobiło niedobrze. Może nawet, że chce popełnić samobójstwo. Kto wie, czy to nie byłoby lepsze wyjście. Nieraz przychodziło jej do głowy, żeby sobie podciąć żyły w wannie. W głosie Marshalla brzmiał autentyczny niepokój. To było tak, jakby w tłumie ludzi mignęła nagle twarz starego dobrego przyjaciela.

– Nic mi nie jest – odparła. Nieco ostrzej niż zamierzała. Słyszała, że nie ruszył się z miejsca. Milczał. Wyobraziła go sobie: ściągnięte usta, kciuki wsunięte do kieszeni spodni. On też wpatrywał się w drzwi. Pożałowała swego tonu. Marshall pytał przecież szczerze, a ona zachowała się niegrzecznie. Może się myli co do tego pudru? Może się myli co do wszystkiego?

Następne pytanie zadał już z wyraźnym cierpieniem w głosie.

– Czy ktoś jest z tobą?

– Jasne, strażak.

– Joyce...

– Odejdź stąd.

Odszedł, choć wcale na to nie liczyła. Przyłożyła ucho do drzwi. Robił coś w kuchni, przesuwiał krzesło, rozkładał naczynia na blacie. I nagle rozległ się donośny głuchy bulgot. Joyce od razu się domyśliła, co to jest: Marshall wypróżniał się do zlewu. Opadła z powrotem na muszlę i zamknęła oczy. Jak to się mogło stać, że upadli tak nisko? Czy to było nieuniknione, predestynowały ich do tego jakieś wrodzone wady charakteru? Czy ich małżeństwo rozpadło się przypadkiem, na skutek zrzędzenia losu lub czynników zewnętrznych, które tak przekształciły ich osobowości, że stały się potwornie niekompatybilne? Pod tym zlewem nie ma nawet młynka do odpadków. Słyszała, jak Marshall odkręca wodę. Po chwili wrócił pod drzwi.

– Wychodź, Joyce – powiedział udręczonym głosem. Chyba nawet płakał. – Wychodź natychmiast. Mam ci przynieść ubranie?

– Nie dotykaj moich rzeczy.

– To o co ci chodzi?

– Chcę, żebyś sobie poszedł. A tobie o co? – Chcę wiedzieć, co robisz w łazience. Siedzisz, tam już ponad godzinę.

– Idź sobie.

– Otwieraj. I to już. Spróbował przekręcić gałkę. To były stare drzwi z obluzowanym, przyrdzewiałym zamkiem. Chyba jeden z niewielu przedwojennych elementów, które uchowały się w tym mieszkaniu. Nie wymieniali go, bo doszli do wniosku – zupełnie niezależnie od siebie – że prędzej czy później któreś z dzieci wpadnie na pomysł, żeby się zatrzasnąć od środka, więc i tak będą musieli go wyłamać. Teraz akurat mechanizm

trzymał mocno. Marshall zaczął gwałtownie szarpać za drzwi, aż śruby chrobotyły. Joyce narobiła wrzasku.

– Wyłaż! – zagrzmiął. Z całej siły kopnął w drzwi, aż wszystko w łazience zadrżało. Pojemnik z pudrem spadł z toaletki i zawartość rozsypała się na podłogę, dokumentując swą nieuzasadnioną obecność w tym domu. Oczywiście, że to był jego charakter pisma. Każda rzecz w żalonym, pokręconym życiu Marshalla wskazywała na jego winę. Ciekawe, czy usłyszał ten hałas przed chwilą.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła. Podniosła puder, zakręciła go dokładnie i włożyła do torebki.

Marshall znowu zaczął walić w drzwi. Za chwilę albo wyłamie zamek, albo całą futrynę. To jest człowiek, który przed chwilą zrobił kupę do zlewu.

– Joyce!

– Pożalujesz tego.

– Jest mi wszystko jedno.

Kręcił gałką na wszystkie strony. Coraz bardziej się obluźowywała. Joyce z resztkami nadziei sprawdziła pocztę. Kolejny e-mail od Robbinsa – tym razem była treść.

ITAM, MAM NADZIEJEZE DOSZŁO PRZPRASZAM NIE MIELISMY JESZCZE SZKOLENIA NIE UMIEM TEGO OBSGIWAC. MAMY WINNEGO W NJ SAM SIE ZGLOSIL DXIEKI ZAPOMOC

– Słowo daję, Joyce – darł się Marshall – dzwonię po adwokata. Zgodnie z umową oboje mamy mieć pełny dostęp do łazienki, kuchni i telewizora. Słyszysz mnie?

– Spadaj!

– Nie myśl, że ci to zapomnę!

– Jakże bym mogła.

Z jednego zawiasu wypadła śruba. Joyce wlepiła wzrok w ekran palmtopa, nawet nie słysząc, co mówi Marshall. Gorączkowo stukała palcami w klawisze:

witam, ciesze sie, ze sie udalo, miło było pana poznać, a propos, zdarza się panu spotykać czasem na gruncie towarzyskim ze świadkami domniemanych przestępstw?:)

Marshall znowu zaczął się dobijać do drzwi. Tym razem było to rytmiczne bębnienie. Joyce zignorowała je i posłała wiadomość w sieć. Potem spokojnie poprawiła na sobie ręcznik, zawijając go równo i starannie, i jeszcze raz spojrzała w lustro, żeby otrzeć ślady łez. W jednym oku soczewka kontaktowa nieco się przesunęła, więc Joyce musiała kilka razy zamrunąć, żeby wróciła na miejsce.

– Joyce, dzwonię do adwokata! Mam w ręku telefon! Wykręcami numer!

Wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się na siłę do swego odbicia, żeby dodać sobie otuchy i powiedziała:

– Dobra, już idę.

Otworzyła drzwi. Marshall rzeczywiście miał w ręku telefon, trzymał go w powietrzu niczym naładowany rewolwer. Był czerwony na twarzy, koszula w połowie wystawała mu ze spodni. Bez wątpienia wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie sterroryzować całe miasto.

– Czy w tym domu człowiek nie może liczyć na odrobinę prywatności? – powiedziała ze spokojem Joyce. – Ciekawe, co na to powiedziałby adwokat. Nie omieszkałam zapytać.

A potem zabrała swoje ubrania z sofy i poszła się przebrać do pokoju dzieci.

TTLR

LISTOPAD

W czasach, kiedy potrafili się jeszcze razem śmiać, nieustającym źródłem żartów w ich domu był fakt, że ani Marshall, ani Joyce nie umieli prawidłowo wymówić ani zapisać nazwiska swojego lekarza, rosnącego mężczyzny o smutnych oczach, pochodzącego z jakiegoś tajemniczego kraju na Wschodzie.

– Jadę do kontroli do doktora Mouiwawaa... – zaczynał Marshall, a Joyce dostawała ataku śmiechu. Zanim urodziły się dzieci, przez trzy zimy z rzędu zapadała na zapalenie oskrzeli, ale poza tym odwiedzali jego gabinet raz na kilka lat. Wówczas mierzył im ciśnienie, analizował mocz, słuchał serca i wypisywał skierowania na badania krwi, które zwykle odkładali, aż zbliżał się termin następnej wizyty. Rzadko z nimi rozmawiał. Mieli wątpliwości, czy ich w ogóle rozpoznaje.

Szwy na głowie zakładano i zdejmowano Marshallowi w miejscowej izbie przyjęć, ale uznał, że musi odwiedzić własnego lekarza, kiedy na ciele z prawej strony pojawiła mu się dziwna wysypka. Zaczynała się w połowie uda, a kończyła w okolicach podbrzusza. Skóra w tym miejscu stała się wrażliwa i bolesna w dotyku, a środek wykwitu był wilgotny i łuszczył się. Badanie trwało krótko.

– Od kiedy pan to ma?

– Mniej więcej od półtora tygodnia. Pojawiło się trzeciego dnia po zamachach. – Lekarz spojrzał na niego pustym wzrokiem i Marshallowi zrobiło się głupio. Wszyscy teraz odmierzali czas od 11 września, nieważne czy oni sami, czy ktoś z ich znajomych był w Strefie Zero. Kiedy to się skończy? – Byłem tam – wyjaśnił. – W World Trade Center. Uciekłem.

Pan doktor ściągnął krzaczaste brwi.

– Naprawdę? – rzekł, przez chwilę mu nie dowierzając. – Jak pan zdołał uciec?

Marshall wolałby na ten temat nie rozmawiać, niewiele opowiadał ludziom o tamtych wydarzeniach, ale w tej sytuacji rozumiał, że to część wywiadu medycznego. Opowiedział więc lekarzowi o wszystkim, co się zdarzyło od momentu, gdy pierwszy samolot uderzył w wieżę. Pomiął tylko wątek o Lloydzie, człowieku, który razem z nim uciekł z budynku i zginął. Ten drobny epizod, dla innych przecież bez znaczenia, zachował jako sekretną część siebie. Resztę relacji wydzielał porcjami, krótko i zwięźle, żeby nie zanudzić lekarza szczegółami. Ten od czasu do czasu mu przerywał i z rosnącym zaciekawieniem dopytywał się: „Gdzie to było?”, „I co potem?”, „I jak się pan wtedy czuł?”. Tymczasem w poczekalni gromadzili się pacjenci. Gdy skończył, lekarz pokręcił głową.

– To musiało być straszne, panie Harriman. Teraz pan wie, co to znaczy, gdy życie przeplata się z historią.

Marshall chętnie by już założył spodnie. Siedział na kozetce, zasłaniając genitalia kartką papieru.

– Sądzi pan, że ta wysypka ma z tym coś wspólnego? Pan doktor podrapał się w głowę.

– Kiedy wieże runęły, w powietrze dostały się przeróżne toksyczne materiały: azbest, PCB, dioksyny... Być może jest pan na którąś z nich uczulony lub też jest to zwykła infekcja. Wypiszę receptę na antybiotyk i niech się pan do mnie zgłosi za tydzień. Proszę nosić przewiewne ubrania i nie dopuszczać do podrażnienia. Gdyby się pogorszyło, proszę dzwonić. Oto mój służbowy numer.

– Czy to może być zaraźliwe? , Lekarz wzruszył ramionami.

– A pańska żona ma objawy? .

– Myślałem o dzieciach. Mam dwoje, i czteroletnie. Na razie wyglądają na zdrowe.

Lekarz pokiwał swoją wielką łysą głową.

– Ach tak, pamiętam: chłopczyk i dziewczynka. – Marshall uśmiechnął się z wdzięcznością. – Nie, ja bym się o nie nie martwił, chyba że pan coś zauważy. A skoro żona nie ma objawów...

– Tego nie wiem. Nie rozmawiamy ani nie śpimy z sobą. Rozwodzimy się. W zasadzie jesteśmy w separacji, tyle że ja wciąż mieszkam w domu. Ona chce mnie wyrzucić z mieszkania, a potem oskarżyć o porzucenie rodziny czy coś takiego. Ten rok był najgorszy w moim życiu.

Zamachał rękami i zamilkł. O tym było mu jeszcze trudniej mówić niż o 11 września. Jego spojrzenie błagało o litość.

– No cóż – powiedział lekarz poważnym tonem. – Pańska żona zawsze wydawała się być nieco przeczulona.

Marshall energicznie przytaknął ruchem głowy, ale tak go to zaskoczyło, że zaniemówił. Komentowanie cech charakteru innego pacjenta z pewnością jest wbrew zasadom etyki zawodowej. Jeżeli coś takiego zdarza się renomowanemu lekarzowi z gabinetem w luksusowej dzielnicy i kolekcją dyplomów na ścianie, to znaczy, że musi mieć nadzwyczajne powody. Oczywiście, że Joyce jest przeczulona. Marshall zawsze tak uważał. Teraz dostał potwierdzenie od specjalisty.

Nigdy z taką satysfakcją nie opuszczał gabinetu lekarskiego. Zamknął za sobą drzwi i stojąc już na schodach, odwrócił się, żeby spojrzeć na

tabliczkę z nazwiskiem. Litery pływały mu przed oczami, hydra samogłosek w mętnej kałuży spółgłosek. Był tam jakiś łącznik i dwa „q” z uderzającym w oczy brakiem zwykłego w tym miejscu „u”. Marshall złożył usta i wymówił pierwszą głoskę – „m”. Potem wzdychając i stękając, usiłował tchnąć życie w następne. Niewykonalne. Nie ma mowy, żeby kiedykolwiek zapamiętał tę osobliwą sekwencję liter. Zmarszczył brwi i poszedł.

Wysypka nie zareagowała na antybiotyk i po kilku dniach skóra wokół zmienionego miejsca zaczęła go boleśnie swędzieć.

– Nie wolno drapać – ostrzegł doktor podczas następnej wizyty i zapisał Marshallowi maść. Przez kolejny miesiąc próbowali to leczyć na różne sposoby, ale nic nie pomagało. Dużo rozmawiali, głównie o 11 września, ale Marshall czekał tylko, kiedy lekarz wysnuje kolejne spostrzeżenie na temat jego żony. Nic takiego nie zrobił, jak gdyby słowo „przeczulona” dostatecznie ją podsumowywało. Asystentka doktora, dziewczyna o dużych, ufnych oczach, utykająca na jedną nogę (jak się okazało, jego córka) często przynosiła im pyszną herbatę w malutkich filiżankach. To zwyczaj, który pan doktor przeniósł tutaj z Kunduzu w Afganistanie, gdzie rozpoczął praktykę, jeszcze przed inwazją radziecką. Sączyli tę herbatę, a doktor opisywał straszliwą, trwającą rok wędrówkę swojej rodziny do Ameryki przez Iran i Pakistan. Córka została ranna w wybuchu miny. Po tym wszystkim Marshallowi głupio byłoby pytać, jak się wymawia jego nazwisko.

Pewnego popołudnia, kiedy wstąpił do drogerii po maszynki do golenia, coś go napadło, żeby sobie kupić zasypkę dla niemowląt. Co rano aplikował ją sobie na chore miejsce i po tygodniu egzema zniknęła. Ale i tak poszedł do kontroli. Lubił to miejsce, znajdował ukojenie w tych starych

murach, w przyćmionym świetle poczekalni. Lekarz imponował mu swym rozsądkiem i cichym heroizmem. Córka nieśmiało się uśmiechała. Pogratulowali mu zdrowej, różowej skóry.

– Szkoda, że talk nie może rozwiązać innych moich problemów – stwierdził gorzko.

Lekarz cmoknął. Pod względem stroju i sposobu bycia był typowym nowojorczykiem, akcent miał neutralny, ale to cmoknięcie od razu zdradzało jego obce pochodzenie.

– Wciąż bez zmian?

– Niestety.

– Niech pan będzie silny, przyjacielu – odparł uśmiechając się serdeczniej niż zwykle w jego obecności. – Przetrwiał pan coś znacznie gorszego.

Położył mu dłoń na ramieniu. Marshall mówiąc te słowa miał nadzieję, że pan doktor dorzuci jakąś osobistą uwagę. Chętnie by tam został i przesiedział na kozetce cały dzień.

Był to miesiąc, w którym Stany Zjednoczone rozpoczęły kampanię wojskową przeciwko talibom, prowadząc intensywne bombardowania i wykorzystując siły specjalne do wspomaganie oddziałów afgańskiego Sojuszu Północnego, które po początkowym wahaniu rozpoczęły marsz na Kabul i przystąpiły do oblężenia Kunduzu i Kandaharu. Każdy dzień przynosił wiadomości o kolejnych amerykańskich nalotach, także o omyłkowo trafionych celach i ofiarach wśród cywilów. Joyce z uwagą studiowała mapy publikowane w „Timesie”, więc wkrótce dobrze poznała suchy, górzysty obszar tego kraju pokryty żółtobrunatnym pyłem i orientowała się w rozmieszczeniu poszczególnych grup etnicznych,

Pasztunów, Tadżyków, Chazarów czy Uzbeków. Umiała wskazać największe miasta i główne bastiony zarówno talibów, jak i ich przeciwników. Śledziła kolejne zwroty w działaniach wojennych, zmieniające się sojusze, spiski i zdrady oraz trwający spór, czy Stany Zjednoczone powinny włączyć do walki oddziały lądowe. Zachwycała ją uroda Afgańczyków, wpatrujących się w obiektywy kamer: błękitnoocy, czarnowłosi, dzicy i namiętni. Kobiety ubrane były w fioletowe i bordowe suknie i chusty wyszywane złotem. Pewnego wieczoru, kiedy dziećmi opiekował się Marshall, Joyce wyjęła swoją szkatułkę z biżuterią i odszukała w niej starą orientalną bransoletkę wykładaną lapis–lazuli, którą często nosiła, zanim pierwszy raz zaszła w ciążę i spuchły jej nadgarstki. Założyła ją na prawą kostkę i postanowiła się wybrać na kolację do afgańskiej restauracji. Zamówiła aromatyczne danie z ryżu i jagnięciny o nazwie *gabili*. Było przepyszne. Nad wejściem do kuchni wisiała wielka amerykańska flaga, a drzwi frontowe zdobiły trójkątne czerwone, białe i niebieskie chorągiewki. Mimo to Joyce czuła się bardzo egzotycznie, jak na drugim końcu świata.

Fascynowali ją afgańscy przywódcy i ich chwiejna lojalność. Żaden oddział miejscowej milicji nie był odporny na zdradę czy propozycję nowego sojuszu. Całe klany zmieniały sojuszników nawet bez wiedzy członków swych rodzin. W górach zrzucono z samolotów ogromne sumy pieniędzy – gotówki w postaci dwudziestodolarowych banknotów. Hojnie udostępniano najnowocześniejszy sprzęt wojskowy i transportowy, a jednak bojownicy milicji nie docierali na wyznaczone posterunki, a jeśli nawet, to odmawiali użycia broni. Przywódcy oskarżali swoich rywali o sprzyjanie talibom tylko po to, żeby wyrównać stare porachunki. W ten sposób tak

sterowali armią amerykańską, że zrzucała bomby na cywilne konwoje, szkoły lub, jak ostatnio, zabawę weselną. Panna młoda, pan młody, ich bracia, siostra oraz kilkoro starszych członków rodziny zginęło, wywołując wśród ocalałych żądę zemsty: oko za oko. Prawdziwi talibowie i terroryści z al Kaidy zdążyli się wtopić w społeczeństwo. Aby zapewnić sobie współpracę ludności afgańskiej w wyzwaniu ich własnego kraju, Amerykanie byli zmuszeni przymknąć oko na zwiększenie produkcji opium. Jednocześnie wiedzieli, że aby później ten proceder ukrócić, tym samym Afgańczykom trzeba będzie słono zapłacić.

Kiedy Joyce za pośrednictwem gazet i telewizji lepiej poznała specyfikę życia tamtejszego społeczeństwa, zauważyła, że Afgańczycy rzadko postrzegają się nawzajem jako indywidualne jednostki. Znacznie ważniejsza jest przynależność do klanu, a relacje między klanami opierają się na chłodnych kalkulacjach. Całe dziesięciolecie historii tego kraju można by określić kilkoma prostymi zasadami: „przyjaciel mojego przyjaciela jest moim przyjacielem”, „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”, „przyjaciel mojego wroga jest moim wrogiem” i tak dalej. Co do pozycji kobiet w społeczeństwie, to nie są one traktowane jak zwykła własność, lecz jak cenny przedmiot o cechach mistycznych. Na przykład seksualność afgańskiej kobiety to czara, w której przechowuje się honor ojca, braci oraz męża. Obchodzi się z nią ostrożnie, dba o nią i okłada miękką poduszką tradycji. Mężczyzna może na zawsze stracić twarz przez zachowanie swojej krewnej lub nawet przez zachowanie innego mężczyzny wobec niej. Niedawno w prowincji Faryab bojówki pasztuńskie najechały na kilka wiosek tadżyckich tylko po to, żeby zgwałcić tamtejsze kobiety. Wymuszony akt seksualny (pewnie niewiele mniej romantyczny niż w nie

jednym tadżyckim małżeństwie, jak przypuszczała Joyce) to szansa okrycia hańbą małżeństwa, rodziny czy klanu na całe pokolenia. W Afganistanie seks nie jest przyjemnością czy wyrazem miłości. To broń.

Mimo to Joyce czuła, że Afgańczycy coraz bardziej ją fascynują przez swoje piękno i pierwotną godność, nawet jeśli ich brutalność, niewiarygodność i przekupność zdawały się jej przeczyć. Powszechnie uważa się, że 11 września na zawsze odmienił Amerykę. Joyce zaczęła się zastanawiać, czy prawdziwa przemiana nie nastąpi teraz, kiedy Ameryka zbratała się z przywódcami wojennymi i wiejskim ludem, fundamentalistami i najemnikami. Czy dobrobyt i doraźne cele w polityce zagranicznej USA nie zdemoralizują Afgańczyków? A może to my dajemy się demoralizować przez ich żądania finansowe, nielojalność i pogardę dla demokratycznych ideałów?

Tymczasem życie Joyce nie zmieniło się ani trochę. Nadal była nierozwiedziona i straciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie. Ich małżeństwo przypominało zawody, którymi rządzi paradoks strzały – zbliżają się do tego rozvodu małymi krokami, ale nigdy go nie osiągną. Po długim stanie zawieszenia działań po zamachach, Joyce i Marshall wznowili spotkania z adwokatami, którzy sami mieli już dosyć przedłużającego się sporu, mimo sowitych honorariów, jakie dzięki temu pobierali. Tym razem Marshall zastosował nową taktykę: dobro dzieci. Jakoś do tej pory ojcowska troska nie pozwalała mu spędzić z nimi ani jednego dnia bez włączania telewizora, pamiętać o kupieniu im mleka, zabierać ich na spacer, żeby Joyce mogła posprzątać, poprosić w firmie o podwyżkę, żeby zawczasu mogli zaoszczędzić trochę grosza na finansowy Armagedon prywatnej edukacji lub zwyczajnie być dobrym ojcem, dobrym człowiekiem. Teraz stwierdził, że

nieuściepliwość Joyce działa na szkodę dzieci. Zanim ta zdążyła zaprotestować, że wcale nie jest nieuściepliwa, prawnicy zaczęli rozważać, w jaki sposób można ustalić rozmiar tych szkód.

Zadzwoił telefon. Dzieci siedziały na podłodze i bawiły się. Viola próbowała wyłudzić od Victora ciężarówkę, której używał głównie do jeżdżenia tam i z powrotem po wybrzuszeniu na dywanie. Nie zgodził się, więc poskarżyła się mamie. Joyce wykorzystała okazję i pouczyła ich, że takie spory powinni rozwiązywać między sobą. Potem ściszyła telewizor, w którym właśnie oglądała relację na żywo z pozycji oddziałów Sojuszu Północnego, i podniosła słuchawkę.

– Pani Harriman!

To był sympatyczny głos, brzmiał znajomo. Należał do mężczyzny, który sprawiał wrażenie, jakby nie posiadał się z radości, że może z nią rozmawiać.

– Tak, słucham?

– Jerry Boyd z tej strony!

Jerry Boyd. Pogrzebała w pamięci, ale miała tam pustkę. Wyglądało na to, że to ktoś, kogo powinna znać. Klient? Kolega z pracy? Stary znajomy? Głos miał pogodny, delikatnie modulowany.

– Jerry Boyd – powtórzyła próbując sobie przypomnieć, czy miała już okazję wypowiadać to nazwisko.

– Tak, z Headhunters Transnational! Witam serdecznie, mam nadzieję, że nie oderwałem pani od kolacji.

Nie, nie zna go. Ale to headhunter! Nagle jaskrawo dostrzegła wszystkie wady swojej obecnej pracy: niskie zarobki, coraz mniejsze szanse na awans, ludzie w biurze i to, że wszyscy już wiedzą o jej nieudanym

małżeństwie. Zrobiłaby wszystko, żeby zmienić swoje życie, nawet jeśli oznaczałoby to wyjazd do innego miasta i rezygnację z mieszkania. Choć trudno byłoby to przeprowadzić tak, aby Marshall na tym nie zyskał.

– Nie, skądże – odparła. Nawet jeszcze nie myślała, co robi na tę kolację.

– To świetnie, bo nie chciałbym przeszkadzać.

W czasie gdy czekała, aż człowiek po drugiej stronie linii wyjaśni powód swego telefonu, układana w myślach lista zawodowych rozczarowań rozrosła się do niebotycznych rozmiarów.

– W czym mogę pomóc?

– Czy zastałem pana Harrimana?

Odwróciła głowę od telefonu. Stwierdziła, że Jerry Boyd ma obleśny, wazeliniarski ton głosu prezentera teleturnieju. Jakież to smutne okoliczności życiowe doprowadziły go do tego, że musi zawracać ludziom głowę w porze kolacji? Pewnie rozwód. Viola próbowała teraz kupić ciężarówkę od Victora. Niestety, w zamian oferowała mu jedynie paproch z dywanu. Nie był zainteresowany. Strzepnęła mu go więc na głowę. Joyce wzięła oddech i odpowiedziała:

– Nie, nie ma go w domu.

– Oj, to szkoda – powiedział autentycznie zawiedziony. – Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. Jerry Boyd, Headhunter Transnational. Wiemy, że jego firma przechodzi reorganizację po wrześniowej tragedii. To może być doskonały moment, żeby się rozejrzeć za czymś korzystniejszym finansowo. Chciałbym go umówić na spotkanie z naszym klientem. To jedna z największych firm w kraju.

Viola właśnie podniosła stawkę do dwóch paprochów. Victor nie raczył nawet rzucić okiem.

– Mówiłam, że męża nie ma w domu.

– Rozumiem – powiedział Jerry Boyd. – Gdyby podała mi pani numer, pod którym mogę go zastać...

– Wyjechał. Za granicę. Dołączył do pieprzonych talibów – rzuciła i trzasnęła słuchawką. Przez chwilę wpatrywała się w telefon i ukazała się jej wizja Marshalla w długiej białej szacie, z brodą, siedzącego w zakurzonej jaskini i czytającego Koran. Wyglądało to całkiem przekonująco.

Viola zakończyła negocjacje z bratem. Chwyciła ciężarówkę, odpychając Victora na bok, po czym palnęła go mocno po głowie.

– Viola! – krzyknęła Joyce i zabrała jej zabawkę. To był tani plastikowy samochód z logo ONZ, dołączany do zestawu dla dzieci w McDonald'sie. Ale Victor zaczął się drzeć i lamentować wniebogłosy, jakby chciał wyrazić całą niedolę ludzkiej egzystencji. Jego krzyki wypełniały mieszkanie niczym powódź i pewnie było je słychać na korytarzu i u sąsiadów z góry. Joyce chciała go przytulić, ale on w tym momencie nie dawał się dotknąć. Jego kruche ciało było napięte, rozpalone i nastawione wyłącznie na wydawanie dźwięku.

– Bo on mi nie chciał pożyczyć! – broniła się Viola, a po chwili sama zaczęła płakać.

Otworzyły się drzwi i do mieszkania wszedł Marshall z kartonem papierosów pod pachą. Victor poderwał się z podłogi i minawszy matkę pomknął jak strzała do przedpokoju. Marshall roześmiał się i wtedy Viola także do niego podbiegła. Popisywał się unosząc ich oboje na rękach i nie upuszczając przy tym papierosów.

– Co jest, smoki? Kto mi tu płacze? Co się stało?

Joyce zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, kiedy wchodził z dziećmi do salonu. Jeszcze trochę chlipały, ale po chwili już zaczęły chichotać, zapominając o pierwotnej przyczynie łez. Marshall nie zwracał uwagi na Joyce.

– Żadnego palenia w mieszkaniu – warknęła. – Ustaliliśmy to. Jest zapisane w umowie.

Marshall w dalszym ciągu otrzymywał pensję, ale jego firma, która we wrześniowej tragedii straciła wielu kluczowych pracowników, teraz ledwo przędła. Ocalałych pracowników z WTC oraz innych nowojorskich biur przeniosła do szklanego wieżowca na Środkowym Manhattanie, celowo wybierając pomieszczenia z oknami wychodzącymi na południe, z widokiem na Strefę Zero. Prezes ze łzami w oczach, nie kryjąc emocji, oświadczył, że nigdy nie zapomną o ofierze poniesionej przez ich kolegów. Było to w katedrze Św. Patryka podczas uroczystej mszy z udziałem chóru chłopięcego z Harlemu. W holu nowej siedziby odbyło się też uroczyste odsłonięcie pamiątkowej ściany ze zdjęciami pracowników, którzy zginęli. Firma oświadczyła, że z rodzinami ofiar łączy ją teraz nierozzerwalna więź. Zadeklarowała wsparcie i wszelką pomoc. Po biurach krążyli psychologowie, czujni jak inspektorzy przeciwpożarowi.

Marshall niechętnie się otwierał podczas sesji terapeutycznych, zarówno indywidualnych, jak i grupowych: zarzucano mu, że tłumi w sobie żal. Nawet kiedy przyznał, że tak, właśnie to robi, właśnie tak potwornie się czuje, psychologowie i koledzy kręcili nosami. Zauważyli, że jako jedyny na szkoleniu weekendowym w Berkshires miał z sobą rakietę do tenisa. Kolejny raz dano mu do zrozumienia, że nigdy nie był zbyt lubiany w

firmie. Rzeczywiście już tego roku w lecie Marshall zaczął podejrzewać, że niektórzy przełożeni kombinują, jak tu zlikwidować jego stanowisko. Choć wrześnie zamachy wstrzymały na chwilę biurowe intrygi (teraz firma stała się rodziną o większych zobowiązaniach wobec swoich członków niż niejedna naturalna), czuł, że jego notowania znowu zaczynają spadać.

Poza tym całe dni spędzał, opracowując strategie przeciwko Joyce. Postępowanie rozwodowe weszło w ostatnią fazę, kiedy ogólne warunki ewentualnej ugody były już mniej więcej ustalone, lecz Joyce nadal walczyła, wykorzystując każdą jego pomyłkę czy skrupuł. Marshall zachowywał się wobec niej tak samo, zbierał informacje i wyszukiwał słabe miejsca. Rozwinął system wydobywania informacji od dzieci. Działał po kryjomu, wciągał je w rozmowy, lecz nie zadawał konkretnych pytań, żeby te nie dotarły potem do Joyce. Prowadził listy i sporządzał tabele, miał całą teczkę możliwych rozwiązań i scenariuszy.

Z przypadkowych chłopięc Violi – na przykład do Victora: „Jesteś za mały, żeby nieść obrączki” – Marshall wywnioskował, że siostra Joyce, Flora, wychodzi za mąż. Nareszcie. Uśmiechnął się. Zawsze żywił ciepłe uczucia wobec tej dziewczyny, drobniejszej, łagodniejszej, bardziej nieśmiałej wersji Joyce. Flora była tą młodszą siostrą, która nigdy nie odważyłaby się przenieść do Nowego Jorku i panicznie się bała straszliwych konsekwencji małżeństwa. Ostatnio jednak, jak przypuszczał Marshall, z ich dwóch to ona musi wydawać się tą rozsądniejszą, tą, która ma więcej szczęścia w życiu. Lubił jej chłopaka, Neala. To bystry, momentami zabawny informatyk, który od lat cierpliwie znosił milczącą dezaprobatę rodziców sióstr. Marshall przypomniał sobie pewien wyjątkowo długi z racji Święta Dziękczynienia weekend w Connecticut, kiedy to Neal popełniał

jedną gafę za drugą: włączał bez pytania radio w salonie, rzucał dowcipy o Monice Lewinsky niczym komik... Raz też o mało nie przewrócił lampy. Flora była sina ze złości. W niedzielę rano Marshall z Nealem przeszli się do lasu na spacer i choć nie rozmawiali o weekendowych wpadkach, towarzystwo Marshalla jakoś go rozluźniło i pobyt został uratowany. Zatem wieść o nadchodzącym ślubie nie była specjalną sensacją, lecz dla Marshalla miała wielką wagę, wagę wspaniałej okazji, której nie można zaprzepaścić.

Już tydzień zwlekał z telefonem do Neala, a wciąż nie był pewien, w którą stronę poprowadzić tę rozmowę. W końcu zadzwonił, zastał go w pracy. Przedstawił się, a w słuchawce zapadła zaskoczenia cisza, jak gdyby rodzina Joyce już dawno uznała go za zmarłego.

– Cześć – odezwał się w końcu Neal. Głos miał napięty, ostrożny.

– Cześć, stary, ale się cieszę! Słyszałem, że ty" i Flora wreszcie...

Przepraszam, zadzwoniłem nie w porę?

– Marshall?

– To wspaniała nowina. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

– Dzięki, ja... – urwał, zastanawiając się chyba, czy może to powiedzieć – ...nie spodziewałem się telefonu od ciebie. Wiesz, ta cała sytuacja...

– Wiem, wiem, ale to nieważne. Czuję, że muszę zadzwonić. Strasznie dawno nie gadaliśmy. Co u ciebie słyhać?

Wcale nie byli aż takimi kumplami, właściwie łączył ich tylko tamten weekend w Connecticut, parę innych rodzinnych spotkań oraz znajomość dwóch sióstr podobnych do siebie z wyglądu i charakteru. Zaczęli rozmowę, ale jakoś się nie kleiła. Neal ożywił się dopiero, gdy zaczął opowiadać, czym się teraz zajmuje – laboratorium, w którym pracuje, właśnie wygrało

przetarg na zaprojektowanie systemów bezpieczeństwa dla lotnisk – i wspomniał nieśmiało, że chcą z Florą kupić dom. Nagle o mało się nie zakrztusił, przypomniawszy sobie, że Marshall pracował w World Trade Center. Zaczął się dopytywać, składać kondolencje, ale Marshall zbył temat, mówiąc tylko, że feralnego dnia nie zdążył dotrzeć do biura. Jeszcze raz pogratulował mu decyzji o ślubie.

– Pewnie dziwnie się czujesz, słysząc kogoś, kto się cieszy, że się żeni – powiedział Neal.

– Nie, nie, bynajmniej – zapewnił go Marshall. – Uważam, że małżeństwo to świetna sprawa. Czasami coś nie wyjdzie i to jest oczywiście przykre, ale myślę, że najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem, było właśnie to, że się ożeniłem i zostałem ojcem. Że w ogóle spróbowałem.

Czy rzeczywiście? Właściwie nigdy się nie zastanawiał, czy żałuje, że poślubił Joyce. Nawet teraz nie uważał, że to małżeństwo było błędem. Era tragicznych w skutkach błędów nadeszła później. A dzieci? Musiałyby być potworem (Joyce twierdzi, że jest), aby żałować, że się urodziły, ale faktem jest, że byli z Joyce znacznie szczęśliwsi, nim zostali rodzicami. Nie pamięta nawet, o co się wtedy kłócili. Oczywiście kochał swoje dzieci, ale wątpił, czy będzie mu kiedykolwiek dane czerpać należyłą przyjemność z ojcostwa. Kolejna rzecz, której pozbawiła go Joyce.

A więc jeśli nie małżeństwo i dzieci, to co? Co w takim razie było najlepszą rzeczą, jaką zrobił w życiu? Czy coś związanego z pracą? Jakiś akt altruizmu? Czy imię Lloyda pojawi się gdzieś w odpowiedzi na to pytanie?

Otrząsnął się z chwilowego zamyślenia i dodał:

– Flora to wspaniała dziewczyna. Śliczna, inteligentna, spełniona, z poczuciem humoru...

– To prawda – przyznał Neal.

Marshall szacował jego entuzjazm. Słowo „spełniona” dorzucił jako przynętę. Flora była kiedyś jedną z najlepszych studentek, ale od tamtego czasu miota się między jedną kiepską, nisko płatną pracą a drugą. Nie wyczuł w jego głosie ani cienia wątpliwości. Widocznie Nealowi odpowiada, że Flora pracuje jako recepcjonistka. Poszedł więc dalej:

– Zresztą cała rodzina jest fajna. Bardzo w porządku ludzie. Jak wszyscy wiecie, mnie i Joyce już się raczej nie uda dogadać, ale mam nadzieję, że zawsze będę mile widziany w Canaan. Wiesz, od czasu do czasu jakiś weekend, wakacje... – Koń by się uśmieł. Świadomość, że jest w stanie wygadywać takie bzdury wyzwoliła go i dała ogromne poczucie siły. – Zawsze podziwiałem rodziców Joyce. Deke ma taki twardy charakter i jest niesamowicie odczytany, a Amanda taka elegancka...

– Uhm – mruknął Neal.

Bingo. Jest fałszywa nuta. A więc tu go coś gryzie. No jasne, Amanda zawsze krzywo patrzyła na kontakty Neala z jej córką i wszyscy o tym wiedzieli. Joyce napomknęła kiedyś, że Neal jest u niej w niełasce, ale nie sprecyzowała dlaczego. Marshall domyślił się, że to kwestia starcia się dwóch różnych temperamentów: Neal to chłopak z miasta, przesadnie się spoufala, zachowuje zbyt swobodnie w niewłaściwych sytuacjach, pozwala sobie na żarty, kiedy nie wypada. Nawet on bywał czasem zażenowany. Te cechy mogą odstręczać matkę Joyce.

– To bardzo ładna kobieta, strasznie drobiazgowa, każdy włoszek musi być na swoim miejscu – ciągnął Marshall. – Choć to prawda, że czasem zachowuje dystans, pod tą lśniącą fasadą jest lód. No i jest trochę przeczulona, nie sądzisz? Ale taki już jej urok.

– Może.

– U dziewczyn też go widać, wiesz? Ten blask. Pamiętasz wesele w Bostonie? Jak one pięknie wyglądały w tych czarnych, aksamitnych sukniach? Te nagie ramiona, te kaskady loków... Oczu nie mogłem oderwać.

– To prawda, obie siostry wyglądały tego dnia prześlicznie. – I wiesz, to zabawne, ale one też bywają chorobliwie przeczulone na punkcie niektórych spraw, całkiem jak Amanda. Joyce na pewno, zawsze jej to komplikowało życie, nie tylko w domu. To ludzi zniechęca... Nawet nasza mała Flora...

– Nie, no wiesz...

A więc to nie to. Neal zupełnie nie podzielał jego zdania. Marshallowi nie udało się zlokalizować źródła tego pełnego rozczarowania „Uhm”. Chciałby go namierzyć i zakłócić dumny marsz Neala i Flory do ołtarza. Do cholery, przecież Flora jest przeczulona, przynajmniej czasami. Czy Neal tego nie widzi? Czemu nie potrafi dostrzec, że cała ta rodzinka jest wredna, powietrze, którym oddychają jest przesycone jadem, a dom w Connecticut to jedno wielkie gniazdo żmij?

– W każdym razie, to wspaniała dziewczyna – kontynuował. – Pasujecie do siebie. Słuchaj, Neal, muszę kończyć, mam masę pracy, ale jeszcze raz przyjmij moje najserdeczniejsze życzenia. I ucałuj ode mnie Florę. Nie wiem, jak to dokładnie jest, ale wygląda na to, że dalej będę wujkiem dla waszych dzieci.

– Chyba tak... – mruknął Neal, zapewne analizując w głowie zasady pokrewieństwa. – Kurczę, dzięki, Marshall. Wzruszyłem się, serio. Tobie też życzę wszystkiego dobrego. Wiem, że przeżywasz teraz nieciekawą okres...

– To na razie, trzymaj się...

– Marshall, posłuchaj. Za dwa tygodnie organizuję małą imprezę. Chcemy wyskoczyć z kumplami na miasto. To nie będzie wieczór kawalerski, raczej zwykła kolacja w restauracji. Mój brat przylatuje z Kalifornii. Nie zapraszałem cię, bo wiesz... Ale może jednak byś wpadł? Będzie fajnie, na luzie.

Gdyby ktokolwiek w biurze spojrział teraz na Marshalla, mógłby się przestraszyć albo nawet obrazić, widząc zęby wyszczerzone w szerokim uśmiechu, który rozplątał mu się na twarzy.

– Takiej okazji nie mógłbym przegapić. A Flora nie będzie miała nic przeciwko temu?

– Zabije mnie – zażartował Neal, ale Marshall wyczuł w jego głosie lekką nerwowość. Chyba zbyt pochopnie wyskoczył z tą propozycją i teraz zaczyna żałować.

– Słuchaj, nie musimy tego ogłaszać – powiedział Marshall.

– No tak... – Neal wciąż się wahał.

– Przecież nie jestem jakimś wrogiem. Mam nadzieję, że Flora mnie za takiego nie uważa. Nawet ja i Joyce nie jesteśmy dla siebie wrogami. Ciągłe wiele nas łączy, po prostu coś tam po drodze nie wyszło...

Kolejna jawna bzdura – dobrze wiedział, jaką ma opinię w rodzinie żony – ale Neal to uczuciowy facet, pewnie ma romantyczne wyobrażenia nie tylko o małżeństwie, ale i o rozwodzie. Podał Marshallowi termin i miejsce imprezy: włoska restauracja w West Village. Upragnione namiary.

Doktor Nancy, psycholog dziecięcy, rozłożyła na stole kartki z rysunkami. Pan Peter, kurator sądowy, w pierwszej chwili nic z nich nie rozumiał. Dało się rozpoznać postacie ludzi, ale nie było wiadomo, co robią ani gdzie się znajdują. Pociągnięcia kredką były niestaranne, dominowała

czerwień, prawie każdy rysunek pokrywała plątanina bohomazów w tym kolorze. Oprócz postaci, jedynymi rozpoznawalnymi kształtami były podłużne prostokąty narysowane pod skosem, niektóre zakreskowane. Doktor Nancy objaśniała kolejne rysunki, kładąc na każdym swój długi, polakierowany paznokieć: to jest mama i tata razem, to jest tata z córką, tata sam z synkiem, mama z synkiem, sam synek, a tutaj, proszę spojrzeć, cała czwórka razem. Pan Peter chwilę przyglądał się rysunkowi. Postacie trzymały się za ręce, częściowo zamazane czerwoną kredką.

Bardzo seksowne paznokcie, pomyślał. Doktor Nancy miała na sobie spódnicę do pół łydki, pończochy i błyszczącą bluzkę. Większość kobiet w jej zawodzie ubiera się raczej szaro i skromnie, przybierając taki matczyńsko-babciny wizerunek, co ma wzbudzać zaufanie u dzieci. On wolał ten wizerunek. Patrząc na tę zgrabną i energiczną kobietę, jeszcze dość młodą, pan Peter zastanawiał się, jak rozwinie się ta sprawa i czy potem nadal będą z sobą współpracować. Spróbował zajrzeć w przyszłość, żeby się dowiedzieć, czy zawiera ona przyjaźń, zwierzenia, czułe słówka, romantyczne zwody i uniki oraz dalsze komplikacje – spisek, który albo zakończy się uczuciem, albo nie. Dobrze, że założył dziś swój najlepszy granatowy garnitur.

Pierwszy wniosek pana Petera po obejrzeniu rysunków był taki, że dziewczynka, teoretycznie jego prawna podopieczna, ma opóźnienia w rozwoju sprawności motorycznych – dość częsty przypadek u dzieci z rodzin z problemami, który nieźle wypada w sądzie. Jednak dr Nancy niecierpliwie stukała palcem w kartki, nalegając, żeby się przyjrzał bliżej. Skupił wzrok i z plątaniny esów-floresów zaczął oddzielać i identyfikować poszczególne elementy. Zdał sobie sprawę, ile silnych emocji zostało

przeniesionych na papier; zwrócił też uwagę na powtarzalność motywów. Rysunki nagle stały się czytelne. Pani psycholog poprosiła dziewczynkę o narysowanie swojej rodziny. Dziecko na każdym rysunku umieściło ją w pobliżu World Trade Center.

World Trade Center płonęło. Na jednym z obrazków z lewej wieży wystawał ogon samolotu wielkości mniej więcej jednej trzeciej budynku. Na ogonie stał chłopczyk i też się palił. Na innym rysunku mama i tata stali na dachach wież, mieli usta w kształcie literek „O”, zamalowane czarną kredką. Mimo że postacie były bardzo prymitywne, na panu Peterze wywarło to ogromne wrażenie. Na następnych kilku rysunkach dziecko jakby się starało odsunąć ojca jak najdalej od budynków, poza kartkę; potem paląca się matka niosła palącego się ojca; potem ręce i nogi dziewczynki leżały oderwane od reszty ciała, pomazane czerwoną kredką. Wreszcie na ostatnim obrazku cała czwórka skakała z wieży, trzymając się za ręce.

Marshall kupił sobie niedrogi telefon z zamontowanym specjalnym urządzeniem, które umożliwia podsłuchiwanie rozmów z drugiego aparatu bez konieczności podnoszenia słuchawki. Na opakowaniu widniało ostrzeżenie: „Prawo federalne zabrania korzystania z urządzenia bez wiedzy wszystkich użytkowników”. Marshall uśmiechnął się pod nosem, bo nie wyobrażał sobie sytuacji, że ktoś korzysta z tego za wiedzą użytkowników.

Ukrył telefon za książkami, chociaż Joyce od ponad roku nie zaglądała do tego pokoju. Zachwycał się zmyślnością tego wynalazku i cieszył, że może polegać na technice, podczas gdy Joyce kompletnie się na niej nie zna. Ona by nigdy nie wpadła na taki pomysł. W tej wojnie cechy, które dają jej przewagę – zawziętość i silniejsza nienawiść – polegają w starciu z mistrzowską taktyką Marshalla. Był bardzo przejęty, kiedy udało mu się

podслуchać pierwszą rozmowę – dzwoniła matka najlepszego kolegi Victora, żeby ustalić z Joyce, kiedy jej synek może przyjść się z nim pobawić. Uświadomił sobie wtedy, jak wielką władzę ma w ręku. Największe nadzieje wiązał z przechwyceniem rozmów między Joyce a jej prawniczką, ale ona była na to chyba zbyt ostrożna i prawdopodobnie zasięgała porad, korzystając z telefonu w pracy. Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość i stopniowo przesiewać wąski strumień danych: rozmowy w sprawach zawodowych, umawianie się do fryzjera, dalsze pertraktacje w sprawie wizyty kolegi Victora (będą trwały dłużej niż sama zabawa), kilka powściągliwych rozmów z rodzicami. Nie zanosilo się na przełom, dopóki pewnego dnia nie zadzwoniła Flora.

Była wściekła.

Wydobywając aparat z ukrycia stracił pierwsze sekundy rozmowy, ale wzburzony głos Flory poznał od razu:

– Chryste, ona mnie doprowadza do szału.

Ona to mogła być tylko jej matka, Amanda. Szkoda, że nie wydał kolejnych stu dolarów na urządzenie do nagrywania.

JOYCE: Chodzi o to, co mówiłaś?

FLORA: Tak.

JOYCE: Aha.

FLORA: Uległam prawie wszystkim jej żądaniom. Neal tak. samo. Ale on w końcu też ma rodzinę.

JOYCE: Czyli rabina nie będzie?

FLORA: Nie zależy mu na tym. Nie pamięta, kiedy ostatni raz był w synagodze. Jego rodzice też nie przywiązują do tego wagi.

JOYCE: Więc?

FLORA: Gottshall odczyta żydowską modlitwę. Mama chyba dostanie zawału, ale...

JOYCE: No.

FLORA: .. .ale oni się uparli na ten baldachim, To właściwie nie podlega dyskusji. Oni zapłacą. No, ale z kolei na ślubie będą znajomi mamy z klubu. Zastanawiam się, czy to jest na pewno moje wesele. Wszystko musi być absolutnie idealne, dla niej. Chce zrobić wrażenie na państwu Pruitts, państwu Mason.,.

JOYCE: Których syn jest gejem. Czy ona o tym wie? Słuchaj, zadzwoń do mnie jutro do pracy, nie mogę teraz rozmawiać. Osama zaszył się na Tora Bora.

FLORA: Jasne. No to buźka. Pa, pa.

JOYCE: Pa, skarbie. Pogadamy jutro.

Nazywa go Osamą? Świetnie! Wspaniale. To nawet lepsze niż jakiegokolwiek realnie użyteczne informacje. Nie będzie się teraz na niej odgrywał, jeszcze się trochę porozkoszuje swą władzą, samym poczuciem, że może to zrobić. Ale w końcu będzie musiał to zrobić, będzie musiał wykorzystać swą przewagę. Zanim ten rozwód się skończy, jeszcze będzie go nazywała Hitlerem albo nawet Stalinem.

„Przyjaciel mojego wroga...” Roger zjawił się w afgańskiej restauracji przygaszony i spięty. Chyba się zgrzał pod kurtką, która była zbyt gruba na ten ciepły listopadowy wieczór. Energicznie rozpiął zamek. Joyce wysunęła się zza stolika i nadstawiła twarz do pocałunku. Roger lekko musnął ją w policzek. Kiedy odsuwał głowę, ścisnęła go za ramię.

Może i restauracja była afgańska, ale wciąż znajdowali się na Brooklyn Heights: Joyce zauważyła *mojitos* w menu.

– Weźmy, co? – powiedziała. – Bardzo to lubię.

Umówili się tylko na drinka, bo Joyce chciała oddać Rogerowi album ze zdjęciami, który pożyczyła od Lindy wiele lat temu. Nie mogła tego zrobić osobiście; przestały się do siebie odzywać. Raptownie przerwały rozmowę, którą rozpoczęły w trzeciej klasie podstawówki i toczyły nieprzerwanie przez najważniejsze, najciekawsze, najsilniej kształtujące osobowość lata ich życia. Teraz jedna stała się dla drugiej czymś w rodzaju „nieosoby”, której imienia nie wolno wypowiadać nawet w myślach. Niestety Joyce zostawiła album w domu. Marshalla nie było, wyjechał na weekend z dziećmi.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Roger. Czuję się okropnie, że nie mogę się z wami spotykać. Brakuje mi Lindy. Ciebie też.

Roger wykonał w powietrzu bliżej nieokreślony ruch ręką.

– No wiesz... sama rozumiesz...

– Rozumiem – odparła ciepło.

Ale nie rozumiała. Linda była jej najbliższą przyjaciółką, a teraz Marshall jakimś cudem zagarnął tę przyjaźń i zabrał z sobą.

– Powiedz, jak sobie radzisz? – spytał Roger, kiedy kelner przyniósł im drinki.

Joyce wiedziała, że zada to pytanie, i to właśnie w taki sposób, ze wzrokiem wbitym w stół, ale poczekała chwilę z odpowiedzią.

– Jakoś leci – odparła ciężko, a potem wzruszyła ramionami. – Ale nie mówmy o tym. Pogadajmy o czymś przyjemniejszym.

Rogerowi wyraźnie ulżyło, że nie będzie musiał roztrząsać problemów małżeńskich Marshalla i Joyce. Zamiast tego opowiedział jej, co mu się przydarzyło 11 września. Wymówił tę datę ponurym szeptem. Przebywał

wtedy w interesach na Florydzie. Akurat mył głowę pod prysznicem w hotelowej łazience i dla towarzystwa zostawił sobie włączony telewizor. Nie słyszał, o czym mówili, bo szumiała woda, ale przez ścianę wyczuł zmianę tonu i temperatury programu. No i ten głos Toma Brokawa*, który nie powinien się pojawić o tej porze. Mokry wybiegł z łazienki i już nie mógł się oderwać od ekranu. Siedział kilka godzin jak zahipnotyzowany, aż wyschły mu włosy i piana z mydła na ciele. Później, po kilkudniowym zamieszaniu okazało się, że nie ma jak wrócić do domu, bo samoloty są przepełnione i brakło miejsc. Opisał Joyce swoje perypetie z poszukiwaniem innego połączenia – dziesiątki telefonów, czekanie godzinami ze słuchawką w rękę, skargi wysyłane do centrali linii lotniczych w Atlancie – i zakończył gorzko:

– Delta kompletnie mnie zlekceważyła.

– Hmm – westchnęła Joyce.

Roger był mężczyzną słusznej postury o krzaczastych brwiach i dużych, pełnych ustach; wszystkie pieszczotliwe określenia, jakimi zwracała się do niego Linda, pochodziły od imion słynnych misiów. Z czworga przyjaciół to on był zawsze najbardziej zrównoważony i rozsądny, a mimo to uznał się za znaczącego aktora, wręcz ofiarę, wrześniowych wydarzeń. A Joyce? Też była ofiarą. W końcu na własne oczy widziała upadające wieże. O mały włos, a byłaby na pokładzie jednego z porwanych samolotów. I co z tego? Każdy Amerykanin miał poczucie, jakby to jego osobiście zaatakowali terroryści, co jest oczywiście objawem patriotyzmu, ale czy nie jest to też lekka paranoja?

* *Gwiazda wieczornego programu stacji NBC [przyp. tłum.].*

Chyba jest różnica, czy się zginęło, czy nie? Naprawdę wszyscy w tym kraju są tak zarozumiali, że im się wydaje, iż zostali prywatnie uwikłani w zagładę World Trade Center?

Przyglądała mu się uważnie, mając jednocześnie przed oczami jego widok, gdy nagi wybiega spod prysznic. To chyba nie miało być zaproszenie do łóżka, był na to zbyt skrepowany i przygnębiony. Gdy Joyce zadzwoniła i zwyczajnie poprosiła go o spotkanie, mało się nie rozplakał. Kiedyś ich czwórka była nierozłączna, a wewnętrzne przyjaźnie szczere i trwałe. Joyce to wzruszyło, bo jej tak samo jest żal tamtych czasów. A jednak przed chwilą rzucił na stół swój nagi, ociekający wodą wizerunek.

Lokal wypełnił się ludźmi i z kuchni zaczęły dolatywać korzenne zapachy. Joyce podniosła szklankę i pociągnęła przez słomkę długi łyk drinka. Wzdłuż jednej ze ścian wisiała półka, na której stała kolekcja miedzianych i mosiężnych czajniczków do herbaty, a ścianę naprzeciwko zdobiły gobeliny. Goście siedzieli na haftowanych poduszkach. Szmery rozmów ledwie przekraczały granicę słyszalności. Brodaci kelnerzy mieli na sobie luźne białe koszule, przewiązane w pasie i czarne kamizelki. Joyce zastanawiała się, czy nie chowają pod nimi noży, nie tylko takich do krojenia mięsa.

– Ale pech z tymi Jankesami, co? – zagadnęła, żeby odciągnąć rozmowę od tematu 11 września, ale się nie dało. Na początku miesiąca w siódmym meczu opóźnionych rozgrywek World Series, New York Yankees przegrali z beniaminkiem turnieju, drużyną z Arizony. Spotkania, o których można było poczytać na ostatnich stronach gazet zdominowanych przez terroryzm i wojnę, rozgrywano w kosmicznej próżni, mimo że poprzedzały je ceremonie upamiętniające zamachy. Po tym, jak prezydent ubrany w

bluzę nowojorskiego strażaka wyrzucił pierwszą piłkę – wymarzone uderzenie, jak pisała prasa – zawodnicy nie potrafili stanąć na wysokości zadania, a przecież ten mecz mógł się stać symbolem buntu przeciw tragedii lub aktem czci wobec ofiar. Jankesi powinni byli wygrać, demonstrując siłę i niezłomność największego miasta świata albo w ogóle nie powinni grać w finałach. W sumie niewielu graczy faktycznie pochodzi z Nowego Jorku. Roger skrzywił się z niezadowoleniem i sięgnął po drinka. Jednym haustem opróżnił szklanekę, jakby wypijał lekarstwo.

– Czy Linda czasem mnie wspomina? – wypaliła Joyce. Cholera, nie chciała tego powiedzieć. Miała nadzieję uniknąć rozmowy o niej. Poczula, jak krew napływa jej do twarzy. Roger był zaskoczony tym pytaniem. Oznaczało, że jednak będą rozmawiać o rozwodzie.

– Oczywiście – odparł marszcząc brwi. Roger zwykle lubi wyrażać się precyzyjnie, wcale nie chciał udzielić odruchowej odpowiedzi. Teraz się nad nią zastanowił. – To nie jest takie proste. Brakuje jej ciebie, brakuje jej waszej przyjaźni, ale ona zdaje sobie sprawę, że nie może być tak jak dawniej.

Joyce miała ochotę zapytać: „Dlaczego?”. Co ma Marshall do ich przyjaźni? I jak oni mogli okazać taki brak kręgosłupa? Najchętniej by mu przyłożyła. Zawsze byli słabi. Przypomniały jej się różne sytuacje z ich życia. Po studiach Linda przez wiele lat nie umiała się uwolnić od swego gburowatego chłopaka, mimo że był wobec niej agresywny, a Rogera wiecznie dręczyły jakieś skomplikowane problemy z rodzinną nieruchomością, którą wraz z matką i siostrą komuś wynajmowali. Ich rozwiązanie było proste, tylko że wymagało odrobiny stanowczości i zdecydowania. Takie unikanie za wszelką cenę konfliktów można by od

biedy nazwać wyrozumiałością czy tolerancyjnością (to cechy charakteryzujące ich małżeństwo, które przynajmniej z zewnątrz wyglądało na stateczne i udane), ale Roger i Linda najbardziej na świecie pragnęli, aby ich powszechnie lubiano. Roger ukrywał swą desperację pod maską słodkiej uprzejmości, która przyjemnie kontrastowała z jego fizjonomią. Z kolei Linda przyjęła inną strategię obronną: udawała egzaltowaną idiotkę, co z czasem stało się nieodłączną cechą jej osobowości. Jakaż była głupia, pozwalając Marshallowi stanąć między nimi. Ale mniejsza o to, gniew Joyce już dawno osłabł. Przyszła tu załatwić konkretną sprawę; nie dlatego ubłagała Rogera o spotkanie, że chciała naprawić przyjaźń z Lindą. „Przyjaciel mojego wroga...”

Zamiast tego, spytała:

–A ty?

Nachyliła się nad stołem i chwyciła go za rękę. Dawniej nie pozwoliłaby sobie na coś podobnego, w czasach, gdy jeszcze byli przyjaciółmi, a ona nie miała wrogów. Nigdy nie odważyłaby się go dotknąć w ten sposób, mimo że łączyły ich dość zażyłe stosunki. Zanim urodziły im się dzieci, wzajemne kontakty całej czwórki charakteryzowała niewinna, pozbawiona jakichkolwiek podtekstów fizyczność.

Teraz każdy gest miał znaczenie: kelnerzy chyba zauważyli jej zachowanie; zdawało jej się, że jeden mrugnął do drugiego, a ten pewnie dał sygnał trzeciemu. Wszyscy wszystko wiedzą. Przy sąsiednim stoliku innej parze przyniesiono właśnie skwierczące kebaby; kelner trzymał je wysoko nad głową niczym łup wojenny.

Roger był zaskoczony tym gestem, ale nie cofnął ręki. Joyce ścisnęła ją jeszcze mocniej. Dopiero teraz do niej dotarło, że na sali cały czas gra

muzyka. Gdzieś z zaplecza dobiegały dźwięki lutni, wspierane przez szaleńczy, galopujący rytm wybijany dłońmi na bębnach oraz nosowy, zdławiony męski wokal. W pewnej chwili śpiewak zamilkł, lutnia załkała rzewnie i włączył się jakiś instrument strunowy, a bębny zastąpiło energiczne klaskanie i dzwonienie arabskich kastanietów. – Tęsknisz za mną czasem?

Zarumienił się, a na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Odpowiedni uścisk ręki potrafi zdziałać cuda.

– Ja za tobą bardzo – powiedziała Joyce. – Nasza przyjaźń była, jest, dla mnie bardzo ważna. Poza tym zawsze miałam wrażenie, że nas łączy coś więcej niż przyjaźń. Traktowaliśmy się po kumpelsku, ale coś tam chyba jednak iskrzyło. Nie myłę się? – zaryzykowała, uśmiechając się ciepło. Uśmiech Rogera tego nie potwierdzał. Zmienił się w grymas udręki. Ten zwrot w rozmowie wytrącił go z równowagi. – Przecież to było widać, z nas można czytać jak z książki. Bywały chwile, kiedy myślałam... Cóż, właściwie nie wiem, co sobie wtedy myślałam. Pamiętasz, jak kiedyś wracaliśmy taksówką z tej imprezy?

– Wspomnienie uderzyło w niego jak grom: zobaczyła to w jego oczach. Tamtego wieczoru Marshall był poza miastem, a Linda miała jakieś ważne spotkanie. Na przyjęciu Roger i Joyce dobrali się w parę, mimo że widywali się prawie codziennie, a potem wrócili jedną taksówką na Brooklyn.

– Chyba trochę za dużo wypiliśmy – kontynuowała miękkim głosem Joyce. – Było zimno, taksówka nie miała amortyzatorów, cały czas się o siebie objaliśmy i strasznie się chichraliśmy. Wydawało mi się, że masz

ochotę mnie pocałować. Chyba tego chciałam. Pewnie gdybym spojrzała ci w oczy, powiedziała jedno słowo albo przestała się śmiać...

– Roger przygryzł wargi, nie będąc w stanie jej zaprzeczyć.

– Wydawało się, że tak niewiele brakuje. To właśnie moja największa wada: boję się zaryzykować. I spójrz, do czego mnie doprowadziła...

Zamilkła. Nie do końca rozumiała, w jaki sposób strach przed podejmowaniem ryzyka przełożył się na rozpad jej małżeństwa, ale brzmiało to sensownie. Na przykład, gdyby miała odwagę wcześniej porozmawiać z Marshalllem o rodzących się problemach... Nie, to by nic nie dało. Wciąż ścisnęła Rogera za rękę, chłodną i wilgotną od zroszonej szklanki. Lekko przesunęła dłoń, jakby chcąc go delikatnie pogłaskać.

– Wybacz, muszę już iść – powiedział, ale nie wysunął ręki. Mógł to zrobić w każdej chwili.

– Przepraszam cię – odparła, cofając dłoń. – Nie chciałam cię wprawić w zakłopotanie.

– Nie, nie, skąd. Co się stało, to się stało. A co się mogło stać... – Pogubił się w tym, co chciał powiedzieć. Wtedy w taksówce na chwilę ją do siebie przytulił, rzekomo aby ją ogrzać.

– O, cholera – zreflektowała się Joyce.

– Co się dzieje?

– Zapomniałam albumu!

Roger wzruszył ramionami.

– To nic. Oddasz przy innej okazji.

– Ale mi głupio.

– Wyślij pocztą – zaproponował. Co za niedorzeczny pomysł. Amerykański urząd pocztowy dopiero co wznowił usługi i nikt niczego nie wysyłał. – Albo kurierem.

– Tam są zdjęcia z podstawówki!

Musiałyby być głupcem, żeby nie dostrzec jej ewidentnej taktyki. Wróci z nią do mieszkania, bo tego chce. W ten sposób praktykuje się wiele oszustw, na bazarach i w komisjach wyborczych, w biurach matrymonialnych i w parlamencie, wobec tych, którzy muszą być oszukiwani, żeby móc z czystym sumieniem dostać to, co chcą.

Roger zapłacił rachunek i wyszli. Powietrze na zewnątrz było zimne i orzeźwiające, a od domu dzieliły ich jeszcze dwie przecznice. Trudno będzie zachować ten moment. Po drodze Joyce starała się zbyt mocno o niego nie ocierać. Należało zachować ostrożność, podtrzymywać u niego nastrój niepewności i oczekiwania, ale unikać jawnej kokieterii. Szli szybko, prawie nic nie mówiąc. W uszach Joyce wciąż dźwięczał śpiew lutni; w głosie mężczyzny teraz dosłyszała lament. Kiedy szukała w torebce kluczy do bramy, przyszło jej do głowy, że zaraz wszystko może pójść na marne. Rogerowi przypomną się wszystkie sytuacje, kiedy był tu z Lindą. W holu musieli bardzo długo czekać na windę. Za długo, całą minutę. Dość czasu, by ochłonąć i zmienić zdanie. Kiedy wysiadali, Joyce stłumiła swoje obawy i uśmiechnęła się zalotnie, niemal trzepocząc rzęsami. Uśmiech Rogera zdradzał skrupuły i zdenerwowanie. Kolejny raz straciła pewność, czy coś z tego wyjdzie, kiedy otworzyła drzwi do mieszkania. Ze środka buchnęły kwaśne zapachy rodzinnego życia, wypierając przyjemne aromaty towarzyszące im od restauracji: goździków, kardamonu, imbiru, szafranu, pieprzu, kurkumy, anyżu. Joyce rano posprzątała. Pozbierała zabawki,

zamiotła podłogę i wytarła kurze. Psie miski schowała. Zdjęła z sofy swoją pościel i upchnęła w szafie.

Teraz jednak spostrzegła, że zapomniała usunąć budzik z nietypowego dla niego miejsca na stoliku do kawy. Na ścianie wokół okna widniały wciąż nie usunięte ślady po zalaniu w czasie jednej z zeszłorocznych burz. Na oczach mieszkańców cierpliwie czekały na uregulowanie kwestii własności lokalu. Drzwi do pokoju Marshalla były jak zwykle zamknięte. Joyce nagle ujrzała mieszkanie oczami Rogera: to wyglądało jak rozbity dom.

– To co? – powiedział Roger, zatrzymując się w progu.

– Wejdz do środka, zaraz przyniosę album. Został w drzwiach.

– No, chodź – Joyce pociągnęła go za rękę. – Nie bój się, nikogo nie ma. Oni wrócą dopiero w poniedziałek. Zdejmij kurtkę. Napijesz się czegoś? Te *mojitos* to była sama oranżada i cukier. Muzułmanie nie potrafią przyrządzać porządnych drinków. Co powiesz na whisky?

Sobie naląła od razu. Potrzebowała teraz alkoholu jak powietrza. Ręce jej się trzęsły. Nigdy wcześniej na żadnym polu walki nie dokonała tak zuchwałego i zdradzieckiego czynu. Nigdy nie zdradziła Marshalla, który przecież formalnie nadal był jej mężem. Roger stanął w progu kuchni, gotując się w kurtce, którą rozpiął tylko do połowy.

– Na zdrowie – powiedziała Joyce i podała mu szklanekę. Ukradkiem rozglądał się po mieszkaniu, notując wzrokiem pozostałości po ich małżeństwie: opróżniony do połowy regał z płytami, zepsuty samowar, który Marshall wyrzucił z garderoby, kiedy przejmował sypialnię. Być może szukał też jakichś oznak, że Marshall chowa się pod kanapą albo za telewizorem. Joyce w popłochu sama się rozejrzała.

– *Khodai de mal sha* – powiedział odwracając się ku niej.

– Słucham?

– Takie pasztuńskie powiedzenie. Wiesz, z Afganistanu. „Niech Bóg będzie twoim towarzyszem”.

– Skąd to znasz?

– Nie pamiętam. Musiałem usłyszeć w telewizji. Uśmiechał się tajemniczo, jak gdyby doskonale wiedział, skąd je zna.

– *Khodai de mal sha* – powtórzyła Joyce. Spodobało jej się to. Przyjemnie było wymawiać te dziwne, obce słowa. Na tę jedną chwilę stała się Pasztunką, obdarzoną pasztuńską odwagą i pożądanym, zdolną wypowiadać pasztuńskie kłamstwa i przeżyć pasztuński romans. – *Khodai de mal sha*.

Oboje dopadli swoich drinków, wypijając od razu połowę. Joyce poczekała, aż alkohol spłynie do żołądka i po chwili poczuła znajome ciepło promieniujące aż do uszu. Przyglądała się Rogerowi w nadziei, że doświadcza tego samego.

Nie chciała czekać, aż coś pójdzie nie tak. Podeszła i przywarła do niego ustami. Były ciepłe i tak miękkie, jak się spodziewała, a jednak zareagowały na jej pocałunek z zaskakującą żarliwością. Przez cały ten czas pragnął, by go pocałowała.

Zdjęła z niego kurtkę. Niebieska koszula, którą miał pod spodem, była cała wilgotna, ale Roger nie spocił się wyłącznie z gorąca. Dotknął jej piersi delikatnie, choć bez odrobiny wahania. „Roger dotyka mojej piersi!” – powiedziała do siebie w duchu, zdumiona, a inny głos w głowie dodał: „Przyjaciel mojego wroga jest także moim wrogiem”. Pocałowała go jeszcze mocniej. Wszystko działo się bardzo szybko: on też nie chciał zmarnować chwili. Joyce zrzuciła buty, a kiedy chciała się przysunąć bliżej Rogera,

omal się na nich nie wywróciła. Roger ją złapał, whisky w szklankach niebezpiecznie zawirowała, ale nic się nie wylało. Oboje upili po łyku.

Roger powoli dryfował w stronę sofy, ale Joyce się opierała. Nie tam mieli wylądować. Zaciągnęła go do pokoju Marshalla. Prawą rękę oparła na klamce, a lewa swobodnie opuszczona pieściła biodro Rogera.

Roger zamarł w bezruchu, jakby nagle się zorientował, że znalazł się w polu celownika karabinu. Wiedział, że tu rezyduje Marshall. Sama Joyce czuła, że narusza pewną granicę, ale pchnęła drzwi, nawet nie zaglądając do środka. Roger z lękiem spojrzął w ciemność ponad jej ramieniem. On też prawdopodobnie nigdy czegoś takiego nie robił, a Marshall, przynajmniej do tej pory, był jego najbliższym przyjacielem. Joyce opuściła dłoń w stronę jego rozporka, żeby sprawdzić – nie, okazja nie została zmarnowana. Wciągnęła go do środka.

Gdy opróżnili szklanki, zrzucili ubrania. Joyce wiedziała, że Roger jest bujnie owłosiony: na piersiach, na brzuchu, pośladkach, udach... Wielki, nagi i spocony wyglądał niemal groteskowo. Nie zniechęcało jej to; robiła to, bo chciała się otrzeć o groteskę. Czuła na ciele dotyk jego dłoni i ust, ale kochanie się z nim, jeśli można to tak nazwać, przeżywała niejako z boku, jak coś, co się przydarza komu innemu. Joyce, która obserwowała, nadal była przyzwoitą mężatką i matką dwojga małych dzieci. Robiła to jednak z okrutną satysfakcją. Roger pochylał się nad nią, wpijał ustami w prawą pierś, zasysając krew do twardniejącego sutka. Gdyby to Linda widziała, gdyby Marshall... Ale to nie było konieczne, wystarczył sam akt profanacji, zdrada była nagrodą samą w sobie, bez względu na to, czy ktoś się o niej dowie, czy nie. Zresztą zawsze będzie wiedziała Joyce, a taka wiedza to

trucizna, którą można zatruć strzałę lub słowo, kropla atramentu w różanej wodzie.

Przysiadła na krawędzi łóżka. Jej dystans wobec tych wydarzeń zaczął maleć, kiedy Roger położył jej ręce na ramionach, przechylił ją na łóżko i wspiał się na nią, całując zagłębienie szyi. Potem zobaczyła, że w nią wchodzi. Penis Rogera! Penis męża Lindy! W niej! Zaskoczyło ją, jak szybko to poszło. Nie musiała się wiele napracować, żeby go uwieść. Zupełnie jakby... Teraz to ona kochała się z Rogerem, nie ktoś inny, czuła na piersiach jego dłonie i usta, poddawała się rytmicznym ruchom jego bioder, które wydobywały z jej wnętrza ogromne zapasy energii. Wielkie, owłosione i spocone ciało Rogera oraz jego męski zapach budziły jakiś pierwotny lęk. Nagle ogarnęła ją fala zmysłowych doznań: każdy nerw w jej ciele zdawał się być w kontakcie z penisem Rogera. Ona była penisem Rogera. „Penis przyjaciela mojego wroga...” Joyce zawsze była przekonana, że on jej wcale nie pociąga – nic między nimi nie iskrzyło, nigdy – lecz nagle bardzo go pożądała. Poddawała się jego ruchom, leżąc na beżowej narzucie z fakturowanej tkaniny, którą Marshall sam sobie kupił, i powoli przypomniwała sobie tę pierwotną radość, którą kiedyś czerpała z seksu.

Kiedy już było po wszystkim, fala rozkoszy jeszcze wstrząsała jej ciałem, Roger zsunął się z niej i opadł bezwładnie na łóżko. Znów był cały spocony.

– No cóż... – mruknął. Joyce poczuła, jak ogarnia ją błoga senność, ale przypomniwała sobie o wygięciu pleców, żeby wypłynęła sperma. Nowa narzuta doskonale wchłonie plamę. Ciekawe, czy jest w ciąży. To byłaby katastrofa, a jednocześnie idealne dopełnienie zdrady.

Nie zaglądała do tego pokoju, odkąd przeniosła się spać na sofę. Z miejsca, w którym leżała, wyglądał, jakby nikt w nim od tamtego czasu nie sprzątał, choć Marshall wyposażył go w nowy telewizor i radiomagnetofon, znacznie lepsze niż jej poprzedni sprzęt. Na komodzie stało zdjęcie dzieci; Victor ma na nim nie więcej niż roczek. Szczęście uchwycone w kadrze i zamknięte w ramki niczym cenny klejnot. Zauważyła też nowy aparat telefoniczny schowany za książkami na nocnej szafce. Były to książki o historii Dalekiego Wschodu i poradniki o związkach: *Skuteczne strategie rozwodowe*, *Upadek imperium osmańskiego*, *Prawo rodzinne dla opornych*, *Rozbiór i wygnanie*, *Jak nie stracić domu, dzieci, pieniędzy i ojczyzny*, *Wielka gra*, *Jak wykiwać byłą żonę*. Telefon, elegancki, o opływowym kształcie, z migającymi diodami, był nieuzasadnienie zaawansowany technicznie. W dodatku wystawał z niego jakiś dziwny kabelek. Ciekawe, co to?

– Chcieliśmy tego – powiedziała odwracając się do Rogera. – Oboje tego chcieliśmy. – Głos miała zdławiony, lekko ochrypły. Spodobało jej się to brzmienie. W tym momencie czuła się niesamowicie seksowna.

– To cipa – wysapał Roger. – Sama się o to prosiła!

Joyce żałowała, że nie ma przy sobie papierosów. Cel został osiągnięty: plama na małżeństwie Lindy była ewidentna i niezaprzeczalna jak ta na łóżku Marshalla. Wypchnęła biodra w przód i ze środka wyciekła jeszcze jedna strużka. Ale zaraz: co on miał na myśli mówiąc: „sama się o to prosiła”? Kto się prosił, Linda? Jak to? Dlaczego? Joyce była tak zaabsorbowana własnym rozwodem, że w ogóle się nie zastanawiała nad stanem małżeństwa Rogera i Lindy. Jakież to okoliczności sprawiły, że był zdolny zrobić coś takiego? Była kompletnie niezorientowana. Z Lindą nie

rozmawiała od roku i nie miała pojęcia, co się dzieje w jej życiu – z kim się teraz przyjaźni? Co zrobiła Rogerowi? Jak on mógł powiedzieć o niej „cipa”? Fuj. I poczuła, jak na nowo ogarnia ją żal za utraconą przyjaźnią.

– Możesz mi to dać?

–Co?

Roger przesunął swymi grubymi palcami po nodze Joyce i dotknął bransoletki na kostce. Lekko za nią pociągnął. Joyce zupełnie o niej zapomniała.

– Po co ci?

– Ach, no wiesz, na pamiątkę.

Trofeum, pomyślała Joyce. Linda znajdzie ją schowaną głęboko w szufladzie komody, pozna, że to własność Joyce, dowie się, że Roger znalazł nowy sposób, aby ją zranić i upokorzyć. Sięgnęła do kostki, odpięła bransoletkę i podała ją Rogerowi. Leżąc na łóżku i gapiąc się w sufit zrozumiała, że wcale go nie uwiodła. Miał własne powody, żeby się z nią przespać, i to coś miało związek z Lindą. Potraktowała go jak pionka w swojej rozgrywce z Marshalllem, tymczasem każdy człowiek skrywa w sobie własną tragiczną historię, kieruje się własnymi motywami, ma własne, nie do końca zrozumiane potrzeby. Wygląda na to, że każdy związek między ludźmi jest formą spisku. Roger też działał w ukryciu, walcząc o przetrwanie przeciwko swoim własnym wrogom i przyjacielom wrogów... Joyce tymczasem ochłonęła, powróciło napięcie. Gdzie ten Marshall trzyma papierosy?

GRUDZIEŃ

W innej restauracji, w sobotni wieczór tydzień później: Marshall zjawił się przed czasem, żeby przeprowadzić rozpoznanie. Lokal był nieduży i subtelnie oświetlony. W środku były gołe ściany, kremowe lniane obrusy na stołach i pełno gości, głównie pary. Okazało się, że na wieczór kawalerski Neala zarezerwowano tylko sześć miejsc. Kiepska frekwencja jak na kogoś, kto uchodzi za osobę wesołą i towarzyską, zauważył z satysfakcją Marshall. Kiedy Neal pojawił się w drzwiach, widząc Marshalla, rozpromienił się i pomachał mu ręką, a potem pozwolił hostessie zaprowadzić się do stolika. Panowie uściskali się, nie bacząc na morze obcych ludzi dookoła. Marshallowi znów przyszło na myśl, jak słabo zna tego chłopaka i jak żalosne jest to, że mógłby być uznany za jego piątego najlepszego przyjaciela. Nealowi towarzyszył brat, Joel, który zdołał się wcisnąć na miejsce między nimi.

Pozostali koledzy też wkrótce przyszli, wszyscy naraz. Młodzi, dwudziestoparoletni mężczyźni. Jednego Marshall miał już kiedyś okazję poznać. To Howie, ponoć najbliższy kolega Neala, choć Marshall odniósł smutne wrażenie, że w drugą stronę to nie działa. Był też jakiś Steve i kolega o imieniu Alan lub Albert (umknęło mu to, tak był zajęty knuciem i złośliwymi myślami). Zdaje się, że Alan–Albert pracuje razem z Nealem. Wszyscy byli słusznej postury, ubrani w bawełniane spodnie i marynarki, stanowczo za duzi na ten lokal. Wchodząc musieli się przeciskać między stolikami. Neal, Joel i Marshall wstali, żeby się z nimi przywitać, a potem wszyscy przez pół godziny zastanawiali się, gdzie kto ma siedzieć. W końcu podbiegł kelner i pomógł im rozwikłać tę zagadkę.

Steve obrócił się na krześle, wyciągnął szyję i rozejrzał po sali.

– A gdzie panienki? – zapytał. – Co to za wieczór kawalerski bez pańienek?

Koledzy parsknęli śmiechem i pierwsze lody zostały przełamane. Zaczęli żartować, gdzie by tu można pójść na dziwki albo striptiz lub po prostu do baru, żeby poderwać dziewczyny. Kiedy obok stolika przemknęła na szpilkach zgrabna hostessa w czerwonym sweterku i obcisłych spodniach, rozległy się pomruki uznania.

– Niezła cizia – skomentował Howie. Marshall wyczuł w tym nutkę skrepowania, dobry humor wymuszony okazją. Ci faceci nie byli przyzwyczajeni do rzucania dwuznacznych uwag pod adresem płci przeciwnej.

– Na co czekasz, Neal – dodał Steve. – Masz ostatnią okazję.

Skwitowano to milczeniem. Tak się złożyło, że Marshall pierwotnie planował wynająć na ten wieczór dziewczynę do towarzystwa i nawet zrobił pod tym kątem mały rekonesans. Podzwonił po agencjach i dowiedział się, że wieczory kawalerskie i inne tego typu imprezy to bardzo popularna specjalizacja, lecz gdy zaczął wyliczać, czego by oczekiwał od dziewczyny, okazało się, że musiałyby wydać kilkaset dolarów albo i więcej. Za prawdziwy seks chcieli majątek, a bulić tyle forsy, nie mając gwarancji, czy usługa zostanie wykonana... Taki głupi nie był.

Joel z wielką ceremonią zabrał się za wybieranie wina, a kiedy przyniesiono je do stołu, zakręcił kieliszkiem i dokładnie powąchał. Potem napełnił sobie nim usta i spojrzał przed siebie. W końcu skinął kelnerowi. Gdy ten odszedł, Howie wywrócił oczami i rzekł:

– Boże, co za snob.

– Żydzi najlepiej się do tego nadają—odparował Joel.

– To sprawa *le nez*.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Marshalla, który wiedział, że nie wypada mu się naśmiewać z żydowskich nosów. Zresztą nawet nie miał zamiaru, bo Żydzi wcale nie mają monopolu na duże nosy (ta wioska hostessa, na przykład, była właścicielką tak cudownie zmysłowego orlego nocha, że Marshall z rozkoszą by go dotknął i pocałował), a poza tym zawsze obce mu było autoironiczne poczucie humoru. Żydzi uważają za zabawny sam fakt bycia Żydem. To stanowiło dla Marshalla zagadkę. Nie pojmował, dlaczego bycie Żydem ma być śmieszniejsze od, powiedzmy, bycia Norwegiem. Ale gdy wyjawic ten dylemat Żydowi, poczuje się urażony. Wszyscy mężczyźni obecni przy stole byli Żydami. Marshall przyjrzał się Joelowi; faktycznie miał okazały nos, a do tego czarną, przystrzyżoną bródkę, którą, jak się tak teraz zastanowił, można by nazwać rabiniczną. Jego oczy miały głęboki brązowy odcień, a na twarzy, nawet kiedy opowiadał kiepski dowcip, cały czas malowała się jakaś zadziorna inteligencja. Mało przypominał starszego brata. Neal miał znacznie jaśniejszą karnację i znacznie bardziej przyjazne usposobienie.

Marshall cały czas udawał nieśmiałego, przysłuchując się dyskusji przy stole, która zeszła na tematy zawodowe oraz wojnę w Afganistanie. Mężczyźni, szczęśliwi, że obowiązkowa rozmowa o seksie została odfajkowana, zastanawiali się nad zaletami inwazji lądowej i miejscem pobytu Osamy bin Ladena. Neal opowiedział bardzo śmieszny dowcip: bin Laden i Saddam Husajn wchodzą do baru... Marshall ledwo się uśmiechnął i dalej milczał. Studiował menu i czekał na odpowiednią sposobność. W pewnym momencie się zorientował, że jego małomówność zaczyna trochę

przeszkadzać pozostałym. Efekt nieplanowany, acz interesujący. Postanowił go przedłużyć i ze znużoną miną wbił wzrok w stół. Steve, który aspirował do roli duszy towarzystwa, wyrwał go z tej zadumy pytając, skąd zna Neala.

– Moja żona jest siostrą Flory.

Powiedział to lekkim tonem, ale po twarzy Neala przemknął cień. Najwyraźniej sobie wmawiał, że jego przyjaźń z Marshalllem nie ma nic wspólnego z obiema siostrami. Jego odpowiedź przypomniała mu, że zapraszając go na imprezę, zaryzykował poważne konsekwencje.

Niczego nieświadomy Steve dopytywał się dalej:

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Siedem lat.

– O, świetny wynik!

– Właściwie to jesteśmy w trakcie rozwodu. Procesujemy się.

Uśmiechnął się. Steve też, jak gdyby Marshall powiedział coś optymistycznego. Żaden z tych mężczyzn nie był żonaty, więc nie wiedzieli o kobietach nic. Niewielu chyba rozumiało co to rozwód; pewnie dla nich znaczyło to tyle co bycie znowu wolnym, a to trochę tak, jakby człowiek porównywał śmierć do bycia nienarodzonym. Jednak samo słowo zelektryzowało Neala. Już teraz wyobrażał sobie własny rozwód i zastanawiał się, czy też będzie tak burzliwy jak Marshalla i Joyce. Marshall domyślił się, że ich problemy kładą się cieniem na weselnych przygotowaniach w Canaan. I bardzo dobrze.

Po tej chwili zakłopotania panowie zabrali się za konsumpcję i dobry humor powrócił. Zamówiono kolejne dwie butelki wina. Marshall zastanawiał się, jak by tu wrócić do tematu rozwodu, ale rozmowa potoczyła się w zupełnie inną stronę. Teraz Joel, mikrobiolog na uniwersytecie

Stanforda, zabawiał towarzystwo opowiadając, jak to o mały włos nie przegapiłby wydarzeń z 11 września. Tamtego ranka wstał późno i jadąc na uniwersytet słuchał w samochodzie płyt. Na autostradzie zauważył, że wszyscy kierowcy rozmawiają przez komórki. W kampusie studenci stali w grupkach i też mieli telefony przy uchu. Nie wyglądało, żeby ktokolwiek był na zajęciach. Jako naukowiec wyciągnął z tego empirycznego faktu jedyny możliwy wniosek: komórki w dzisiejszych czasach stały się wszechobecne. Poszedł do swego laboratorium i mniej więcej po godzinie zajrzała do niego prawie płacząca doktorantka z Nowego Jorku.

– Byłem ostatnią osobą w Ameryce, która się dowiedziała o zamachach – powiedział, na moment zawiesił głos i z błyskiem w oku dodał: – Oczywiście poza FBI.

Mężczyźni parsknęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Marshalla.

Neal to zauważył.

– Marshall pracował w World Trade Center – wyjaśnił.

Byli przerażeni.

– Przepraszam, nie wiedziałem – rzucił pośpiesznie Joel. Marshall zaśmiał się i machnął ręką.

– Nie przejmuj się, nie mam żadnej traumy ani nic w tym stylu.

– Marshall nie zdążył dotrzeć do pracy – dodał Neal, przypomniawszy sobie rozmowę telefoniczną. – Spóźniłeś się, tak?

Marshall zrobił grymas, a potem uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Właściwie to byłem w budynku, kiedy uderzył drugi samolot. Jechałem windą do biura, które właśnie wyparowało. Pierwszego samolotu nie słyszałem. Winda na chwilę stanęła, a potem wysadziła nas na czterdziestym czwartym piętrze. Musieliśmy zejść schodami. Straszliwy

chaos, powiem wam: kurz i dym, zakrwawieni, płaczący ludzie. Zobaczyłem wbiegających strażaków, widziałem trupy na dziedzińcu między wieżami, ludzie spadali z góry... No, to był koszmar – zakończył.

Te słowa, wypowiedziane tak zwyczajnie, rzeczowo, wystarczyły, żeby mężczyźni przerwali jedzenie. Widelce zawisły w powietrzu.

– O, cholera – odezwał się w końcu Alan–Albert.

– Kurczę – dodał Howie.

Neal promieniał, widząc, jak jego wieczór kawalerski został nagle wciągnięty w orbitę bieżących światowych wydarzeń.

– Boże, i co wtedy myślałeś?

– Przede wszystkim, jak się wydostać z budynku – zaśmiał się Marshall.

– Wiedziałeś, co to jest?

– Że samolot uderzył? Nie – odparł. O czym wtedy myślał?

Wspomnienia tamtego dnia przypominały podziemny hol, w którym był uwięziony: mroczne, zadymione i niebezpieczne. Pamiętał, że poznał nowego przyjaciela, a zaraz potem go stracił. To był również ten dzień, kiedy rano spostrzegł, że panna Naomi z przedszkola jest całkiem niezłą laską. – Chyba pomyśleliśmy, że wybuchła bomba. W dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy wysadzili podziemny garaż, jeszcze tam nie pracowałem. Sześć osób wtedy zginęło. Ale właśnie o tym wszyscy pomyśleli. To część historii budynku.

– Więc od razu wiedziałeś, że to nie wypadek, że to terroryści? – upewnił się Joel.

– No tak – odparł Marshall. Zauważył satysfakcję na jego twarzy. Brat Neala do czegoś zmierzał. – Jasne, że to był zamach. Nikt nie myślał inaczej. – Pozostali mężczyźni kiwali z powagą głowami, jakby objawił

jakaś wyższą prawdę. Postanowił zaryzykować: – Przecież wystarczy spojrzeć na obecną sytuację na świecie. Wiedziałem, że to bliskowschodni terroryzm zapukał do naszych drzwi.

– Nie da się ukryć – mruknął Joel. Marshall specjalnie dawał się podpuszczać.

– Czułem się, jakbym sam był na Bliskim Wschodzie. Szukałem wyjścia, jakiegoś światła, musiałem się osłaniać przed spadającym żelastwem i cały czas tłukło mi się po głowie pytanie: czemu ktoś mnie wplątał w tę pieprzoną wojnę? – Rozejrzał się wokół stołu: pięciu Żydów. Przerwali jedzenie i pozwalali, by stygło im spaghetti. Razem z nim odczuwali wściekłość i żal, zupełnie jakby byli tam wtedy w WTC i także stracili przyjaciela. – Czemu to się dzieje?

– No właśnie, czemu? – powiedział gorzko Joel. – Co ci ludzie mają w głowach? Dlaczego...

– Byłem normalnie wściekły – ciągnął Marshall – jak sobie pomyślałem o tym wszystkim, co nas skonfliktowało ze światem arabskim: irracjonalny islamski fundamentalizm, pazerność na ropę, fanatycy z Brooklynu, ubóstwo Trzeciego Świata... Można by tak wymieniać bez końca, a tymczasem na ulicę spadały ludzkie zwłoki. O tym właśnie wtedy myślałem.

Howie westchnął i zaczął kroić stek. Steve i Neal mieli zasepione miny. Przy sąsiednim stole jakaś para usłyszała przynajmniej fragment rozmowy, bo przerwała swoją.

Joel miał zagadkowy uśmiech na twarzy, jakby czegoś nie rozumiał. Marshall jednak domyślał się, że rozumie doskonale.

– Fanatycy z Brooklynu? Co masz na myśli? – zapytał Joel.

Marshall skinął głową.

– No, może nie wszyscy pochodzą z Brooklynu, ale wielu z tych żydowskich osadników na Zachodnim Brzegu to Amerykanie. I wyjeżdżają do Izraela specjalnie po to, żeby budować osiedla, wiedząc, że w świetle prawa międzynarodowego są one nielegalne, że są przeszkodą w osiągnięciu pokoju na Bliskim Wschodzie i wreszcie, że w znacznym stopniu komplikują nasze stosunki z innymi krajami w tym rejonie.

– Myślę, że gdybyś ich poznał – powiedział łagodnie Joel – zobaczyłbyś, że to nie są żadni fanatycy. W większości są to świetnie wykształceni ludzie, którzy codziennie dojeżdżają do pracy w Jerozolimie. Wielu nie jest nawet religijnych. Oni tylko pragną lepszego życia dla siebie i swoich rodzin, chcą jako Żydzi żyć w zgodzie z resztą świata.

– Na arabskiej ziemi – dokończył Marshall i dostrzegł chwilowy błysk gniewu w oczach Joela, szybko stłumiony. Reszta miała zakłopotane miny. Marshall dodał nieco ostrzejszym tonem: – Przyjeżdżają z małymi dziećmi do tych brzydkich osiedli w miejscu, gdzie ludność chce ich zabić. Zagarniają przemocą ziemię, zabierają wodę, a potem powołują się na Biblię. Ja to nazywam fanatyzmem i nie rozumiem, dlaczego cała polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych stała się zakładnikiem tych paru tysięcy idiotów.

Joel szeroko się uśmiechnął. Nawet lekko zachichotał.

– Być może jesteś lepiej poinformowany – powiedział – ale to właśnie odzwierciedla obecną stronniczość amerykańskich mediów informacyjnych. Po pierwsze, jeśli spojrzeć na oświadczenia bin Ladena sprzed jedenastego września, nie ma tam żadnego dowodu na to, że sytuacja Palestyńczyków

kiedykolwiek go obchodziła. Jemu przeszkadza obecność wojsk amerykańskich w Arabii Saudyjskiej.

– Jasne – mruknął Marshall, pozwalając, by jego sarkazm chwilę okrzepł w czosnkowych oparach unoszących się nad stołem. – Osadnicy nie mają kompletnie nic wspólnego z wrogością Arabów wobec Ameryki...

– Po drugie – dodał z naciskiem Joel, spoglądając Marshallowi prosto w oczy – sama koncepcja tak zwanego terytorium arabskiego. Cóż to znaczy? W miejscu, które nazywasz Zachodnim Brzegiem, Żydzi osiedlali się od tysięcy lat. Tam jest centrum cywilizacji żydowskiej, tam są pochowani nasi przodkowie. To zawsze była część Palestyny, za czasów imperium osmańskiego i pod mandatem brytyjskim. Ale zawsze to były ziemie żydowskie, Judea i Samaria. Teraz osadnicy zagospodarowują te tereny, nawadniają i uprawiają ziemię, tworząc miejsca pracy dla wszystkich. Arabowie chcą te ziemie oczyścić etnicznie, podczas gdy milion przedstawicieli ich narodu posiada pełne obywatelstwo izraelskie, cieszą się większymi prawami niż mogliby uzyskać w którymkolwiek innym bliskowschodnim państwie, są lepiej wykształceni i więcej zarabiają!

Neal z dobrodusznym uśmiechem wtrącił się do rozmowy:

– Hej, wykazujcie chłopaki. Co to ma być, „Crossfire”*? Zaprosiłem was na wieczór kawalerski, a wy tu o polityce gadacie. – Pozostali dwaj roześmieli się.

– No, coś ty – ciągnął Marshall. Uśmiechnął się drwiąco i podniósł głos tak, żeby docierał do pozostałych stolików. – Na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy mieszkają jakieś trzy miliony Palestyńczyków. Naprawdę myślisz, że dadzą się tak tłamsić bez końca?

** Telewizyjna debata polityczna nadawana w stacji CNN [przyp. tłum.].*

A kiedy Arabowie widzą, jak żołnierze izraelscy w obronie osadników zabijają palestyńskich cywilów – palestyńskie dzieci – obwiniają o to Amerykę! I dlatego zaatakowano World Trade Center!

Joel bębnił kłykciami w stół.

– To jest szukanie kozła ofiarnego. Arabowie są wściekli na Stany i Izrael, bo tylko na nich pozwalają im się wściekać ich skorumpowane, represyjne rządy. Ich gniew jest bezpodstawny. Ustąpienie im byłoby aktem tchórzostwa.

Marshall wzruszył ramionami, jakby ten argument nic dla niego nie znaczył i jakby to Joel był pierwszym, który się wkurzył.

– Być może, ale tak myśli większość ludzi na świecie. A na pewno w Ameryce. Izraelczycy mają swoje państwo, czemu nie zostawiają Palestyńczyków w spokoju i nie pozwolą im żyć w swoim?

– Jakim Palestyńczykiem? Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego przez dziewięćdziesiąt lat, kiedy Zachodni Brzeg należał do Jordanii, a Gaza do Egiptu, nikt nie trąbił na cały świat o potrzebie utworzenia państwa palestyńskiego? Ja ci powiem: bo nikt nigdy nie traktował Palestyńczyków jako odrębnego narodu, dopóki nie zajęto tych terenów w czasie wojny sześciodniowej – wojny, którą Izrael wszczął we własnej obronie. Ci tak zwani Palestyńczycy są tylko narzędziem w rękach Arabów w dążeniu do osiągnięcia podstawowego celu: całkowitego zniszczenia państwa Izrael. To jest jasne dla wszystkich, którzy choć trochę znają historię Izraela.

Marshall skrzywił się z niesmakiem.

– Jak dobrze muszę znać historię Izraela? Jestem Amerykaninem. Gdy zśliśmy na wojnę w Somalii i Kosowie, ile musiałem wiedzieć o ich historii? Co zwykli ludzie wiedzą o równie skomplikowanych dziejach innych krajów? Nie potrzebuję studiować książek o syjonizmie, Deklaracji Balfoura, Holocauście, rezolucji ONZ numer tysiąc pięćset sto dziewięć... Ja to pieprzę. Mnie jako Amerykanina obchodzą tylko narodowe interesy Ameryki. Sami Amerykanie zaczynają sobie zadawać pytanie, czemu to gówniane państewko jest takie ważne, że nasi obywatele muszą za nie ginąć? Dlaczego musimy ciągle dostosowywać naszą politykę zagraniczną pod kątem jednej tylko grupy etnicznej?

Wszyscy odłożyli widelce. Dopóki Marshall nie wypowiedział słów „gówniane państewko”, był to spór wyłącznie między nim a Joelem. Kilka razy dostrzegł w ich oczach iskierki sprzeciwu, kiedy Joel bronił osadników. Steve sprawiał wrażenie, jakby chciał włączyć się do dyskusji, pośredniczyć w niej. Teraz siedział jak sparaliżowany. Twarz Neala pociemniała.

Joel uśmiechał się triumfująco.

– Mówisz jak rasowy antysemita.

– A jak myślisz, co sprawia, że ludzie stają się antysemitami? – naskoczył na niego Marshall. Potem zniżył głos i cedząc słowa odpowiedział sobie sam: – To, że każde odstępstwo od obowiązujących poglądów na temat izraelskiej polityki staje się od razu pretekstem do oskarżenia o antysemityzm. To, że w tym kraju nie wolno nawet rozmawiać o Izraelu, mimo iż to jest główny problem naszej polityki zagranicznej. To, że każda uwaga wypowiedziana przez nie-Żyda musi być zbadana pod kątem skazy antysemityzmu. I zastanawiam się: dlaczego w dzisiejszych

czasach to antysemityzm jest uważany za największe zło, z którym musi walczyć świat? W czym to jest gorsze od bycia antyarabistą?

Joel pokręcił głową i powiedział do Neala:

– Widzisz? A ty myślałeś, że to sobie ubzdurałem. Oni nas nigdy nie zaakceptują, nigdy. Wystarczy spojrzeć na te ich prywatne szkoły i kluby, do których Żydzi nie mają wstępu. To dlatego tak się sprzeciwiali waszemu związkowi i nie chcą ani jednego żydowskiego akcentu na ślubie: żadnego rabina, ani pół żydowskiej modlitwy, no i ta cała wojna, żeby chociaż postawić *chupę*. Nie mam pretensji do konkretnych osób, ale całe ich środowisko jest wrogo nastawione do wszystkiego, co sobą reprezentujesz.

Spojrzał na Marshalla. Tego kiedyś onieśmieliłaby żarliwość i siła przekonań Joela. Teraz miał to gdzieś, zyskał całkowitą wolność wypowiedzi, mimo że wciąż tkwił uwięziony w swoim małżeństwie. Oszał!

– Powinieneś się nauczyć. Izrael jest i będzie. Żydzi też.

Koledzy milczeli, a goście przy sąsiednich stolikach przyglądali się im. Sądzieli, że Marshall teraz wstanie i wzburzony opuści restaurację. A on tylko uśmiechnął się drwiąco, uniósł sztucę i jak gdyby nigdy nic zabrał się z powrotem do jedzenia. Siedział z głową nisko pochyloną nad talerzem i z igraszką przyjemnością wgryzał się w kęsy mięsa. Reszta po chwili także zajęła się jedzeniem. Panowało milczenie, nie licząc kilku pomruków uznania dla jakości potraw. Prawdę mówiąc, wszystko było już zimne. Kelner zabrał ze stołu nakrycia i Joel poprosił o rachunek, ale Marshall zapytał jeszcze o kartę deserów. Wziął sobie tiramisu. Pozostali z niechęcią też zamówili desery. Potem była kawa. Marshall poprosił o dolewkę. Nawet kiedy już wyszli, uparcie sterczał z nimi na chodniku przed restauracją, cały

czas z posepną miną, pilnując, by nie uciekli gdzieś bez niego na drinka. Dopiero gdy wsiedli do swoich taksówek, udał się samotnie w kierunku stacji metra. Chciało mu się śpiewać. *Chupa*. A więc o tym mówiła Flora. Wreszcie namierzył cel.

W pierwszym odruchu Joyce chciała opowiedzieć Florze o swym romansie z Rogerem, choć tak naprawdę to nie był żaden romans – od tamtego wieczoru nie zadzwonił do niej ani razu, zresztą nawet nie chciała. Nie oddzwonił też, kiedy kilka razy zostawiała mu wiadomość na sekretarce w pracy. Flora pewnie byłaby pod wrażeniem takiej wiadomości i poczułaby się przyjemnie zgorazona, ale mogłaby się też utwierdzić w podejrzeniach, jeżeli takowe żywiła, że to Joyce poprzez ten czy inne podobne wyskoki ponosi odpowiedzialność za swe nieudane małżeństwo. Rozwód i tak już obniżył jej notowania w rodzinie. Joyce wiedziała, że rodzice obwiniają właśnie ją. Pewnie przypomniały im się wszystkie wydarzenia z jej dzieciństwa, które zwiastowały taki obrót spraw. Flora na pewno nasłuchiwała się rozmaitych komentarzy.

Gdy tylko Joyce przyjechała do Connecticut, okazało się, że jej obawy o reakcję Flory były niepotrzebne: siostra nie miała czasu wysłuchiwać jej zwierzeń. Wybiegła do niej cała zaaferowana, z rozwianym włosiem i rumieńcami na twarzy, rozpaczliwie pragnąc zrzucić z siebie jakiś ciężar. Nie przywitała się nawet z Violą i Victorem. Dzieciaki kłóciły się przez całą drogę z dworca. Dziadek Deke udawał, że nic nie słyszy. Może zresztą rzeczywiście tak było, radio w samochodzie nastawił na jakąś głośną i zażartą dyskusję z telefonicznym udziałem słuchaczy. Gdy tylko udało się spacyfikować dzieci, siostry zaszyły się w dawnej sypialni Joyce, którą przerobiono na zupełnie pozbawiony stylu, ale wygodny i dobrze

wyposażony pokój gościnny. Był tam telewizor, biurko, garderoba, a w sąsiadującej z nim łazience leżały przygotowane małe kostki mydła i buteleczki z szamponem. Flora napiętym głosem oznajmiła, że część spraw związanych z cateringiem i dekoracjami wciąż nie jest domknięta – Amanda przy nich majstruje. W dodatku do listy utworów na wesele dorzuciła kilka okropnie kiczowatych przebojów z lat siedemdziesiątych. Dekę z kolei najczęściej znika z domu. Najwyraźniej ma gdzieś ten cały ślub.

– A jak Neal? – zagadnęła Joyce. Zdziwiona Flora zmarszczyła brwi.

– Neal? W porządku. On ma własną rodzinę na głowie. W zeszłym tygodniu przyleciał jego brat. Zaprośili kolegów i urządzili sobie coś w rodzaju wieczoru kawalerskiego. W tej chwili odbierają rodziców z lotniska. Będą dziś na kolacji. No, a ja tymczasem znów pokłóciłam się z mamą. Wiesz, zgodziliśmy się na to, co ci mówiłam, ale pojawił się nowy problem: kieliszek. Nic o tym nie wiedziałam, a tu nagle się okazuje, że Nealowi na tym strasznie zależy. Powiedział mi w niedzielę. Bardzo się upierał.

W tym momencie usłyszały dobiegające z dołu swoje imiona wypowiedziane tak, jak zawsze były wypowiedziane od czasów najwcześniejszego dzieciństwa: melodyjnie, z dodatkową sylabą w środku – „Jo–oyce! Flo–ora!” – przedłużaną w zależności od stopnia nadziei. Nadziei, że córki nie zawiodą matki. Bez słowa zeszły do salonu, gdzie Amanda chciała pokazać Florze kosz, który wybrała na bukiet do dekoracji stołów. Miała na sobie spodnie z materiału i kaszmirowy sweter. Joyce dopiero teraz zwróciła uwagę, jak młodo wygląda. Pewnie od miesięcy ostro się odchudzała.

– Cześć, skarbie – powiedziała Amanda i ucałowała córkę. – Twoje dzieciaczki są urocze. Viola stwierdziła, że wesele będzie czadowe. – Uśmiechnęła się. – Nie wiesz, co miała na myśli?

– To znaczy, że będzie bardzo fajnie – wyjaśniła Joyce. – Ona o niczym innym nie mówi. Natomiast Vic ciągle jeszcze nie rozumie po co ten cały cyrk.

– To nie żaden cyrk! – obruszyła się Amanda i Joyce zrozumiała, że właśnie niechcący zabrała głos w sporze. Flora musiała zwrócić matce uwagę, że robi niepotrzebny szum wokół tego ślubu. Joyce pożałowała swych słów, ale to był przejaw odruchu, żeby nigdy nie wypowiadać się o jednym dziecku bez wspominania o drugim. Victor nie miał zielonego pojęcia, co się wokół niego dzieje.

– Trzeba przecież pozatwierać tyle spraw, a po drodze zdarzają się komplikacje. Ja tylko chcę, żeby ten ślub wypadł jak należy.

Joyce zastanawiała się, czy to nie była aluzja do jej ślubu sprzed siedmiu lat, kiedy to nie obyło się bez paru zgrzytów: niechciany gość (kuzyn Marshalla, którego wypadało zaprosić), zbyt mała ilość zamówionego szampana, którego starczyło ledwie na styk, nieprzemyślana decyzja Marshalla o zapuszczeniu w ostatniej chwili wąsów, bunt Deke'a przeciwko zwiększeniu budżetu imprezy czy drużba, który wykonywał swoje obowiązki, nie będąc do końca trzeźwym.

Joyce specjalnie poprosiła Gottschalla, żeby usunął z tekstu przysięgi słowo „posłuszeństwo”. Ćwiczyli to wielokrotnie. Oczywiście w dniu ceremonii pastor się zapomniał i słowo padło. Joyce z rozpędu odpowiedziała „tak” i natychmiast znienawidziła się za to. Marshalla także. Czy Amanda uważa, że gdyby tamten ślub wypadł jak należy, Joyce by się

teraz nie rozwodziła? Bolesna to myśl, ale nie do końca pozbawiona podstaw. Ich małżeńskie kłótnie można było przewidzieć na podstawie tych przedmałżeńskich. W przeciwieństwie do seksu. Joyce głośno wciągnęła powietrze, sygnalizując swoje oburzenie słowami matki.

– Flora twierdzi, że niczego z nią nie konsultuję – ciągnęła temat Amanda, być może udając, że nie widzi irytacji Joyce. – Właścicielka kwaciarni była tak miła, że pożyczyła mi kosz, żeby Flora mogła wyrazić swoją opinię. Podoba ci się, kochanie?

– Mamo – westchnęła Flora. – Skąd mam wiedzieć, czy mi się podoba, przecież musiałabym zobaczyć całość, razem z kwiatami.

– Przecież widziałas kwiaty! – zawołała Amanda głosem drżącym z emocji. Trudno było stwierdzić, do jakiego stopnia to przedstawienie jest odgrywane ze względu na obecność Joyce. – Tylko kosze ci się nie spodobały. Mówiłaś, że są zbyt staroświeckie. Ten jest prostszy. Błagam, użyj wyobraźni. Jeżeli ci nie odpowiada, postaram się znaleźć inny.

– Nie trzeba, jest bardzo ładny.

– Nieprawda, wcale ci się nie podoba.

– Ależ podoba.

– Uważasz, że znów ci coś narzucam.

– Nie, mamo. Zadzwoń do kwaciarni i powiedz, że chcę taki bukiet i żadnego innego. I błagam, czy możemy już się zająć czymś innym?

– Dobra. Koniec z kłótniami! – Amanda uniosła ręce w geście poddania. – Idę do kuchni zająć się kolacją. Oni przyjadą o szóstej. Będzie cielęcina – zwierzyła się Joyce. – Miałam robić pieczeń wieprzową, ale potem się zreflektowałam...

– Mamo – wtrąciła Flora – ile razy mam ci powtarzać? Neal uwielbia wieprzowinę. Oni nie są religijni i nie przestrzegają wszystkich zasad. A nawet gdyby, to niekoszerna cielecina byłaby tak samo nie do przyjęcia jak wieprzowina. – I po chwili namysłu dodała: – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Wydaje ci się – powtórzyła Amanda – ale nie wiesz na pewno. Bo niby skąd? Oni sami dobrze nie znają wszystkich reguł, które z tego, co widzę, są całkowicie arbitralne. Jeden rzeźnik jest koszerny, drugi nie – ale czy mięso nie jest takie samo? Na Boga, oni mają koszerną nawet sól. Jakim cudem jedna szczypta soli może być bardziej żydowska od drugiej? Oczywiście, ja się chętnie dostosuję, no i to wszystko jest takie barwne i egzotyczne – zawsze popierałam Izrael – ale doprawdy... Twierdzą, że nie są religijni, a potem zgłaszają jedno religijne żądanie za drugim... Teraz znów to zamieszanie z kieliszkiem. Joyce pokiwała głową.

– Flora coś wspominała.

– Och, kieliszek! Kieliszek! Zgodziliśmy się poprosić Gottschalla, żeby odczytał żydowską modlitwę. W porządku. No to przyszli i powiedzieli, że chcą mieć ten śmieszny baldachim, pod którym w trakcie tej modlitwy mają stać państwo młodzi. Kto tam będzie wiedział, co to w ogóle jest? To będzie idiotycznie wyglądało w naszym małym protestanckim kościółku w Canaan. Nigdy nie było mowy o tym, że to ma być żydowski ślub. Oni wiedzieli, że Flora jest chrześcijanką, my też, a niektórzy z nas traktują swoją wiarę bardzo poważnie. Ale mniejsza o to. A jednak uparli się, żeby ślub się odbył w sobotę wieczorem po szabasie, którego nie przestrzegają i my się zgodziliśmy. Zażyczyli sobie ten baldachim i też się zgodziliśmy. A teraz znowu mówią, że pan młody musi stłuc kieliszek.

– Ach tak, rzeczywiście – ożywiła się Joyce. – Widziałam coś takiego na żydowskich weselach, nawet mieszanych. Na przykład u Annette. Piją wino z kieliszka, potem nakrywają go płótnem i rozdeptują. Rozbicie szkła symbolizuje, że nawet w chwilach największej radości nie mogą zapominać o nieszczęściach tego świata, zwłaszcza o wygnaniu Żydów z Jerozolimy. A baldachim to symbol nowego domu młodej pary. To się nazywa chupa. Ceremonia jest naprawdę bardzo ładna, wzruszająca i wcale nie tak znów religijna.

– W porządku. To nie ja wychodzę za mąż. Floro, chcecie rozbić kieliszek, proszę bardzo – powiedziała Amanda i poszła do kuchni, udając, że nie dała się obłaskawić. Joyce powiedziała właściwie to, co należało, zwłaszcza dobrze zrobiła, wspominając Annette, która jest przedstawicielką jednego z szacownych i zamożnych rodów z Bostonu. Odniosła wrażenie, że zyskała parę punktów jako rozjemca.

Flora westchnęła.

– I tak to trwa od tygodnia. Jedna awantura za drugą. A Neal! Przyznał, że pomyślał o tym w ostatniej chwili, ale stwierdził, że to bardzo ważne. Wiesz, nie wkurzałoby mnie to tak bardzo, gdyby on się od początku bardziej angażował w przygotowania, ale dla niego wszystko jest tylko pretekstem do żartów.

Joyce poszła na górę wziąć prysznic i przebrać się do kolacji. Dzieci bawiły się same na trawniku przed domem, korzystając ze swobód, jakie daje życie na przedmieściach. Robiły przy tym olbrzymi hałas, lecz pokój Joyce znajdował się na tyłach domu, gdzie nie dochodził harmider. Była zadowolona ze swojej interwencji w sporze między matką i siostrą. Zrobiła

to w samą porę, zrećźnie, w sposób wyważony i autentycznie bezstronny. Czła się jak Jimmy Carter.

Po kąpieli owinęła się ręcznikiem i położyła na szerokim łóżku, które zastąpiło jej tapczanik z dzieciństwa. Nie mogła się nadziwić, jak ten pokój zrobił się bezosobowy i jak bardzo jej ta bezosobowość odpowiada. Wystarczy zamknąć oczy i już się nie pamięta, jaki plakat wisiał nad biurkiem ani jaki kolor miały ściany czy narzuta. Nie został tu po niej żaden ślad. Można było wyrzucić z pamięci dawne czasy. Miała wrażenie, że wszystko, co kiedykolwiek się zdarzyło w jej życiu, miało miejsce na innym kontynencie, w odległym stuleciu.

Marshall oszalał, nie było co do tego wątpliwości. Pędził jak wariat autostradą Merritt Parkway, rechocząc sam do siebie, i przy odsuniętych szybach puszczał na cały regulator radio, że aż dudniło. Na zewnątrz były tylko cztery stopnie powyżej zera. Oszalał i ta świadomość dawała mu siłę. Teraz mógł robić wszystko, co chciał, absolutnie wszystko. Był wariatem, pieprzonym rozwodzającym się wariatem, dysponującym supermocą.

Nie miał pojęcia, jak się to wszystko skończy. Kierował nim ślepy instynkt sabotażysty: powiedz to, zrób tamto, tak, proszę pana, dzwonię w imieniu Neala Weissa. Od chwili, kiedy w pierwszej rozmowie życzył Nealowi szczęścia, przepychał się przez terytorium wroga, nie wiedząc, gdzie i kiedy pojawi się następna okazja. Takie zdawanie się na przypadek cechuje tylko autentycznego szaleńca.

Miał wrażenie, jakby znowu był w WTC i odnalazł Lloyda. Nie miał pojęcia, co będzie dalej i nic go to nie obchodziło. Pieprzyć Joyce i całą jej pieprzoną rodzinę.

Rodzina Neala przyjechała dokładnie o szóstej, zapewne chcąc się dostosować do surowych norm punktualności, które w ich wyobrażeniu obowiązują w środowisku WASP-ów. Tak przypuszczała Joyce. Nie zastanawiała się nad tym, gdyby nie dzisiejsza dyskusja o ceremonii tłuczenia szkła. Nigdy raczej nie wyznawała uogólnionych opinii o Żydach, wśród których przez całe dorosłe życie mieszkała i pracowała. Nie dociekała też, co Żydzi myślą o nie-Żydach ani nie zastanawiała się nad religijnością przyszłego szwagra. Jednak w chwili, gdy zaczynała nabierać przekonania, że jego rodzina jest nieco bardziej ortodoksyjna od niego, Harold i Elise Weiss pojawili się w drzwiach wysocy, opaleni, promienni – jak Neal. Typowi Kalifornijczycy. Rodzice wymienili uściski dłoni w ramach ogólnie przyjętych w Ameryce granic zażyłości towarzyskiej. Nikt się z nikim nie całował. Flora i Neal zerkali po sobie, próbując po minach ocenić nastroje. Amanda gestem skierowała gości do salonu. Deke nalał Haroldowi whisky i obaj panowie od razu przeszli do omawiania niedzielnych rozgrywek futbolu, ignorując sobotnią uroczystość.

Tylko Joel miał cechy, które przynajmniej w części pasowały do jej wyobrażenia Żyda. Cerę i włosy miał ciemniejsze niż Neal, a gdy przedstawiano go jej rodzicom, zachowywał nieśmiałą powagę i chłodny dystans. To było nawet pociągające. Mocno ucisnął im dłonie i wycofał się. Elise i Amanda zgadały się, że uczestniczyły kiedyś w zajęciach w tej samej szkole gotowania w Tuluzie. Neal i Flora zaczęli omawiać piętrzące się problemy związane z organizacją wesela, więc Joel był skazany na towarzystwo Joyce, ale nie wykazywał zainteresowania pogawędką. Zwiedzał pokój i oglądał wyposażenie – biurko, obrazy na ścianach – niczym antropolog.

Tak czy owak, przed kolacją należało zgarnąć dzieci z podwórka. Joyce specjalnie zostawiła je na dworze, bo bawiły się wyjątkowo zgodnie. Wymyśliły zabawę o tajemniczych i skomplikowanych regułach, która polegała między innymi na bieganiu z krzykiem całymi godzinami i zeskakiwaniu co jakiś czas z ganku na trawnik, który łagodnie opadał do krawędzi lasu. Zawsze przy tym trzymały się za rączki i staczały po trawie, piszcząc i wrzeszcząc. Kiedy Joyce je zlokalizowała, wyglądały jak nieboskie stworzenia, rozczochrane i brudne od trawy, ale cieszyła się, że mogą zaznać takiej swobody. Przeszło jej przez myśl, jak wiele razy przedtem, nawet zanim Nowy Jork stał się celem terrorystów, że może miałyby się lepiej, mieszkając poza miastem. Szybko tę myśl odrzuciła. Jakakolwiek propozycja zmiany miejsca zamieszkania nie wchodzi w grę, bo ponownie otworzyłaby wszystkie tymczasowo zamknięte negocjacje. Marshall na pewno wykorzystałby to przeciwko niej.

Kolacja pojawiła się na stole w sam raz, kiedy dzieci były umyte, przebrane i można je było pokazać ludziom. Weissowie byli oczarowani, gdy Viola i Vic przeszli wokół stołu, przedstawiając się gościom. Dzieci zawsze bardzo lubiły Neala, więc teraz pozwoliły mu złapać się za szyję i wytarosić za włosy. Amanda w pierwszej chwili była zaszokowana (jej pewnie nikt w dzieciństwie tak nie robił), a potem uśmiechnęła się chłodno. Joel też, jak zauważyła Joyce.

Kiedy Joyce i jej zdekompletowana rodzina zajęli miejsca przy stole, przystąpiono do rzeczy: należało ustalić plan działań na najbliższe dwa dni. Do załatwienia zostało mnóstwo spraw i nie było na co czekać. Po kwiaciarni i firmie cateringowej czekały wizyty w pralni chemicznej, u fryzjera i w hurtowni alkoholi, a każdy z tych przybytków znajdował się w

innej części miasta. Chociaż mieli do dyspozycji trzy samochody, trudno to było rozplanować. Joyce bała się przyznać, że musi jeszcze odwiedzić manikiurzystkę. Następnego dnia przed próbną ceremonią Neal był umówiony w wypożyczalni na ostateczną przymiarę i odbiór smokingu. Flora koniecznie chciała przy tym być, aby wszystkiego dopilnować.

– Musisz wyglądać zabójczo – powiedziała, szczypiąc go pieszczotliwie w policzek. Neal zachichotał.

Joyce nie umiała sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek robiła coś takiego Marshallowi przy ludziach.

– No dobrze – wtrącił się Joel – ale potem musimy pojechać do Hartford.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok ławy przysięgłych. Jego rodzina pokiwała głowami.

– Hartford? – spytała Amanda. – To ponad godzinę stąd.

– Tam jest najbliższy sklep z dewocjonaliami dla Żydów – wyjaśnił niemal z przyganą Joel. – To jedyne miejsce w okolicy, gdzie wypożyczają *chupy*. Już zrobiliśmy rezerwację.

Chupa. Przez większą część dyskusji siedział cicho, czekając na ten moment.

– Nie ma sprawy – odparła Flora. – Jak będziemy wracać z wypożyczalni, wysadzisz mnie pod domem i możecie jechać.

– No i jeszcze trzeba skombinować kieliszek – przypomniał Neal. Ślad na policzku całkiem mu zbladł. Joyce przyszło do głowy, że szczypanie w policzek to gest typowo żydowski. Flora z każdym dniem coraz bardziej się do nich upodabniała.

– Mamo, znajdą się w domu jakieś kieliszki, prawda?

– Oczywiście, córeczko. Neal, czy potrzebujesz jakiegoś specjalnego rodzaju szkła?

– Nie, nie – odparł i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – To nie może być nic cennego, bo wie pani, pójdzie na straty.

– Byle kryształowy – wtrącił Harold, duży mężczyzna z wysokim czołem i zawadiackim wąsem. Z poważną miną wpatrywał się w Amandę zimnymi, brązowymi oczami. Nie zareagowała od razu, więc pośpiesznie wyjaśnił: – Żartuję. Nie mam pojęcia, jaki to ma być kieliszek. Na pewno wystarczyłby zwykły słoik po dżemie. – Przerwał i po chwili namysłu dodał: – O ile dżem był koszerny.

Joyce zauważyła, że Amanda błysnęła oczami w kierunku Flory. Trwało to ułamek sekundy, więc trudno było powiedzieć, co chciała przekazać, ale domyśliła się, że był to wyraz zgorznienia.

– No, ale *chupę* niestety można dostać tylko w specjalistycznym sklepie – podsumował Joel.

– Nie ma sprawy – powtórzyła Flora. – Przyjedziemy ze smokingiem, ja go wezmę i powieszę w domu, a wy pojedziecie do Hartford.

– *Chupa* jest bardzo ważna – usprawiedliwiał się Neal. Nagle z uśmiechem wyrzucił ręce w górę. – Taki tam głupi wymysł ludzików z pejsami.

– Dobra, już przestań – zaśmiała się Flora. – Weź dwie.

Nazajutrz rano Joyce została w domu z dziećmi. Maszynaria przygotowań do ślubu ruszyła, samochody zostały wysłane, każdy wyposażony w listę spraw do załatwienia i świeżo naładowaną komórkę. Joyce cieszyła się, że nie musi się nigdzie spieszyć ani być w centrum tego zamętu. Mogła zejść do kuchni i spokojnie się napić kawy. Na szczęście to

nie jej ślub. Rozmyślała o tym, z jakim bagażem Flora i Neal wystartują w miesiąc miodowy i dalsze wspólne życie. Na szczęście to nie jej małżeństwo. Postanowiła sama zrobić sobie paznokcie. Wolała nikomu nie zawracać głowy swoją osobą, choć raz dla odmiany nie stanowić problemu. Bywają sytuacje, na przykład ta wczorajszy, kiedy wydaje się jej, że może udowodnić matce i siostrze, że jest rozsądna i potrafi dobrze ocenić sytuację. Może któregoś dnia uda jej się przekonać rodzinę, a przede wszystkim samą siebie, jak świetnie sobie radzi z tym całym zamieszaniem w swoim życiu.

Ranek robił się coraz cieplejszy i dzieci zaczęły się domagać wyjścia na dwór. Zabrała je więc na spacer po okolicy. Pokazywała, gdzie mieszkały jej koleżanki, gdzie chodziła do szkoły i w których domach opiekowała się dziećmi. Szybko uszedł z niej entuzjazm, bo okazało się, że Victor i Viola są bardziej zainteresowani kopaniem kamyków, zwłaszcza jednego o wyjątkowej, niebiesko–czarnej barwie, który znaleźli w rynsztoku. Viola stwierdziła, że to część samolotu. Po przejściu kilku przecznic Joyce zaczęła żałować wycieczki. Prawie każdy z tych domów budził jakieś wspomnienia z dzieciństwa. Było ono jak najbardziej szczęśliwe, ale patrząc na te wszystkie symbole jej dawnej niewinności, szumnych planów i nadziei na przyszłość, przypominała sobie tylko, w jakim bagnie tkwi teraz. Poza tym w tych domach wciąż mieszkają znajomi sąsiedzi. Jedno spojrzenie przez okno wskrzesiłoby także ich wspomnienia. Wiedzą, że jest w trakcie rozwodu. Westchnęliby na jej widok. Niektórzy pewnie już wzdychają, zerkając zza firanki. Jest piątkowy poranek, a ona snuje się bez celu uliczkami, po których zwykle nikt nie spaceruje.

Po lunchu dzieci wyszły na ganek dokończyć wczorajszą zabawę. Joyce przyglądała im się przez chwilę z rozbawieniem, po czym wróciła do

domu poczytać prasę. Gazety opisywały kolejne etapy działań wojennych w Afganistanie, gdzie kolejne zdrady spotykały się z kolejnymi szykanami, a Stany Zjednoczone wciąż dawały się nabierać rywalizującym frakcjom, przez co ginęli kolejni niewinni cywile. Jednak okazało się, że wojna jest znacznie mniej interesująca, kiedy się o niej czyta w Connecticut niż w Nowym Jorku, gdzie brak wież wciąż na świeżo przypomina o tragedii. Tutaj Nowy Jork i Kabul wydają się równie odległe i obce. Nowy Jork pozostał częścią współczesnej historii świata. Jego ulice roją się od imigrantów i uchodźców, jego chora polityka etniczna rodzi konflikty, które niczym się nie różnią od tych, które w innych rejonach świata przesuwają granice i obalają reżimy. Connecticut jest niemal odgrrodzone od reszty świata, choć Joyce właśnie sobie przypomniła, że Flora coś mówiła o niedawno otwartej etiopskiej restauracji. Sama też słyszała ostatnio w aptece jakiś słowiański język.

Flora, Joel i Neal wrócili z wypożyczalni dość późno, tuż przed drugą. Gdy Flora szła do domu zanieść smoking, Neal pobiegł za nią, chcąc jeszcze skorzystać z toalety. Joyce zauważyła, że cała trójka prawie z sobą nie rozmawia, a miny mają raczej ponure. Pewnie coś poszło nie tak w wypożyczalni. Joel został w samochodzie, nie wyłączył silnika i bębnił palcami o kierownicę. Joyce pomyślała, że będzie to miły gest, jeśli dotrzyma mu przez chwilę towarzystwa. Zauważywszy jego nerwowe zniecierpliwienie, kiedy się zbliżała, pożałowała swej uprzejmości, ale było już za późno.

- Trochę wam zeszło – zagadnęła odważnie i uśmiechnęła się.
- Owszem. – Spojrzał na nią. Na kolanach miał rozłożoną mapę stanu.
- Twoja siostra stwierdziła, że źle leży i trzeba było poprawić.

– Jeszcze dużo czasu, spokojnie zdążycie do Hartford. – Chciała go pocieszyć, ale prawdopodobnie tylko pogorszyła sprawę. Powinna była zostać w domu. Zrobiło się zimno, a ona nawet nie założyła płaszcza.

– Słońce zachodzi o szesnastej dwadzieścia siedem – powiedział matowym głosem. – Jest szabas, sklep zamykają o czwartej.

– Neal zaraz wróci, a to nie jest tak daleko. Daję słowo.

W chwili, gdy to mówiła, żałując, że składa jakieś obietnice bratu Neala, czyjś przeraźliwy krzyk odbił się echem od lasu, okrążył dom i przeszył ich oboje. Cokolwiek by powiedzieć złego o niej jako matce – że jest egocentryczką, łatwo wpada w złość, jest nieuważna, naiwnie marzy o całkowitej wolności (wszystkie te cechy znowu się potwierdziły w ostatnich miesiącach) – Joyce od razu wiedziała, że to głos jej dziecka.

Pędem ruszyła za róg i zobaczyła Violę leżącą na trawie w połowie wzniesienia. Victor stał na krawędzi ganku i zasłaniał twarz dłońmi. Auaaaa! – zawodziła Viola. Joyce szybko do niej podbiegła i sprawdziła, czy jest

ranna. Nie było widać krwi, ale dziewczynka wyraźnie cierpiała. Trzymała się za rękę, skręcając się z bólu i wyjąc. Joyce uklękła.

– Kotku... – powiedziała łagodnie. Ale dziewczynka nic nie widziała, opuchnięte oczy były zalane łzami. Joyce odruchowo pomyślała o Marshallu, żałując, że go tam nie ma.

– To nie ja! – zastrzegł z góry Victor.

Joel wyszedł z samochodu i z wysiłkiem wspiał się po zboczu. Ujrawszy widok matki z cierpiącym dzieckiem, skrzyżował ręce na piersiach i zmarszczył brwi.

Joyce próbowała przemówić do córeczki.

– Kochanie, w którym miejscu cię boli?

– Auaaaa!

Wrzask Violi niósł się po całej okolicy. Sąsiedzi, którzy dziś rano podglądali Joyce zza firanek, na pewno znów wzdychają pod nosem.

– Możesz wstać?

Dziewczynka była zamknięta w dźwiękoszczelnej kapsule własnej rozpacz. Vic też beczał. Jego łzy kapały na nie z góry.

Joyce postawiła Violę na ziemi i skłoniła ją do pokazania ręki. Zaczynała puchnąć. Gdy jej dotknęła, Viola krzyknęła z bólu. Joyce natychmiast cofnęła dłoń.

– O Boże – powiedziała. – Na pewno ją złamała. – Viola zbladła, wargi miała zupełnie sine.

W tylnych drzwiach domu pojawili się Neal i Flora. Mieli niepewne uśmiechy na twarzach i pytające spojrzenia. Najwyraźniej nie rozpoznali źródła wrzasku ani nawet nie skojarzyli go z cierpieniem. Czyżby tylko Joyce nie zdarzyło się w życiu słyszeć czegoś równie potwornego? Czy też nikt, nawet ciotka, nie jest w stanie wyłowić płaczu dziecka tak jak jego matka? Viola była cała, w sumie nic poważnego się nie stało, ale mimo to Joyce nie mogła przestać myśleć o dzieciach, które cierpią uwikłane w wojny toczące się na świecie. Ich płaczu też nie da się znieść, nie wtedy, gdy prowadzisz poważny, pełen wyzwań biznes, jakim jest twoje własne życie. Viola wciąż krzyczała z bólu, a Victor płakał i wyciągał rączki w nadziei, że ktoś go podniesie. Joyce przebywała myślami w Kongo, Gazie, Afganistanie, a jednak była na tyle przytomna, aby spostrzec, że Flora ma rumieńce na twarzy, a jej biustonosz przesuwają się luźno pod swetrem.

Kochała się z Nealem. Chcieli ukraść kilka minut dla siebie, gdy Joel czekał w samochodzie.

– Nie jest złamana – stwierdził Joel.

Joyce miała wątpliwości. Joel to wprawdzie mikrobiolog, ale niekoniecznie musi się znać na medycynie.

– Nie wiadomo.

– Grunt jest grząski. – W nocy padał deszcz. Joel zademonstrował to wbijając czubek buta w ziemię. – Nie mogła jej złamać.

– Mogła upaść na tysiąc różnych sposobów. – Joyce nie rozumiała, jakież to kapitał Joel zainwestował w integralność nadgarstka Violi. – Trzeba ją zawieźć do szpitala.

– Można spróbować przyłożyć lód.

– Joel! – upomniał brata Neal. – Przestań się zachowywać jak idiota.

Flora zabrała do domu szlochającego Victora, a Joyce wsiadła z Violą do auta. Wskazała braciom drogę do szpitala. Viola cały czas jęczała z bólu. Joel jechał bardzo szybko, nie bacząc na światła i znaki. Joyce zdała sobie sprawę, że on się boi, czy zdąży na czas do sklepu. Sama się denerwowała, bo nie chciała stać się powodem spóźnienia.

– Wysadź nas przed izbą przyjęć – zaproponowała. Viola łkając, zaczęła się skarżyć na brata.

– Tak nie można, kochanie, to niesprawiedliwe – tłumaczyła jej mama.

– Po prostu się przewróciłaś i tyle.

– Nie! To przez niego!

– Będziemy teraz o wszystko oskarżać Victora? Joel, następna w lewo. O, tutaj. Cały dzień skakaliście z ganku. Wczoraj też. Widziałam was. Jeżeli ktokolwiek tu zawinił, to ja, bo wam na to pozwoliłam.

Oczywiście, że to ona jest winna wypadkowi. Właśnie to do niej dotarło. Ależ z niej idiotka! Adwokat Marshalla będzie wniebowzięty, zwłaszcza jeśli się okaże, że nadgarstek jest złamany. Całą jesień budował coraz bardziej przekonującą argumentację przeciwko niej. Widziała dzieci, ale ich nie przypilnowała.

– To przez Victora!

– Nie, kochanie...

– Puścił mnie! My się tak bawiliśmy...

– To był...

– World Trade Center się palił i musieliśmy skakać!

Ale on puścił moją rękę!

Joyce pocałowała ją w wilgotne czoło.

– Rozumiem, tak się bawiliście, ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego upadłaś w ten sposób.

– Przez niego straciłam równowagę! – zawyła. – Złamał zasady!

Joel odwrócił się w ich stronę z grymasem zdumienia na twarzy.

– Bawiliście się w wyskakiwanie z World Trade Center?

Joyce mocniej przytuliła córeczkę. Biedne maluchy.

Całe dwa dni skakały z ganku, a za każdym razem wszystko wracało do początku: wieże znów stały, wyrzucając z siebie kłęby dymu i płomienie.

– Bawiliśmy się w jedenastego września – załkała Viola.

– Jedź, Joel – powiedziała Joyce. – Już niedaleko, jeszcze dwa skrzyżowania.

Personel izby przyjęć tak się ucieszył z przybycia Violi, jakby od lat nie było tu nagłego przypadku i potrzebowali na gwałt pacjenta, żeby im nie zamknęli oddziału. Joel i Neal odjechali. Trzy pielęgniarki natychmiast

zajął się Violą, czule do niej przemawiając i głaszcząc ją po główce, a czwarta przyniosła Joyce kawę. Doktor delikatnie zbadał rączkę dziewczynki, a potem kazał posadzić ją na wózek i zawieźć na prześwietlenie. Już przestała płakać, zachwycona pojazdem i ilością uwagi, jaką jej poświęcano.

Okazało się, że rączka nie jest złamana, tylko mocno zwichnięta, ale wymaga założenia gipsu. Joyce została sama w poczekalni, zadowolona, że na parę minut może powierzyć dziecko specjalistom. Światło w tym pozbawionym okien pomieszczeniu było przyćmione, a z głośników sączyły się delikatne jak mgiełka dźwięki muzyki klasycznej. Nie było atmosfery pośpiechu i nerwowości. Joyce oparła się wygodnie na krześle i wyprostowała nogi. Cieszyła się, że jest w Connecticut, z dala od swoich problemów. Zdjęła buty i poruszała palcami po puszystej beżowej wykładzinie, jakby to był piasek na plaży. Zwichnięty nadgarstek – a więc w sumie nic poważnego. Wyobraziła sobie, że potrafi trzeźwo oceniać sytuacje i takie błahe problemy traktować z należyтым dystansem. Ta niekończąca się wojna z Marshalllem, jakież ona ma znaczenie? Kiedyś w końcu się rozwidą, jedno wyjdzie na tym lepiej, drugie gorzej, ale odległe planety nie przestaną krążyć po swych orbitach wokół anonimowych gwiazd w galaktykach niedostrzegalnych nawet przez najmocniejsze teleskopy. Zresztą wkrótce i tak wszyscy umrą. Powtarzała to sobie, jednocześnie drżąc ze strachu, że w chwili, gdy ona zapuszcza się myślami w przyszłość, Marshall zyskuje kolejne punkty przewagi.

W poczekalni pojawiła się Flora z Victorem. Chłopczyk był przerażony i mocno ścisnął ją za rękę. Nie widząc Violi, wybuchnął płaczem. Joyce wzięła go na ręce.

- To przeze mnie! – beczał.
- Nie, synku.
- To miało być zbiolowe samobójstwo.
- Zbiorowe. Kochanie, nic się nie martw, Viola wyzdrowieje.

Joyce wyjaśniła mu, że ręka nie jest złamana, ale Victor dalej płakał. Flora natomiast wydawała się jakaś roztargniona. Okazało się, że jedna z druhen zachorowała na łagodną odmianę zapalenia płuc i nie wiadomo, czy będzie mogła przyjść na ślub.

– Słuchaj, nie pogniewasz się, jak ci tu zostawię Victora? Muszę pojechać po rosół.

Pierwszy odpowiedział jej telefon, wygrywając kilka taktów jakiejś bliskowschodniej melodii. Przyłożyła słuchawkę do ucha i skrzywiła się.

– Co? Nie słyszę. Co mówisz? – Zatkła palcem drugie ucho, ale nie pomogło. – Poczekaj, poczekaj, Neal. Wyjdę z budynku.

Joyce spojrzała na zegarek: dwadzieścia pięć po czwartej. Cholera. Popołudniowe szarości zachmurzonego nieba zaczynają powoli przechodzić w ciemniejsze odcienie świętego zmierzchu. W wyciszonych, przesyconych Bogiem domach na całym Wschodnim Wybrzeżu nakrywa się teraz głowy i zapala świece. Joyce huśtała Victora na kolanie. Z jej strony był to odruch nerwowy, ale pomógł uspokoić chłopca. Po kilku minutach wróciła Flora, kręcąc głową.

– Wszystko w porządku?

– Ten facet doprowadzi mnie do obłędu. Zdażyli do sklepu, ale *chupy* nie było, chociaż ją wcześniej zarezerwowali. Podobno ktoś już ją odebrał i zapłacił. Ewidentnie coś popieprzyli.

Joyce musiała się upewnić:

– Ale zdążyli przed zamknięciem sklepu?

– Właśnie zaciągali kratę. Joel dosłownie siłą się tam wdarł, ale *chupy* nie było. Ponoć wściekł się jak diabli. A Neal zachowuje się, jakby to była moja wina! Powiedział: „Twoja rodzina i tak nie chciała *chupy*”. Kompletnie zwariował, przecież nigdy nie przywiązywał wagi do tych spraw.

Obie siostry usiadły z powrotem na krzesłach, Flora zamknęła oczy. Ona także próbowała się oderwać od bieżących kłopotów. Victor siedział skulony na kolanach matki. Joyce było głupio, że czuje taką ulgę, nadal jednak czegoś nie rozumiała.

– Ale przecież ją zarezerwowali?

– Owszem – Flora spojrzała na nią jak na idiotkę. – To musi być jakaś pomyłka. Kto wie, te wszystkie żydowskie nazwiska brzmią podobnie.

– A nie można pojechać gdzie indziej?

– W całym stanie jest tylko kilka takich sklepów i wszystkie są zamknięte w szabas. Tamten facet musiał wyjść przed zachodem słońca. Mało się nie rozplakał, ale nie chciał sprawdzić, kto podpisał kwitek. I to ma być niby moja wina!

W tym momencie przywieziono Violę. Victor z przerażeniem spojrzał na wózek i rękę obłożoną gipsem. Sama Joyce poczuła, jak napina jej się całe ciało. Dziewczynka miała włosy w nieładzie, luźne kosmyki opadały jej na twarz. Była zmęczona, wypłakała dziś wszystkie łzy. Za bramą tego szpitala jej rysy jakby się wyostrzyły, a wzrok stał się jeszcze bardziej nieufny. Joyce ujrzała przed sobą twarz, jaką jej córka zabierze w dorosłość – idealną mieszankę cech jej i Marshalla – w świat, którego realne zagrożenia i konflikty na razie trudno sobie wyobrazić.

To nie był koniec kłopotów tego popołudnia. Niektóre okazały się znacznie poważniejsze niż zwichnięta ręka Violi, choroba druhny czy brak *chupy*. Buty, które Flora miała założyć do ślubu, jeszcze w środę pasowały idealnie, a dziś już nie. Kobieta z firmy cateringowej przygotowując winietki na stoły, zapodziała gdzieś plan rozmieszczenia gości, który tak mozolnie ustalano. Flora kilka razy bezskutecznie próbowała się dodzwonić do zespołu muzycznego, żeby jeszcze raz potwierdzić ich obecność. Do lokalnych hoteli zaczęli zjeżdżać zamiejscowi goście, tyle że niektórzy zapomnieli wcześniej zarezerwować pokoje. Wieczorem podczas próby w kościele ujawniły się jakieś niejasności co do przebiegu ceremonii i trzeba je było rozstrzygnąć, zupełnie jakby pierwszy raz ktoś brał tam ślub. Potem wielebny Gottschall sięgając po hebrajską modlitwę, którą miał odczytać, zapytał co z *chupą*. Joyce poczuła, jak z niewyjaśnionej przyczyny twarz okrywa jej rumieniec wstydu. Flora pośpiesznie odpowiedziała, że *chupy* nie będzie. Na to Neal tym samym chłodnym, beznamiętnym tonem, jakiego używał od powrotu z Hartford, zaznaczył, że wszyscy mają się zachowywać tak, jakby była. Joyce uznała, że najlepiej zrobi, jeśli odsunie się na bok i przypilnuje dzieci, aby nie wchodziły nikomu w drogę, a rodzina z pewnością będzie jej za to wdzięczna.

Po próbnej ceremonii wszyscy udali się na kolację. Państwo Weissowie wybrali etiopską restaurację mieszczącą się w osiemnastowiecznym wiejskim domu z kamienną elewacją, surowymi ścianami i krokwiami z ręcznie ciosanego wiśniowego drewna, które podpierały wysoki strop. Wnętrze było jednak urządzone całkowicie w klimacie afrykańskim: maski plemienne, plecione koszyki. Gości zaprowadzono do niskiego stołu, otoczonego kręgiem haftowanych poduch.

Armia kelnerów zaczęła znosić jedzenie, układając je na czymś w rodzaju dużych naleśników, które służyły jako talerze i zarazem serwetki. Jedną z kelnerek, etiopska długonoga piękność o kościach policzkowych jak u modelki i cichutkim głosiku, która akcentowała sylaby w tak nieprzewidywalny sposób, że nawet najpospolitsze angielskie słowa brzmiały zmysłowo, wyjaśniła gościom, że zwykłych serwetek nie będzie. Amanda wybałuszyła oczy. Będą musieli odrywać kawałki naleśnika, aby nimi nabierać sosy i potrawy, jak również wycierać ręce i twarz. Stała nad nimi z twarzą spokojną i wszechwiedzącą, i patrzyła, jak nieśmiało zaczynają się częstować. Joyce bez trudu mogła sobie wyobrazić, że wcale nie są w Connecticut. A jednak ta kelnerka, kolejny symbol wyniszczonych wojnami świata, co wieczór po pracy wsiadała do samochodu i drogami stanu Connecticut mknęła do swego domku w Connecticut, aby żyć wśród tutejszych mieszkańców.

Weissowie widocznie mieli nadzieję, że restauracja o tak egzotycznej atmosferze i nieformalnym sposobie spożywania posiłków, jak również ze świetnie zaopatrzonym barem, przełamie zahamowania w towarzystwie, które dopiero co się poznało. Joyce jednak cały czas miała wrażenie, że siedzi na bankiecie z przedstawicielami dwóch klanów, których trudne okoliczności zmuszają do pogodzenia swoich interesów pod groźbą zostania zasztyletowanym po pierwszym kieliszku martini. Neal, Joel i Flora urwali sobie najmniejsze możliwe kawałki naleśnika, a Deke i Amanda nawet go nie tknęli, ostentacyjnie nabierając potrawy widelcem.

Tylko Harold Weiss dojrzał zabawną stronę afery z *chupą*.

– Jedna *chupa* w całym stanie i ktoś wam ją zwinął sprzed nosa! Ha, ha, ha!

Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważał wściekłości synów ani skrepowania rodziny Joyce. Jako jedyny z przyjemnością oddawał się konsumpcji. Odrywał wielkie kawały ciasta, wstawał, nachylał się przez cały stół, żeby nabrać ulubionego sosu czy mięsa, a potem wpychał go sobie do ust. Na białej koszuli zakwitła mu wielka ruda plama. Śmiał się z niej. Joyce pozazdrościła kelnerce, kiedy Harold przerzucił swą żarłoczną uwagę na nią, domagając się, by podała mu etiopskie nazwy wszystkich potraw. Kelnerka uśmiechnęła się nieśmiało i poruszając ustami z delikatną precyzją zaczęła wymawiać szeptem poszczególne słowa: *berbere*, *zizil tibs*, *yedura*, *alicha*. Każde brzmiało jak obietnica. Joyce chciała się poczuć jak on i całkowicie się wyluzować. Umazać sobie usta tymi samymi sosami, sycić się ich smakiem. Tym razem jednak ze względu na siostrę i rodziców powstrzymała się od okazywania swego apetytu na egzotykę. Nie chciała ich zawieść.

Gdy wrócili do domu, położyła wyczerpane dzieci do łóżek. Gips Violi przed wyjściem owinęła przezornie folią, ale i tak był cały uświniony. I mimo że sama uważała przy stole, jedna kropla sosu zakończyła swą podróż przez pół świata na rękawie jej bluzki. Nie przejęła się tym. Wciąż miała w pamięci cudowny smak potraw, które przed chwilą spożyła.

Zaczęła się przygotowywać do snu. Umyła twarz i nałożyła maseczkę oczyszczającą w kolorze czekolady. Za pomocą chusteczki rozprowadziła ją po wszystkich partiach twarzy, szczególnie szczerze pokrywając powieki i łuki pod brwiami. Nie wyglądała jak etiopska kelnerka (za jasny kolor skóry i nie ta uroda), lecz patrząc na swe odbicie, mogła choć przez chwilę wyobrazić sobie, że jest porzuconą sierotą z dalekiego, niesamowicie egzotycznego kraju o bogatej, nieodkrytej historii: Abisynką lub chociaż

kimś o abisyńskich kościach policzkowych. I abisyńskich nogach. Nie umyła od razu zębów, chciała jeszcze przez chwilę zachować na ustach i języku ciepło wschodnioafrykańskiego słońca. Wpatrywała się w białe obwódki oczu, gdy nagle drzwi otworzyły się na oścież i do łazienki wdarł się gorący pustynny wiatr.

- Nie zniosę tego dłużej! Mam dosyć!
- Co znowu? – spytała Joyce, starając się ukryć zniecierpliwienie.
- Neal wszystko musi zepsuć! – poskarżyła się Flora.
- Ale co? Mów.

Flora nie skomentowała wyglądu siostry. Sama też się zmieniła: była rozczochrana, a twarz miała czerwoną i opuchniętą – musiała dopiero co płakać. W restauracji z trudem ukrywała zdenerwowanie.

- Zgadnij.
- Skąd mam wiedzieć?
- On chce jechać jutro na Brooklyn! Przed ślubem, razem z bratem!
- Po co?
- Po *chupę*.

– Jutro sobota, wciąż trwa szabas – zauważyła Joyce. — Gdzie on chce znaleźć na Brooklynie *chupę* w sobotę?

– Kolega Steve'a ma znajomego, którego rodzina ma własną *chupę* używaną na rodzinnych weselach. Dzwonili do niego, ma im pożyczyć. Chcą wyjechać wcześniej rano, zabrać ją i wrócić.

Joyce aż popękała maseczka na twarzy, kiedy z wrażenia opuściła szczękę.

– Zwariowali? Przecież to im zajmie ze trzy godziny w jedną stronę! Ślub jest o piątej. A jeśli coś pójdzie nie tak? A jeśli będą korki?

– No właśnie! – chlipała Flora. Opadła ciężko na łóżko i skryła mokrą od łez twarz w dłoniach. – Powiedziałam to Nealowi. Powiedziałam mu, że rujnuje nasze wesele. Boże, ja mu nawet powiedziałam, że on wcale nie chce się żenić.

– Złapała gwałtownie powietrze i zadrżała. – Tak, na pewno. Nie chce się ze mną ożenić, bo nie jestem Żydówką!

Joyce usiadła obok niej i pogładziła ją po włosach, które kolorem i fakturą tak bardzo przypominały jej własne. Flora cała się trzęsła, jakby miała gorączkę. Joyce też ostatnio poddała się łzom, nie dalej jak w tym tygodniu, dwa czy trzy razy. Zanurzyła palce w splątanych włosach siostry i delikatnie oddzielała pasemka.

– Ależ co ty mówisz, oczywiście że chce. Przecież cię kocha – powtarzała, szukając tego uspokajającego tonu, który zawsze znajduje w sobie, gdy dzieci tego najbardziej potrzebują. Nagle nasza ją myśl, objawiając się kolejnym pęknięciem w maseczce na twarzy. – Zaraz, przecież to Joel najbardziej się upiera przy tej *chupie*. Dlaczego nie pojedzie sam?

– Dobre pytanie! – rzekła z wściekłością Flora. – Ja ci powiem dlaczego. Oni się boją, że i tak zaczniemy ceremonię, bez niego, bez *chupy*. Neal ma być zakładnikiem!

Nazajutrz rano wszyscy niemrawo się ruszali, jakby się przygotowywali do pogrzebu. Nawet Dekę martwił się kłopotami młodszej córki. Poprosił, aby mu jeszcze raz dokładnie, na spokojnie powtórzyła wszystko, co Neal powiedział poprzedniego wieczoru. Zadzwoił do Harolda Weissa, który był nie mniej skonsternowany pomysłem synów.

– Nie wiem, o co temu chłopakowi chodzi – mruknął. Miał na myśli Joela.

Około dziesiątej Neal zadzwonił do Flory i powiedział, że zdołali dotrzeć na Brooklyn w rekordowym czasie. Niestety *chupa* znajduje się w domu rodziców kolegi, w Queens, ale całkiem niedaleko.

– Dajcie sobie z tym spokój i wracajcie.

Amanda, Flora i Joyce udały się do fryzjera. Niewiele rozmawiały. Nawet pod makijażem twarz Amandy była szara i zmęczona. Pewnie zachodziła w głowę, jakie błędy wychowawcze popełniła, że jedna córka właśnie kończy swoje małżeństwo w burzliwych okolicznościach, a druga najwyraźniej nie może zacząć.

Neal zadzwonił ponownie dopiero o drugiej, kiedy pomału zaczęli napływać goście. Tym razem Flora tylko burknęła coś do słuchawki i rozłączyła się. Odłożyła telefon i westchnęła.

– Mówi, że właśnie przejechali most Triborough.

– No to będą tu najwcześniej o wpół do piątej – stwierdziła Joyce.

–I jaki był z siebie zadowolony! Mają *chupę*! Jakby nic się nie stało. Jakby wyszedł za róg po bułki.

Chyba myślała, że matki nie ma w pokoju, lecz Amanda wbiegła, gdy tylko usłyszała dzwonek telefonu. Miała na sobie bladozielony żakiet z wytłaczanym wzorem i w tym samym kolorze spódnice.

– To nie jest pora na żarty – warknęła.

Nawet jeśli ślub troszkę się opóźni, to jeszcze nie koniec świata, szczególnie jeśli sobie przypomnieć, co się teraz dzieje na świecie – ale tego Joyce nie mogła powiedzieć ani siostrze, ani matce, bo zaraz by ją posądziły, że próbuje zbagatelizować problem.

Kolejne godziny mijały bardzo szybko. Rodzina i uczestnicy ceremonii nie bacząc na nieobecność pana młodego, trzymali się ustalonego planu. Nikt się nie dopytywał, gdzie jest Neal, nawet Gottschall. Viola wpadła w złość, kiedy usłyszała od matki, że będzie musiała trochę poczekać, zanim jej pozwolą wziąć bukiet do ręki. Wkrótce do kościoła zaczęli się schodzić goście. Amanda witała wszystkich chłodnym uściskiem dłoni. Jej uśmiech był tak kruchy jak szklany kieliszek, który wydołała z kredensu dla młodej pary. Kilku osobom przebaczyła, że ceremonia się trochę opóźni, ale nie przeszło jej to przez gardło więcej niż dwa razy. Minęła siedemnasta, a Neala nadal nie było. Joyce uznała, że teraz to już na pewno wszyscy się zorientowali, że pan młody się spóźnia. Organistka wygrywała kolejne pozycje ze swego repertuaru. Amanda i Joyce schowały się we wnęce obok bocznego pomieszczenia, w którym siedziała zapłakana Flora.

– W życiu nikt mnie tak nie upokorzył – powiedziała roztrzęsionym głosem Amanda.

Joyce zaskoczyło to wyznanie. Sprawilo, że matka stała się jej bliższa niż kiedykolwiek przedtem, zwłaszcza od czasu, gdy wyszła za mąż. Wydawała się teraz krucha i bezbronna, niemal niedożywiona w tym swoim kostiumiku, naga wobec ludzkich domysłów i plotek. Joyce, która sama od ponad roku trwała zawieszona w stanie maksymalnego upokorzenia, zastanawiała się, czy to zwiastun odradzającego się matczynego współczucia, czy może chociaż szansa, by takie współczucie wzbudzić. Żałowała, że nie umie znaleźć odpowiednich słów, nie tylko po to, aby mamę pocieszyć, ale także ukazać podobieństwo sytuacji, w jakich się znalazły. Na razie tylko położyła jej dłoń na ramieniu.

Z torebki Amandy dobiegły dźwięki bliskowschodniej melodyjki. To telefon Flory, który oddała matce na przechowanie. Po drugim takcie Joyce rozpoznała muzykę: to była afgańska piosenka. Amanda wyjęła telefon, zmarszczyła czoło i rzuciła do słuchawki oschłe: „Tak?”

Ale to nie był Neal. Musiała odsunąć telefon od ucha, bo rozmówca był bardzo zdenerwowany i głośno krzyczał. Do tego obie strony przez moment nie wiedziały z kim mają do czynienia.

– Nie, to nie Neal Weiss – powiedziała Amanda.

Okazało się, że ten człowiek nie mógł się skontaktować z Nealem przez komórkę i postanowił sprawdzić drugi numer. Był to właściciel sklepu z dewocjonaliami w Hartford. Na twarz Amandy opadła stalowa maska.

– Zawiódł nas pan – oświadczyła.

– Ale ja mam poświadczenie odbioru! – zaprotestował mężczyzna. Joyce doskonale słyszała każde słowo. – Sklep jest zamknięty, ale słońce zaszło, więc pomyślałem, że przyjdę i sprawdzę w zeszycie. Trzydzieści lat prowadzę ten biznes i jeszcze mi się coś takiego nie zdarzyło. *Chupę* odebrał ktoś z waszych gości. Mam to potwierdzone podpisem!

– Niemożliwe.

– Ale tu jest podpis! – powtórzył.

– W takim razie czyj? – zapytała Amanda.

– Zaraz... Spróbuję odczytać. – Westchnął ciężko. — H coś tam...

Harriman?

Joyce aż się zachwiała, a żołądek podskoczył jej do gardła. Pociemniało jej w oczach i nie widziała wokół nic prócz Amandy, która przeszywała ją wzrokiem.

– Ale... to nie ja! Niemożliwe! No skąd! – jąkała się, dopiero uruchamiając procesy myślowe, które pozwolą jej zrozumieć, jakim cudem jej nazwisko znalazło się w zeszycie właściciela sklepu z żydowskimi dewocjonaliami w Hartford w stanie Connecticut.

– Jest pan pewien? – zapytała Amanda.

– Tak tu jest napisane. Harriman. Morris... Moishe... Marshall! Nie macie tam nikogo o tym nazwisku?

–Nie.

Amanda zamknęła telefon opanowanym ruchem, lecz z taką siłą, jaką tylko mogła wytrzymać jego konstrukcja. Patrzyła na Joyce wzrokiem, który wyrażał wszystko, co sądzi o córce: o jej nieudolności, życiowym pechu i ciągłym narażaniu rodziny na kompromitację. W tym momencie przez salę przeszedł zbiorowy pomruk, potem rozległa się wrzawa, a po chwili pojedyncze zduszone chichoty. Joyce odwróciła się i zrobiła krok w stronę kaplicy, chcąc uciec od spojrzenia Amandy.

To byli Neal i Joel. Nieśli we dwóch złożony daszek z niebieskiego płótna przymocowany do czterech słupków – *chupę* zdobytą w Queens. Spóźnili się całą godzinę. Maszerowali środkiem sali na nikogo nie patrząc. Joel wyjął z reklamówki jakieś narzędzia i wraz z bratem szybko zmontowali *chupę* tuż obok pustej jeszcze ambony Gottschalla. To była prosta konstrukcja, otwarta ze wszystkich stron, z wyhaftowaną od spodu gwiazdą Dawida. Mężczyźni pracowali tyłem do zebranych, szeptem wymieniając między sobą krótkie polecenia. W pewnym momencie coś tam trzeba było mocno wcisnąć; Neal aż stęknął z wysiłku. Smoking zdążył mu się pognieść. Na koniec opuścili pasy materiału, które przykryły słupki. Ponieważ organistka nie była pewna, jaka muzyka jest odpowiednia do

wznoszenia *chupy*, przerwała w połowie odgrywanie pieśni „Jezus moja jedyną nadzieją”.

Kiedy konstrukcja była gotowa, Neal poruszał słupkiem, żeby się upewnić, czy jest stabilna. Joel usiadł w ławce obok rodziców. Ojciec zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Wreszcie Neal odwrócił się do gości. Uśmiechnął się szeroko, udając zakłopotanie. Specjalnie, żeby wzbudzić współczucie. Teraz, kiedy tak stał przed wszystkimi, młody, przystojny i elegancki, wyglądał na całkowicie odprężonego.

– Wybaczcie, kochani, to spóźnienie – zaczął, a na sali rozległy się śmiechy, jakby powiedział coś uroczo zabawnego. Wyprostował się, poprawił rękawy i wygładził smoking. Nawet Joyce była pod wrażeniem swobodnego uroku, jaki roztaczał wokół siebie. Zerknęła na Amandę. Ta bynajmniej nie była oczarowana. Patrzyła na przyszłego zięcia, spóźnionego o godzinę na własny ślub, z wściekłością, która odbijać się będzie echem jeszcze przez wiele, wiele lat. Neal powiódł wzrokiem po zgromadzonych, zaglądając im w oczy. Wiele osób odpowiedziało mu uśmiechem. Rozłożył ręce.

– Był straszny korek!

MAJ

1. Kolorowa gumowa piłeczka Victora chwilę się kołysze, zanim się zatrzyma. 2. Książki na półce nie chcą stać prosto, przechylają się jak zamarznięta fala. 3. Najjaśniejszej części żarówki nie widać, bo jest schowana w swoim własnym blasku. 4. Victor myśli, że Barney to prawdziwy dinozaur. Jednocześnie wie, że pod kostiumem kryje się aktor. Nie umie powiązać tych dwóch faktów. 5. Oni wlecieli w World Trade Center specjalnie. 6. Mama zawsze ucieka do kuchni, kiedy tata przychodzi do domu. 7. Rachel i Maria są adoptowane. 8. Halloween jest najfajniejsze. Dostaje się wtedy za darmo cukierki i nie trzeba nic płacić. 9. Kiedy wyłącza się telewizor pilotem, na ekranie robi się biała gwiazdka i słychać takie bzyczenie, potem trzask, a potem robi się cicho, ale bardziej niż normalnie. Sprawdzić jeszcze raz. 10. Kiedy pani Naomi ma na sobie różową bluzkę, widać jej sutki, 10a. Tata je zauważył. Patrzył na nie. 11. Powinni byli przewidzieć, że ktoś uderzy w World Trade Center. 12. Mama nigdy nie głaszcze Snufflesa. 13. Jak się chce, można zrobić tak, żeby kupa wylatywała po kawałku. 14. W telewizji najbardziej lubię „Atomówki”. 15. W nowej szkole będę jadła obiady w stołówce, sama, bez Victora. 16. Co jest, smoku? 17. Czasem mama poprawia książki, ale one znowu się przewracają. Tata zabrał część do pokoju. 18. U „Monty'ego”, jeśli dostałeś za dużo sosu na pizzy, możesz ją oddać, ale Victor nie musiał tego robić. Chciał tylko pokazać, że może. 19. Kiedy się rozgryza gumę, czasem tak mocno wypływa sok ze środka, że aż piecze w buzi. 20. Żółte holowniki pływają po rzece, szukając klientów. 21. *Oops, I did it again.**

** Tytuł piosenki Britney Spears.*

22. Kiedy coś brzydko pachnie, a nie jest to kupa, to znaczy, że ktoś gdzieś na świecie umiera.

– Mamo, skąd my wiemy różne rzeczy? – zapytała Viola.

Były na zakupach w delikatesach Key Food. Viola szczególnie lubiła tam chodzić. Zauważyła, że ilekroć mama mówi, żeby wkładała buty, bo właśnie tam jada, czuła dreszczyk emocji. Marzy jej się magiczny pierścionek z automatu za kasami (mama na pewno jej go kupi, o ile tylko Victor nie będzie niegrzeczny i nie zepsuje wszystkiego), a jednocześnie zdaje sobie sprawę, że wcześniej wcale o nim nie marzyła. Dziwne. Za każdym razem, gdy skręcają przy kasach w kolejną alejkę, połyskujące magiczne pierścionki wołają do niej z wnętrza szklanej gabloty. Mama ich nie widzi, idzie przed siebie, pchając wózek z Victorem i wpatrując się w kartkę z listą zakupów. Minęła półki z karmą dla psów.

– Jakie, kochanie?

– No, różne.

Dotarli do działu z nabiałem. Mama przystanęła, żeby sobie przypomnieć, co jeszcze ma kupić. Tego nie ma na kartce. Wzięła z półki swoje niebieskie mleko i ich białe, nie wzięła tego czerwonego, które pije tata. Położyła rękę na soku pomarańczowym i zamknęła oczy, jakby czegoś słuchała, ale chyba nie tej muzyki, która leciała z głośników w sklepie. Nie ruszała się. Sok do niej mówił, błagał ją. Otworzyła oczy i włożyła go do wózka. W samą porę. Victor miał minę niewinną jak aniołek.

– Chodzi ci o coś konkretnego?

– Tak w ogóle.

Teraz stanęli przy maśle. Mama nie mogła się zdecydować, czy chce kwadratowe, czy okrągłe. Stała pochylona, obejmując się ramionami, które pokrywała gęsia skórka. Wciąż się zastanawiając, odparła:

– Uczymy się tego, chodząc do szkoły. –Nie!

– Tak, kochanie. W szkole można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Czy pani Naomi wam tego...

– Ja wiem, ale mi nie chodzi o uczenie się. Skąd my wiemy, że coś jest coś?

Doszli do końca alejki. Za kasami stały automaty z pierścionkami. Wystarczy tylko się tam dostać. Mama na chwilę odeszła od wózka, spojrzała na kartkę i rozejrzała się po sklepie, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze ma kupić. Ale zostawiła go przy półce z lekarstwami, prawie na wprost pudełek z tylenolem. Kątem oka widziała Victora, ale nie patrzyła, co robi. Mocno zmarszczyła czoło, wyciskając myśl jak kupę. *You think I'm in love.*

– Ale co? – mruknęła pod nosem.

– No, wszystko.

– Hm... – Szarpnęła za wózek (głowa Victora aż poleciała do przodu; zaśmiał się, mama nie zauważyła jak złośliwie) i popchnęła go w stronę kas. Nigdzie nie było kolejek, ale rozejrzała się, która byłaby najlepsza. Kasjerzy udawali, że ich nie obchodzi, kogo wybierze, wszyscy gapili się gdzieś przed siebie. W końcu wybrała tę, która była najbliżej automatów z pierścionkami i zaczęła wykladać zakupy na taśmę.

– No wiesz, trzeba uważnie obserwować.

– Ale tego jest strasznie dużo.

– No tak... – Chłopak przy kasie słuchał muzyki, ale nie tej, którą puszczała w sklepie. Jakiejś innej. To była muzyka nastolatków, dorośli ani małe dzieci jej nie słyszą. Całe czoło, policzki, brodę i szyję miał w kropki, takie czerwono–białe. Układały się w tajemnicze wzory, które, gdyby się je umiało odczytać, może pozwoliłyby zgadnąć, o czym on myśli. Zachowywał się, jakby nie zauważył mamy, ale taśma ruszyła i zaczął wbijać ceny.

– Uczymy się wybierać to, co jest ważne – odparła mama, wypakowując następne zakupy.

– Kupisz mi magiczny pierścionek?

– Tak.

– A skąd wiadomo, co jest ważniejsze?

– Z czasem się tego uczysz. Proszę cię, kochanie, nie teraz, próbuję się skupić.

Znowu stała się zamyślona i milcząca. Kartka z zakupami wypadła jej na ziemię. Mocno zaciskała usta, jakby próbowała rozwiązać jakąś zagadkę, a przecież wykładanie rzeczy na taśmę to nic trudnego. Viola mogłaby to zrobić sama, gdyby tylko była trochę wyższa. Muzyka w sklepie zrobiła się bardzo głośna. *I'm not so innocent*. Victor zaczął się wiercić i kopać w wózek. Nagle koniecznie chciał wyjść.

– Jak?

– Przez doświadczenie. Victor, przestań! Kochanie, możemy porozmawiać o tym później?

– A skąd wiemy, że to, co widzimy, jest prawdą?

* *You think I'm in love* oraz *I'm not so innocent* to dwa fragmenty piosenki Britney Spears *Oops... I did it again*.

– Po prostu wiemy i już.

Nagle znieruchomiała, trzymając w ręku słoik, który miała położyć na taśmę. Pyszczytaty chłopak dalej skanował ceny. Drugi stał i pakował zakupy do reklamówek. On też czegoś słuchał.

– A co, jak czegoś nie widać? To znaczy widzimy jakąś rzecz, ale nie widzimy, co ona znaczy – to musimy wiedzieć. Czyli musimy też wiedzieć o innych rzeczach, a skąd wiadomo, która z nich jest ważniejsza? Na przykład, jak widzisz dwie rzeczy, które ci się nie zgadzają. Myślisz o trzeciej. A jak już wiemy, co jakaś rzecz znaczy, to możemy to tak całkiem powiedzieć? Nawet tylko do siebie? Tego właśnie nie rozumiem.

– Marynowana papryka? – wykrzyknęła mama. – Przecież ja... – Zajrzała do wózka i wyjęła puszkę. – Anchois? Chwileczkę, co to ma znaczyć? Proszę tego nie kasować. – Przesunęła rękami po innych słoikach i pudełkach. Chłopak dalej wbijał ceny. Właśnie trzymał w ręku opakowanie tylenolu. Miało całkiem inne napisy niż to, które mama zawsze kupuje. Tak się Violi przynajmniej wydawało, bo czytać jeszcze nie umie. – Stop! Proszę nie kasować!

Nie słyszał jej. Nie wiedział, co mówi, choć pewnie wiedział dużo innych rzeczy.

– Proszę to zatrzymać! Ja tego nie chcę! Proszę nie pakować!

Chłopak w końcu przerwał i znieruchomiał jak Blaszyński Drwal w deszczu. Nadal miał nieobecny wzrok. Nie patrzył na mamę, która teraz stanęła z drugiej strony i przeszukiwała reklamówki. Jego oczy przypominały dwa szare guziki. Viola nie umiała odgadnąć, o czym myśli, co pamięta ani o czym marzy. Podniósł głowę i zawołał:

– Trójka proszę!

Musieli poczekać, aż przyjdzie jakiś pan i zrobi coś z kasą. Wszyscy się na nich gapili. Mama przeglądała wypakowane zakupy i odkładała te, których nie chciała. Starła się na nikogo nie patrzeć. Była czerwona na twarzy i coś mruzczała pod nosem.

– Mogłam się tego spodziewać. Mogłam się spodziewać – szeptała. Nagle zadrżała i zaczęła płakać. Bardzo. Spuściła głowę i zakryła twarz rękami. Victor się wychylił, zdjął puszkę z taśmy i wrzucił ją z powrotem do wózka. Mama odwróciła się i oparła głowę o stojak z cukierkami i gumami do żucia, których kilka paczek Victor już zdążył ściągnąć. Łopatki jej się ruszały jak aniołowi skrzydła. Kiedy się wydawało, że skończyła, zaczynała od nowa. Płakała tak głośno, że nawet nie było słychać muzyki. Chłopcy przy kasie i ten pan, który przyszedł, byli wystraszeni i przyglądali się jej. Nie wiedzieli, co robić. Oni nigdy nie widzieli jej w domu, nie widzieli, jak płacze.

Kiedy wychodzili ze sklepu, Viola przypomniała mamie o pierścionku, ale ona prawie biegła, pchając przed sobą wózek z Victorem, który tym razem kopał w podnózek. Viola ledwie za nią nadążała.

I tak to właśnie ostatnio wyglądało: działo się za dużo i za szybko, a nie było nikogo, kto mógłby jej to wytłumaczyć. Viola musiała być bardzo uważna, ale to za mało. Musiała nauczyć się łączyć fakty i wyciągać wnioski.

Zdawała sobie sprawę, że mało jeszcze rozumie. Można umieć nazwać coś, co się widzi, ale znaczenie tej rzeczy jest już niewidoczne. Nigdy nie jest się pewnym, czy ma się wystarczającą ilość informacji. Wszyscy chodzą zamknięci w swoich skorupach, których granice wyznacza ich niewiedza. Skorupka Victora jest mała, dziecięca, określona przez jego najprostsze

dziecięce potrzeby. Viola widzi ją z zewnątrz, bo jej jest bardziej pojemna, a rodziców jeszcze bardziej, ale też ograniczona. Język zawodzi: zawsze brakuje słów, żeby opisać wszystko, co się wie, nawet jeśli to tylko mikroskopijny ułamek rzeczywistości (nawet to nie oddaje do końca tej myśli).

Coś na pewno było nie tak, ale żeby się dowiedzieć co, Viola musiała jeszcze więcej nad tym pomyśleć i uporządkować dostępne fakty. 1. Pani doktor z długimi paznokciami. 2. Jej narzeczony, prawnik. 3. Mama leżąca na kanapie przed telewizorem, kiedy ona i brat już poszli spać. 4. Tato chowający się w sypialni. 5. Dlaczego mama nie dotyka Snufflesa. 6. Awantura na weselu ciotki Flory. 7. Kiedy są gdzieś w mieście, na przykład w restauracji, mama się bardzo złości, gdy Victor zrzuca buty. 8. Mama jedząca sama obiad. Gdyby tylko Viola mogła stanąć z boku i spojrzeć na te fakty z dystansu, choć na chwilę uciszyć ten zamęt, który jest wokół niej, byłaby w stanie ogarnąć całość sytuacji. Zobaczyłaby swoją skorupę.

To by trochę przypominało oglądanie telewizji, która też jest źródłem ogromnej ilości informacji. Sama w sobie jest taką skorupą, tak wielką, że naraz można oglądać tylko jeden kanał. No, może dwa lub trzy. Viola najbardziej lubi „Atomówki” i „Dextera”, a jej nienawiść do fioletowego dinozaura Barneya jest wprost proporcjonalna do miłości, jaką darzy go Victor. Co wieczór po „Dexterze” mama włączała „Wiadomości” i szła robić kolację. Viola była przekonana, że nauczyciele w nowej szkole będą wyglądali jak te „Wiadomości”. Oglądała bardzo uważnie. Nie wszystko, co mówiły, rozumiała. Nikt nie rozumiał. Opowiadały o swoim życiu szyfrem, takim jak te pryszczki na twarzy chłopaka w sklepie.

Kiedyś wieczorem, kiedy taty nie było w domu, a „Wiadomości” już się skończyły, mama kłóciła się przez telefon o duży fioletowy wazon, który stał pusty w ciemnym kącie mieszkania. Powiedziała, że to wstrętny rupieć. Ktoś chciał go zabrać, ale ona nie pozwoliła. Powiedziała, że niczego nie da ruszyć. Ten ktoś po drugiej stronie telefonu chyba się z nią nie zgadzał. No, ale skoro wazon jej się nie podoba, to czemu nie chciała go oddać? Viola uwielbiała ten wazon. Każda księżniczka chętnie postawiłaby taki wazon w swojej komnacie i napełniła wiecznie kwitnącymi, magicznymi kwiatami. Potem mama powiedziała, że zadzwoni jutro z pracy i odłożyła słuchawkę. Siedziała jeszcze długo przy telefonie i patrzyła przez okno, ale wcale nie widziała budynków – była zamknięta w swojej skorupie. Viola obserwowała to wszystko z sofy, udając, że rysuje. Kiedy mama w końcu wstała, zobaczyła, że w kuchni Victor przewrócił kosz na śmieci i rozrzucił je po całej podłodze.

Jej niemy krzyk był jak dotyk lodu albo kopnięcie prądem. Wyciągnęła rękę i z całej siły trzepnęła Victora w ramię. Upadł prosto w te śmieci.

Oj, spodobało się to Violi, bardzo spodobało. Rozpaczliwie pragnęła, żeby mama to powtórzyła, najlepiej zaraz. Victor leżał na podłodze jak długi z głową w obierkach i fusach z kawy. Miał otwartą buzię i wybałuszone oczy. Nagle zaczął beczeć. Ryczał i ryczał, nie mógł przestać, jakby ciągle był zaskoczony nagłością i siłą ataku. Musiało go zboleć. Violi przypomniały się koleżanki z przedszkola, Rachelą i Marią, oraz tajemnica ich adopcji i nieznana przeszłość w domu okrutnej macochy i w strasznym sierocińcu. One pewnie ciągle tak obrywały.

Do domu wrócił tata. Szybko otworzył drzwi, jakby ktoś je trzymał od środka. Był bardzo zły. Jego twarz zrobiła się ciemna i tajemnicza. Nic nie

można było z niej odczytać. Victor ciągle płakał. Tata jakby był w transie, jakby sterowały nim ufoludki albo roboty, albo Dexter, bez słowa poszedł prosto do swojego pokoju.

Teraz, kiedy się okazało, jak łatwo Victor może zarobić klapsa, Viola zaczęła go baczniej obserwować. Jego zachowanie, kiedyś tylko denerwujące, stało się niebezpieczne. Zrzucał na podłogę wszystko, do czego zdołał sięgnąć: szklanki, słoiki, talerze. Rozlewał płyny do czyszczenia, które stały w szafce pod zlewem. Marnował drogi papier, bazgrząc po nim. Ale Viola wiedziała, że nie wystarczy poskarżyć rodzicom o każdym takim występku: nie posłuchają jej. Musiała uzbroić się w cierpliwość.

Ich też obserwowała. Mieli jakieś tajemnice, coś knuli. Nagle zastanowiło ją, dlaczego jest tak, że w jeden weekend spędzają czas z mamą, a w drugi z tatą. Zawsze przyjmowała to jako coś naturalnego, element porządku świata, jednak zmusiła się, aby spojrzeć na to z innej strony, pokonać ograniczenia własnej wyobraźni. Pomyślała intensywnie: rodzice jej koleżanek i kolegów widywali swoje dzieci w każdy weekend. To było dla niej jak objawienie. Za nim poszło następne: Victor jest po prostu zbyt niezdolny, żeby dało się z nim wytrzymać dwa weekendy z rzędu. Ale Viola musiała z nim przebywać codziennie, i to prawie od rana do wieczora. Jedynym rozwiązaniem tego problemu (który, jak przypuszczała, musiał być przyczyną kłótni rodziców, ich tajemnic i złego humoru) byłoby usunięcie Victora z domu. Trzeba go oddać do adopcji.

Następnego dnia Victor wziął sobie do zabawy gumkę recepturkę, którą była owinięta poczta. Naciągał ją i śmiał się do rozpuku, kiedy wracała na swoje miejsce. Godzinami siedział na podłodze i z wysuniętym językiem

badał jej elastyczność. Zupełnie jakby to był największy wynalazek od czasów... kozy z nosa, innego przedmiotu jego fascynacji. Wąchał tę gumkę i wkładał ją sobie do buzi. Przykładał do twarzy. Nauczył się ją szarpać jak strunę i kazał Violi słuchać. Skubał ją kciukiem, ale – co za niezdara – nie potrafił z niej strzelać. Viola mając trzy lata zdecydowanie wiedziała, jak to się robi. Przecież tego nikt nie musi uczyć.

Doktor Nancy zadawała im kolejne pytania. Próbowała się czegoś dowiedzieć, zrozumieć, co się dzieje, ale pytała nie o to, co trzeba – co o tym myślisz? Jak się czujesz, kiedy jesteś z tatą? A z mamą? Ani razu nie spytała, co Viola myśli o Victorze ani jaką supermoc wybrałaby dla siebie, gdyby miała taką możliwość – więc z tych odpowiedzi niewiele wynikało. Marszczyła czoło i wszystko zapisywała w grubym zielonym zeszycie. W tym tygodniu widząc jej frustrację, Viola oświadczyła, że mama uderzyła Victora. Wywołało to z początku bardzo dobry efekt: pani doktor gwałtownie się wyprostowała i spojrzała na nią, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Potem poprosiła Victora o pokazanie ramienia i czule do niego przemawiając, zaczęła go dokładnie oglądać. Całe ciało, nawet pupę. Victor najpierw chichotał, a potem zaczął płakać. Wtedy Viola poczuła się dziwnie, jakby to ona kazała jej tam zaglądać.

Kiedy przyjechała po nich mama, doktor Nancy nie wspomniała jej o tym, a mama nie zauważyła, jaki Victor jest czerwony na twarzy. W drodze do metra zachowywał się bardzo grzecznie. Szedł za rękę, dotrzymywał kroku, uchylił się jak należy pod kołowrotkiem, ale gdy tylko przyjechał pociąg i dopchali się do miejsc w przedziale, Viola zauważyła, że zaczyna zahaczać czubkiem jednego buta o piętę drugiego. Już miała ostrzec mamę,

gdy ta nagle poderwała się na siedzeniu i zawołała do nieznanego pana, który siedział obok niej:

– Agent Robbins!

Pan nie odpowiedział od razu. Był chyba bardzo zmęczony, siedział niedbale, ubranie na nim wisiało. Miał szarą, nieogoloną twarz i smutnymi oczami patrzył w podłogę. Viola poczuła się trochę nieswojo, że jej mama odzywa się do obcego człowieka.

Bardzo powoli się odwrócił i spojrzał na nią. Mama się zarumieniła. Przytulona do jej ramienia Viola niemal czuła, jak rośnie temperatura jej ciała. Oczy nieznanego błyskawicznie przebiegły po twarzach dzieci. Wcale się nie uśmiechnął.

– To ja, Joyce Harriman!

Violę aż zapiekły uszy. Ludzie się na nich gapili. Mama powiedziała na głos ich nazwisko; teraz wszyscy pasażerowie je znają, należy do nich. To kolejny fakt do odnotowania. Jakie będzie miał znaczenie? Nieznajomy przyglądał się mamie z wysiłkiem, odsłaniając zęby. Musiał o czymś intensywnie myśleć, ale nie o nich.

– Afera z węglikami?

Otworzył usta, ale minęła chwila, zanim cokolwiek się z nich wydobyło.

– Ach, tak – mruknął bez przekonania.

– Pobierał pan próbki z nosa. Dzwoniłam potem... – przerwała mama, nie wiedząc, co powiedzieć. Ciągle miała smutną minę. – Rozumiem, że nie znaleźliście tego, kto rozsyłał prawdziwe zarazki.

Nieznajomy ciężko westchnął, prawie jęknął i odwrócił się, spoglądając na swoje odbicie w szybie wagonu. Za nim w tle przesuwały się słupy i ściany tunelu. W oknie wydawał się nawet przystojny.

– No nie.

– Przepraszam, to było głupie. Wcale pana nie winię...

– Nie szkodzi. Powinniśmy byli go złapać. – Odrzucił głowę do tyłu i oparł o szybę, pokazując wystające jabłko Adama. – Pięć osób nie żyje. Dzięki ciężkiej pracy agentów rozsianych po całym kraju zebraliśmy masę materiałów. Nasi najlepsi ludzie cały czas analizują dane, fakty, wskazówki, korzystają z zaawansowanej techniki. Gdzieś mamy ten jeden, najważniejszy dowód, jestem tego pewien – w którejś teczce, w którejś probówce, w woreczku, na billingu albo w e-mailu. Nasze superkomputery przetwarzają dane i próbują połączyć elementy tej układanki, a jednak ciągle nie umiemy czegoś dostrzec. Czegoś dużego i oczywistego...

– Wiem, wiem – odpowiedziała mama takim głosem, jakby on też był jej dzieckiem. Patrzyła na niego jakoś tak ciepło i posłała mu delikatny uśmiech. Nie zauważył.

– Cały czas myślę tylko o tej sprawie, a im dłużej myślę, tym bardziej tracę nadzieję, że uda się ją kiedyś rozwiązać – powiedział zmęczonym głosem. – A zresztą... – Wyprostował się i machnął ręką, jakby odganiał muchę. – To był dla nas fatalny tydzień. Oglądała pani wiadomości, wychodzi na to, że przed jedenastym września mieliśmy dość informacji o al Kaidzie, żeby przewidzieć zamachy. Biuro z Phoenix zgłaszało, że jacyś Arabowie powiązani z bin Ladenem biorą tam lekcje pilotażu. W Minnesocie aresztowali Moussaouiego, ale nie sprawdzili jego komputera, w którym miał numer telefonu do Atty. Dwóch innych koleś z listy

podejrzanych o terroryzm bez problemu wjechało do kraju. Francuzi nas ostrzegali. Tylko my, niestety, nie potrafiliśmy zebrać tych danych w jednym miejscu. Nie umieliśmy ich przekazać z biura do biura, między strukturami czy nawet do miejscowej policji. A ta góra danych z każdym dniem rośnie i coraz trudniej się będzie przez nią przekopać. Podsluchujemy al Kaide i innych wariatów, ale w eterze jest za dużo szumu, raportujemy więc tylko o ilości tego szumu, a nie o jego treści... A to już następna informacja do przetworzenia. Mam na biurku tony materiałów: o jakimś innym spisku terrorystycznym, o imporcie nielegalnych leków, o byłym wojskowym ze stanu Waszyngton, który ma świra na punkcie broni i stanowi zagrożenie dla otoczenia, o wizycie istot pozaziemskich w Piscataway i o drugim nadejściu Chrystusa. Ale skąd mam wiedzieć, czym się warto dalej zajmować. Odsyłam to wyżej i zagracam biurko komuś innemu, kto sam się głowi, co zrobić z natłokiem własnych informacji. A w rządzie nie ma nikogo, kto by potrafił ogarnąć ten chaos i spróbował znaleźć w nim jakiś sens. Rozumie pani, o czym mówię?

Mama pokiwała głową i też się odwróciła. Z miejsca, gdzie siedziała Viola, rozmyty obraz w szybie nie obejmował jej ani Victora, tylko dwoje dorosłych, którzy nie patrzyli na siebie, a jednak byli świadomi, że są razem ujęci w ramę okna. Para zmęczonych ludzi. To było tak, jakby ten pan stał się nagle ich tatą. Ta myśl przeszła ciało Violi jak szpikulec do lodu.

– Aż za dobrze. Całe moje życie tak wygląda – mruknęła mama.

Zmieniło się natężenie hałasu wytwarzanego przez pędzące wagony – zbliżali się do stacji. Pociąg zatrząsł się i zwolnił.

– Ojej! – zawołała mama. – My tu wysiadamy! Agencie Robbins, pan wybaczy...

– Proszę mi mówić Nathan.

– Niech to szlag!

Victor zrzucił adidas i te wylądowały pod nogami pasażera, który drzemał na siedzeniu, przyciskając do piersi papierową torebkę. Mama już zdążyła pozbierać wszystkie torby i trzymała Violę za rękę. Kucnęła, żeby wydobyć buty Victora i w tym momencie pociąg tak gwałtownie zahamował, że upadła prosto na nogi pasażera, a następnie na podłogę. Mama znowu zaklęła. Pasażer obudził się, spojrzał na nią mętным wzrokiem, ale nie przestawił nóg. Drzwi się rozsunęły i do wagonu wdarła się nowa porcja podróżnych. Tłoczyli się wokół niej, zajmowali miejsca, a ona w tym czasie próbowała wcisnąć Victorowi buty na nogi. Na sukience miała odcisnięty ślad podeszwy. Agent Robbins wstał, nie bardzo wiedząc, jak jej pomóc. Ktoś od razu zajął jego miejsce. Mama chwyciła dzieci za ręce i nie oglądając się za siebie, w ostatniej chwili wybiegła z wagonu.

Najpierw usłyszała głuchoe plaśnięcie, potem cichy furkot, świst, delikatny wibrujący dźwięk, jakby mikroskopijny owad ciał powietrze, a na końcu poczuła pieczenie na karku. Gumka spadła na podłogę, ginąc na miejscu.

Victor siedział po turecku w kącie salonu wyznaczonym specjalnie dla niego i bawił się kulkami, starając się – nieudolnie – nie patrzeć w jej stronę. Strzelał oczami, ledwo powstrzymywał uśmiech. Viola przerwała swoje zajęcie, żeby potrzeć kark, który powoli przestawał boleć. Wahala się, czy zawołać mamę. Chyba była bardzo zajęta, chodziła po domu z notatnikiem w rękę, przystawała przy każdej rzeczy, czy to był mebel, lampa czy obraz, przyglądała się jej przez chwilę, a potem coś zapisywała. Minę miała bardzo poważną. Krew nie leci, więc to nie robi na niej wrażenia. Nie, to nie była

odpowiednia pora. Viola była zaskoczona, jak świetnie potrafi nad sobą zapanować. To niemal wysiłek fizyczny, jak rozciąganie mięśni, żeby szybciej rosnąć. Już czuła się wyższa.

Później Victor odszukał gumkę i ocenił, czy się nadaje do użytku. Viola spodziewała się kolejnego ataku, ale on chyba stracił zainteresowanie siostrą. Kontynuował swoje badania, tym razem próbując owijać gumką małe przedmioty, na przykład szklaną kulkę czy kawałek folii aluminiowej. Zdawał się być całkowicie pochłonięty tym wyzwaniem. Wciąż nie odkrył, jak się robi procę.

Trwało to całymi dniami. Wynajdywał różne zabawki i naciągał na nie gumkę: małego żołnierzyka, plastikowy bucik lalki, stwardniałą gumę do zucia. Kwestią czasu było, kiedy którąś z nich wystrzeli. Viola obserwowała, jak w swym dziecięcym umyśle próbuje ogarnąć prostą zasadę działania recepturki. Świat Victora składał się z całkowicie przypadkowych elementów, a wszelkie powiązania między nimi były ulotne i umowne. Brał do ręki but, przyciskał nim naprężony odcinek gumki, ale palce trzymał jakoś tak dziwnie, nie z tej strony co trzeba, przez co nie mógł jej naciągnąć. But się ześlizgiwał i Victor zostawał z dwoma niepowiązanymi z sobą przedmiotami w rękach.

Nagle rodzice zaczęli się bardzo głośno kłócić. Viola była zajęta czymś innym i nie zauważyła, że oboje są w salonie, co samo w sobie było niezwykle. Nie potrafiła rozróżnić słów, które z siebie wyrzucali, wykrzykiwali i wypluwali, ale widziała, że mama ma bardzo srogą minę, a tata wymachuje jej palcem przed nosem. Powiedział coś i wybiegł z pokoju, potem mama coś powiedziała i tata szybko wrócił, żeby jej odpowiedzieć.

Potem znowu wyszedł i znowu wrócił. Oboje krzyczeli naraz. Powietrze w mieszkaniu zrobiło się takie gorące, że mogło się zapalić.

Tato zabrał mamie z ręki notatnik. Mama krzyknęła. Wyrwał kartki, na których pisała, okładkę rzucił na podłogę i zaczął je drzeć, najpierw na pół, potem znów na pół i tak dalej. Viola chciałaby, żeby robił konfetti, ale dobrze wiedziała, że tak nie jest. Zaciskał szczękę tak mocno, że z boku twarzy widać było ruszające się mięśnie. Mama miała zapadnięte oczy. Ojciec starannie targał kartki na małe kawałeczki i w końcu rzucił nimi mamie w twarz. Zawirowały w powietrzu jak konfetti. Mama nawet nie mrugnęła, kiedy opadały jej na włosy i ramiona.

Ojciec poszedł do siebie i trzasnął drzwiami. Potem je otworzył i znowu trzasnął. I tak kilka razy. Kiedy przestał, szkło w kredensie jeszcze przez chwilę delikatnie pobrzękiwało dźwięcznym anielskim chórem.

Mama usiadła na fotelu przy oknie. Viola myliła się, sądząc, że nic przez to okno nie widzi. Widziała, lecz nie budynki ale płaski prostokąt nieskazitelnie czystego nieba nad dachem sąsiedniego bloku. Wpatrywała się w błękit przez chwilę, jak gdyby kryła się w nim jakaś uniwersalna tajemnica.

W mieszkaniu zapanowała cisza i nagle znów rozległ się furkot gumki. Tym razem dźwięk był nieco inny, niższy, głębszy. Z ręki Victora wystrzelił w powietrze mały blaszany samolocik, rekwizyt gry planszowej, w którą nigdy nie nauczyli się grać. Przelatując przez pokój szybko nabrał wysokości. Wszyscy troje patrzyli, jak zatacza łuk kilka centymetrów pod sufitem. Zakończył swój lot trafiając dokładnie w sam środek wazonu księżniczki.

Szkło z góry na dół zmieniło kolor z fioletowego na jasnorożowy i wazon roztrzaskał się w drobny mak. Gdy spadał, Violi aż podskoczyło serce. Zaobserwowała naraz dwa stany: ładu i chaosu. Chaos w swojej analizie możliwości Victora, ład w pięknej, skończonej formie wazonu, chaos w jego rozpadzie i wreszcie powrót do ładu w jej własnym pojmowaniu tego, co się stało. W życiu nie widziała czegoś równie pięknego jak ta sekwencja przemian.

– Och! – zawołała słabym głosem mama i zakryła twarz dłonią.

Ojciec wychylił się z sypialni. Twarz miał zmęczoną, przygasłą, nie było na niej śladu gniewu. Patrzył przez chwilę na pobojuwisko, a potem równocześnie z mamą przenieśli wzrok na Victora. Ten uśmiechał się z dumą, nawet nie próbując tego ukryć, zachwycony świeżo odkrytym związkiem przyczynowoskutkowym. Wydawał się teraz starszy. Nie był już słodkim, niewinnym bobaskiem, stał się dużym chłopcem. Mama i tata wciąż się nie odzywali. Viola myślała, że go zbiją, ale myliła się. Znowu. Przyglądali mu się z daleka, jakby zadając sobie pytanie, kim on jest i skąd się wziął w ich domu.

I kolejny błąd. Viola sądziła, że wraz z rozbiciem wazonu coś się skończyło, ale nie. Rodzice na kolanach zaczęli razem zbierać szkło z podłogi, ojciec trzymał szufelkę, mama zamiatała. Każde z nich mogłoby to zrobić samo. Musiało chodzić o coś jeszcze. Zwracali się teraz do siebie spokojnym, choć chłodnym tonem. Nie była to kłótnia, tak porozumiewali się z sobą na co dzień. Viola nie rozumiała, o czym mówią. Oboje wyglądali na bardzo zmęczonych, twarz mamy zrobiła się taka łagodna i delikatna. Co jakiś czas oboje zerkali na dzieci. Wydawało się, że doszli do jakiegoś porozumienia. Viola była ciekawa, czy to dziś będzie ten dzień.

– Słuchajcie, dzieciaki – powiedział tata, po czym spojrzał bezradnie na mamę. Ona zmarszczyła brwi i ruchem ręki kazała im usiąść na sofie. Sterczeli nad nimi, kiwając się jak dwa wątle drzewka.

– Słuchajcie – powtórzył, ale nic więcej nie dodał.

– Kochani – odezwała się mama. – Musimy wam coś powiedzieć. Przede wszystkim pamiętajcie, że oboje bardzo was kochamy. Jesteście i zawsze będziecie dla nas najważniejsi na świecie. Rozumiecie? Bez względu na to, co się stanie, ja nadal będę waszą mamusią, a tatuś waszym tatusiem.

Przestała mówić i patrzyła na nich. Victor zaczął się wiercić pod jej spojrzeniem. Viola napotkała jej wzrok i świadoma powagi sytuacji, przybrała skupioną, dorosłą minę.

– A czy Victor dalej będzie moim bratem? – spytała. Mama rzuciła krótkie, pełne desperacji spojrzenie

w stronę ojca, który skubał palcami czubek nosa i gapił się w podłogę.

– Oczywiście, zawsze – odparła. – Dlatego to takie ważne, żebyś była dla niego miła i opiekowała się nim, rozumiesz?

– To nie była moja wina!

– Uspokój się. Tu nie chodzi o ciebie ani o Vica – zniecierpliwił się ojciec. – To znaczy, właściwie chodzi... Po prostu jest sprawa, o której chcemy wam z mamą powiedzieć.

– Ale to on rozbił wazon.

– Nie chciałem! – bronił się Victor.

– Zostawcie już ten wazon. To nieważne. I tak był brzydki. Nigdy mi się nie podobał. Posłuchaj Viola i ty, Vic: jeszcze nic nie jest ustalone, niestety. Nadal omawiamy szczegóły, ale już dziś możemy wam powiedzieć, że...

Wtedy Viola na dobre kilka minut przestała cokolwiek rozumieć. Rodzice mówili jednocześnie, wyrzucali z siebie słowa, tłumili je, a potem krzyczeli, jeśli chcieli sobie nawzajem zaprzeczyć. Mama mówiła coś o szczęśliwszej rodzinie, ojciec kilka razy wypowiedział słowa: „nowy układ”. Powiedziano im, że w drugim domu będą miały drugi zestaw zabawek, ale poza tym żadnych ważniejszych zmian w ich życiu nie będzie. Mama cicho płakała i nawet nie dbała o to, żeby zakryć twarz. Ojciec powiedział, że jeszcze niewiadomo, kiedy nastąpi to, co ma nastąpić. Mama ze złością odparła, że choćby jutro. Ich głosy, jak zawsze, kiedy się kłócili, zaczęły się unosić, przyspieszać i splątywać z sobą. Trwało to kilka minut, aż w pewnym momencie Viola wyłowiła jedno słowo, które zdołało się przedrzeć przez ten zgiełk, słowo, które zrozumiała od razu: rozwód.

Co tam Rachel i Maria, one nic nie wiedzą o rozwodzie. Co innego Elizabeth, Roxanne i Keisha. Viola dobrze wiedziała, z czym to się wiąże: ludzie będą mówić, że twoi rodzice się rozwodzą, będziesz dzieckiem rozwiedzionych rodziców. Rozwód, rozwód, rozwód... Całkiem, jakby się samej było tym rozwodem. Słyszała od koleżanek, jak to wygląda. Rodzice opiekują się nimi na przemian, nigdy w komplecie. One też przez to są jakieś niekompletne, rozdarte na pół.

Ale czy Viola i Victor od dawna nie są w takiej sytuacji? Ich rodzice w weekendy opiekują się nimi na zmianę, tak samo jak rodzice Elizabeth, Roxany i Keishy. Nigdy się nie całują tak jak w normalnych rodzinach, które pokazują w telewizji. Wcale się nie obejmują i nie przytulają. A teraz jeszcze będą mieli dwa osobne mieszkania. Ich rodzice się rozwodzą. Viola dopiero teraz zaczęła kojarzyć fakty: doktor Nancy, pan Peter, mama śpiąca na sofie, tata zamknięty w swoim pokoju, płacz, krzyki, trzaskanie

drzwiami... Jak mogła być tak głupia? To trwa od dawna. Oni to zaplanowali. To odkrycie ją odmieniło, co najmniej tak, jak Victor odmienił wazon.

A więc była głupia. Oznaki rozvodu rodziców cały czas znajdowały się obok niej – leżały gdzieś? krążyły nad głową? połyskiwały z daleka jak ten magiczny pierścionek w sklepie? – i czekały, aż je dostrzeże i zrozumie. Świat jest jak wielka budowla wznoszona na faktach, ale jednym spojrzeniem da się ogarnąć tylko nieskończenie mały jej fragment. Wszystkie potrzebne informacje są w zasięgu ręki, trzeba tylko umieć je dostrzec. Viola nie wyobraża sobie nawet, ilu rzeczy jeszcze nie wie. Ciagle jest głupia. Czego jeszcze nie zauważa?

LIPIEC

Winda poruszała się płynnie i bezszelestnie. Mijając sklezione hole wykładane granitem i rozświetlone kryształowymi żyrandolami, zawiozła Marshalla na piętro, gdzie urzędował jego adwokat. Drzwi otwierały się prosto na ogromne pomieszczenie całe w drewnie. Wszystkie elementy były kunsztownie wytoczone, starannie wypolerowane i idealnie dopasowane do siebie – to ostatnie to jawny wyrzut pod adresem rozwodzących się par, pomyślał Marshall. Podeszwy jego butów zatapiały się w puszystej wykładzinie. Uszy mu się odetkały. Recepcjonistka stojąca za kontuarem w uwodzicielskiej pozie otaksowała go chłodnym wzrokiem. Była ubrana w obcisłą białą bluzkę z dużym dekoltem, odsłaniającą ramiona, a jej szczupła twarz o wyrazistych kościach policzkowych stanowiła *salade composee* wszelakich egzotycznych ras: bałkańskiej, latynoskiej, erytrejskiej. Wpatrywała się w niego błyszczącymi brązowymi oczami, z uśmiechem skalibrowanym tak, aby był ostentacyjnie lubieżny, ale zarazem zniechęcał do pogłębienia znajomości. Spytała go o nazwisko. Te zęby. Marshallowi zrobiło się niedobrze. I kto za to płaci? On za to płaci.

Thorpe, jego adwokat, nawet nie raczył wstać, gdy Marshall przekroczył próg gabinetu. Grubas wolał z błyskiem w oku obserwować jego wejście zza swojej reduty w postaci wielkiego mahoniowego biurka. Ono musi ważyć tyle co samochód. Wszystko w tym gabinecie było wielkie: meble, pióro leżące na ponadwymiarowym notatniku, obraz de Kooninga na ścianie po prawej stronie. Przez ogromną szybę za plecami Thorpe'a widać było inne wieżowce, każdy podzielony na okna, każde okno to osobne biuro, a wszystkie te biura to kolejne fabryki wielkich pieniędzy. Thorpe zerknął

na zegarek, który, jak sądził Marshall, służył mu do odmierzenia godzin pracy. Był to chronograf firmy Teslar. Marshall zachodził w głowę, jakaż to rozpaczliwa strategia, jaki bezgraniczny optymizm co do wyniku tej sprawy i własnych możliwości finansowych skłoniły go do wynajęcia prawnika, który nosi chronograf Teslara.

Thorpe nieprzyjemnie się uśmiechał: szyderczo, okrutnie, drapieźnie. A może to tylko wyobraźnia Marshalla? Kiedy zapadł się w głębokim fotelu, adwokat spytał:

– Powiedz no mi, mój drogi, czy uważasz, że dobrze znasz swoją żonę?

– Jak to?

Thorpe zachichotał, jak zwykle w wesołym nastroju. Marshall tak łatwo daje się zaskoczyć, że prawnik chyba specjalnie go podpuszcza, żeby nie wyjść z wprawy.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że zbliżamy się do końca tego skomplikowanego, wielce delikatnego sporu prawnego? Nadchodzi czas podjęcia decyzji. A ta decyzja zależy od twojej odpowiedzi na następujące pytanie: czy Joyce pójdzie na układ, czy będzie walczyć do upadłego?

– Nie wiem, jakie ma plany.

– Błagam – skrzywił się Thorpe. – Nie płacisz za czcze pogaduszki. Pomyśl. Ile lat razem mieszkacie?

– W sumie dziewięć.

– A więc powinieneś mieć jako takie pojęcie o jej charakterze. – Thorpe postukał palcem w plik kartek leżący przed nim na biurku. – Złożyła nam propozycję i stąd pytanie, na które musisz odpowiedzieć ty, nie ja. Jak uważasz, do jakiego stopnia zależy jej na ugodzie? Myślisz, że spuści z tonu? Biorąc pod uwagę obecną sytuację, jak bardzo jest zdesperowana?

Czy jest zmęczona, zniesmaczona, a może ciągle chce się zemścić? Gdzie w jej hierarchii plasuje się dobro dzieci?

– Ba, to największa zagadka pod słońcem.

– Śmiem twierdzić, że właśnie dlatego wasze małżeństwo się rozpadło – powiedział surowo prawnik. – Wszystkie kroki prawne, które podejmowała w ciągu ostatnich dwóch lat, były dla ciebie zaskoczeniem. Jak w tej sytuacji opracować jakąkolwiek strategię? Ty jej nie znasz. Gdzie byłeś przez ten czas? Mieszkaliście pod jednym dachem, tworzyliście rodzinę, ale czy choć raz spojrzawsz na tę kobietę jak na samodzielną osobę, która kieruje się własnymi motywacjami? Wygląda na to, że była niczym więcej niż twoim odbiciem, które oceniałeś wyłącznie na podstawie reakcji na twoje posunięcia, nie mówiąc o błędach, fobiach i ambicjach. Ty jej nie rozumiesz. Za to ona ciebie tak. I dlatego ma przewagę.

To absurd. Od samego początku, jak tylko poznali się na studiach, Joyce pochłaniała większość uwagi Marshalla. Nawet nie pamięta, jakie miał zajęcia na ostatnim roku. Nie przejmował się nauką, jedyne, co pragnął studiować, to duszę i ciało tej dziewczyny. Była dziwna, niedojrzała jego zdaniem, świeża i krucha niczym młode państwo, które dopiero co wyzwoliło się spod kolonialnego reżimu. Ciągle pracowała nad kształtem własnej konstytucji, rozglądała się za sojusznikami, ustanawiała nowy emocjonalny system monetarny oraz odkrywała i przepisywała na nowo swoją historię. Marshall musiał się nauczyć jej niezrozumiałego języka. Przez te wszystkie lata wraz z każdym znaczącym wydarzeniem w ich życiu, jak zmiana pracy czy narodziny dziecka, musiał jakby na nowo jej się przyglądać. A odkąd zapanował stan wojenny, jeszcze wzmógł obserwację. Czasami, kiedy był poza domem, wzrok przesłaniało mu wspomnienie jej

twarży, a dźwięki zagłuszało wspomnienie jej słów. Jak można mówić, że jej nie zna? A jednak odparł Thorpe'owi: – Masz rację. –I sam w to uwierzył.

Adwokat nachylił się i oparł łokciami o blat. Miał złote spinki na mankietach.

– Czemu jest na ciebie taka cięta?

– Nie wiem. – Marshall rozłożył ręce. – To znaczy, wiem. Mogę ci wymienić te wszystkie drobiazgi, które się nagromadziły przez lata. Ona ma swoje pretensje, ja mam swoje. Co ciekawe, jej się nie podoba nawet to, że w ogóle śmiem żywić jakiegokolwiek pretensje! Nie jestem ideałem, ale niektóre jej zarzuty są absurdalne i grubo przesadzone, a reakcje niewspółmierne do wyrządzonej krzywdy. – Nagle z powrotem zalała go cała gorycz, którą odczuwał w związku z tym rozwodem. Zupełnie, jakby miał ją we krwi. – Jeśli spojrzeć z osobna na wszystkie nasze egoistyczne zagrywki, świństwa, które sobie robiliśmy i złośliwości, które sobie prawiliśmy, to owszem, same w sobie są one dość haniebnne. Tyle że to zawsze wynikało z jakiegoś kontekstu. I właśnie na tym polega mój problem! Dlatego nie mogę powiedzieć, że ona całkowicie nie ma racji! Potrafię wskazać przyczyny jej złości, ale z chwilą, gdy to zrobię, nawet w myślach, to prawie jakbym je usprawiedliwiał. No i to mnie osłabia. – Westchnął i spytał: – Bardzo zła jest ta propozycja?

Thorpe ucieszył się z pytania. Wyszczrzył zęby, a twarz mu pojaśniała jak poranne niebo za oknem. Pogładził papiery na biurku i oznajmił:

– Masz przerabane. Dzieci zostają przy niej, opuszczasz mieszkanie, płacisz alimenty i pokrywasz koszty kształcenia... Pójdiesz z torbami. A właśnie, bo zapomnę, zalegasz mi z ostatnią opłatą.

– I to wszystko, jeśli pójdę na ugodę? A jeśli będę chciał się dalej procesować?

– No cóż, można mieć przerabane, ale można też mieć kompletnie przerabane. – Parsknął śmiechem. – Ugoda daje ci pewne pole manewru, jeśli chodzi o wasze wspólne długi i zobowiązania. Widziałem gorsze przypadki. Alimenty nie są takie tragiczne. Rzecz w tym, że przed sądem ryzykujecie oboje. Przedstaw Joyce rozsądną kontrpropozycję, ale tylko, jeśli uważasz, że jest skłonna spuścić z tonu. Jak zobaczysz, że czuje się niepewnie, spróbuj ją trochę naciągnąć. Możesz też zablofować albo nastraszyć ją, jeśli jest strachliwa. Możliwości nie brakuje. Co o tym sądzisz? Właśnie dlatego musisz mi powiedzieć, jaka ona jest naprawdę, tak szczerze.

Marshall wzniosł oczy do sufitu. Wątpił, czy można poznać inną osobę, nie opierając się na jej reakcjach na działania innych. To trochę mało naukowe. Kto tak naprawdę wie, jacy są Arabowie? I kogo to, kurwa, obchodzi? Marshall zwrócił uwagę na oświetlenie w gabinecie Thorpe'a: jedynym widocznym źródłem światła były okna, ale mocno opalona twarz adwokata zdawała się sama emanować blaskiem.

– Sam nie wiem... – odpowiedział. – Ona chyba też, tak jak ja, chciałaby, żeby to się już skończyło. Nie sądzę, żeby jej zależało na pieniądzach, nigdy nie była specjalnie zainteresowana kasą. Nienawidzi mnie albo jej się wydaje, że mnie nienawidzi. Taka jest dynamika rozwodu.

Kiedyś mnie kochała, jestem ojcem jej dzieci... – zakończył wzniosłe, ścisząc głos.

Thorpe'a trudno było nazwać przystojnym, lecz ten jego mięsisty, pokryty żyłkami nos, wielkie śliniące się usta i masywna szczęka sprawiały, że miał w sobie jakiś wulgarny urok. Całą pogardliwą moc swego spojrzenia skupił teraz na Marshallu. Nie odrywając się od krzesła, pochylił się nad biurkiem, niczym pocisk kierując ku niemu swą łysą głowę i zapytał:

– Jaka jest w łóżku? Pewnie raczej bierna, co? Rozkojarzona, pełna rezerwy...

– Nie, nie, wręcz przeciwnie – pośpiesznie sprostował Marshall. Poczuł, jak zaczynają go palić uszy. – W sumie to dawno nie... No wiesz. Ale zawsze była bardzo aktywna, bardzo pomysłowa. Namiętna.

I to jak, pomyślał w duchu. Na początku znajomości całe weekendy spędzali na uprawianiu seksu, a nawet po ślubie, zanim urodziły się dzieci, urządzali sobie często gorące popołudniowe sesje. Tylko że on już mało z tego pamiętał. Tamte czasy zostały pogrzebane w gruzach.

– A kiedy ci obciągała, to jak? – dopytywał się Thorpe. – Energicznie, z zaangażowaniem? Wkładała całego do ust? Jak mocno pracowała mięśniami Kegla? Kiedy się bzykaliście, czuleś, że jest napalona?

– Tak, wszystko było normalnie. Z tym nie mieliśmy problemów.

– Ja myślę, niezły biust. Ale chyba ciut za dużo sadełka w biodrach, co?

– Urodziła dwoje dzieci! – obruszył się Marshall. Był czerwony na twarzy i zdezorientowany tym przesłuchaniem. Pytania Thorpe'a były obraźliwe, a jednak łapał się na tym, że na każde stara się znaleźć

odpowieź. – Poza tym ma trzydzieści sześć lat, siedzącą pracę, nie oczekiwałbym...

– Ile byłąś skłonny zapłacić, żeby ją przelecieć?

– Nie wiem. Podobno teraz stawki są dosyć wysokie... Ale ja nie traktuję seksu w ten sposób.

– No jasne. – Thorpe skwitował obiekcje Marshalla machnięciem ręki.

– Widać, że jednak jesteś głupcem, Marshall. Ty ciągle jesteś w niej zakochany! Patrzysz na Joyce przez pryzmat dawnego uczucia. Dlatego nigdy nie umiesz przewidzieć, jaki będzie jej następny krok. Posłuchaj mnie, Marshall, ona chce cię zniszczyć, pozbawić dzieci, pozbawić ją. Masz w głowie fałszywy obraz Joyce. Nie ma nic wspólnego z kobietą, która teraz robi ci koło pióra. Tamta Joyce nie istnieje, umarła. Jeżeli chcesz wyjść z tego rozwodu z jakimikolwiek pieniędzmi i zachować resztki szacunku dla siebie, będziesz musiał pierwszy raz spojrzeć na nią inaczej i zobaczyć, jaka jest naprawdę, teraz.

Marshall ukrył twarz w dłoniach. Nagle z czeluści pamięci niczym para z ulicznej studzienki wydobyło się niechciane wspomnienie. Wiele lat temu, jeszcze przed ślubem, wybrali się z plecakami na wakacje do Walii. Naturalnie kochali się w każdym pensjonacie, w którym nocowali. Pewnego dnia wędrując starożytną rzymską drogą między dwiema miejscowościami o nazwach niemożliwych do wymówienia, zatrzymali się na posiłek na trawiastym wzniesieniu obok łąki porośniętej koniczyną. W oddali na skraju lasu pasły się owce. Nieregularne pobrzękiwanie dzwoneczków unosiło się wysoko w porannym powietrzu. Marshall nie umiał sobie przypomnieć ani jednej nocy spędzonej wtedy z Joyce, za to doskonale pamiętał tamten lunch: chrupiące razowe bułeczki z serem cheddar, sycylijskie zielone

oliwki, po jednej śliwce na głowę, a na deser pół tabliczki gorzkiej czekolady. Leżał potem z głową na kolanach Joyce i gapił się w niebo. Przekomarzali się z sobą radośnie w atmosferze niecierpliwego wyczekiwania – o czym rozmawiali, tego Marshall nie zdradziłby teraz za nic w świecie – a Joyce bawiła się jego włosami.

– Okej, masz rację. Ona chce mnie zniszczyć. Nie sądzę, żeby była gotowa negocjować. Chcą z nas wydoić, ile się da. Co w takim razie robimy?

Thorpe wziął do ręki faks nadesłany przez prawniczkę Joyce i zwinął go w rulon.

– Powiemy jej, że może to sobie wsadzić głęboko w dupę. Damy jej do myślenia. Wrócimy do sądu, w dzisiejszych czasach sędziowie bywają nieprzewidywalni, może się zdarzyć, że zostanie z niczym. Prawniczka jej to powie. Wróci do nas z lepszą ofertą, to wtedy będziemy się zastanawiać.

– Słusznie – odparł Marshall, z zadowoleniem słysząc stanowczość w swoim głosie, jak gdyby to on wszystko zaplanował. – Zgoda. Tak zrobimy.

Wstając z fotela z wymiętoszoną torbą w ręku, zastanawiał się, jak długo tam siedział – będzie jakieś pięćdziesiąt minut – i nogi się pod nim ugięły na myśl, ile forsy go to kosztowało. Jednak czas spędzony u Thorpe'a był wart każdego dolara. Marshall płacił nie tylko za strategię pokonania Joyce: te twarde lekcje zdrowego egoizmu stanowiły jego inwestycję na porozwodową przyszłość. Po to właśnie ma się prawnika. Thorpe zaszczerpiał w nim pewność siebie, którą Marshall będzie mógł wykorzystać w innych sferach życia.

– Przy okazji, widziałem, że macie bardzo atrakcyjną recepcjonistkę – dodał z szerokim uśmiechem.

Wyraz twarzy Thorpe'a nie zmienił się, a nieznaczne skinienie głowy wymagało niewiele większego wysiłku mięśni niż oddychanie. Spoglądał na Marshalla zza biurka swymi czarnymi, przenikliwymi oczami. Marshall w szalonym odruchu chciał go zapytać, czy z nią sypia, ale ugryzł się w język. Miał zamiar użyć słowa „posuwa”, choć to głupie i zupełnie do niego niepodobne. Wyszedł z gabinetu. Mijając recepcję, starał się nie patrzeć na kobietę; zerknął tylko na chwilę, mimowolnie. I w tym momencie był całkowicie pewien, że ona i Thorpe sypiają z sobą.

Później tego samego dnia szef Marshalla delikatnie zastukał palcami w obitą wykładziną ściankę jego boksu. Marshall go nie słyszał, całkowicie pochłonięty przez strumień danych wylewający się z ekranu jego komputera. Hudson musiał dwa razy zawołać go po imieniu, zanim podniósł wzrok.

– O, przepraszam. Hudson uniósł dłonie.

– Nie, nie, w porządku. Nie chciałem ci przeszkadzać. Masz chwilkę?

– Jasne. Siadaj.

Na księżycowej twarzy Hudsona błąkał się słaby uśmiech. Wszedł do środka, wysunął krzesło i usiadł, najpierw jednak dokładnie podciągnął spodnie. Nachylił się do przodu, przytrzymując krawat i napotkał spojrzenie Marshalla. Odwrócił wzrok.

– Jak tam samopoczucie?

– W porządku, Bill. A u ciebie?

– Jak się miewają dzieciaki?

– Dobrze. Viola ma jutro uroczyste zakończenie przedszkola. Będą birety i togi. Od teraz zażyczyła sobie kieszonkowego.

Hudson kiwał głową, chłonąc tę informację, jakby chciał ją zapamiętać na zawsze. Może i zapamięta. Nie spytał o Joyce. Wszyscy w biurze już

wiedzieli, że Marshall się rozwodzi i mimo jego nieśmiałych protestów, byli przekonani, że to pokłosie wrześniowych wydarzeń. W tej firmie 11 września był punktem zwrotnym, od którego historia liczyła się od nowa: Wielki Wybuch, Księga Rodzaju 1:1. Główny dyrektor nowojorskiego oddziału zginął w zamachach razem z całym personelem, który tego ranka zasiadł przy biurkach. Hudson jako szef biura satelitarnego na Środkowym Manhattanie z miejsca zaangażował się do pomocy. Sam przez trzy dni nie wracał do domu, ale przypilnował, żeby pracownicy tamtego wieczoru wrócili, a tym, którzy z różnych powodów nie mogli, załatwił noclegi. Zabezpieczył całą dokumentację i archiwum firmy. Zdobył i własnoręcznie porozwieszał na mieście zdjęcia i rysopisy tych, których los był ciągle nieznan, między innymi przez krótki czas Marshalla. To on jako pierwszy powiadamiał rodziny. Podejmując tak trudne i szlachetne decyzje, nawet nie przypuszczał, że to będzie najwspanialszy okres w jego życiu. Po kilku tygodniach powierzono mu zadanie pokierowania połączonym oddziałem nowojorskim, który tworzyła trudna mieszanka niedobitków z WTC, takich jak Marshall, byłych pracowników biura ze Środkowego Manhattanu oraz kilku nowych ludzi, którzy nie mogli się pozbyć wrażenia, że po korytarzach firmy snują się duchy. Zarząd dał Hudsonowi wolną rękę, miał zrobić wszystko, aby biura znowu działały normalnie. „Cokolwiek to teraz znaczy” – mruknął ponuro prezes. Marshall uśmiechał się, wciąż nieco rozkojarzony.

– O co chodzi?

– Doszły mnie słuchy... – powiedział cicho Hudson. – To na razie tylko niepotwierdzone spekulacje, ale... Nic nie wiesz? Chodzi o LuQre.

Marshall okazał uprzejme zainteresowanie.

– Tak? A co się stało?

– Podobno chcą złożyć wniosek o upadłość. – Hudson zrobił niewesołą minę.

– Neeeeee! – jęknął przeciągle Marshall, co miało wyrażać ni to niedowierzenie, ni to zmartwienie. Zrobił wielkie oczy i przytknął dłoń do ust. Z firmą LuQre łączyła ich skomplikowana sieć powiązań finansowych, między innymi wspólne aktywa i zobowiązania, a większość operacji przechodziła przez dział Marshalla. Bardzo chciał powtórzyć swą reakcję, choćby z szacunku dla Hudsona.

– I to jeszcze dzisiaj – dodał Hudson.

Marshall otworzył usta i potrząsnął głową, jakby ktoś go oblał kubłem zimnej wody.

– Jesteś pewien?

Hudson bezradnie wzruszył ramionami.

– Dzwoniłem, nikt nie odpowiada. Chyba wyłączyli centralę. Uwierzyłbyś?

Aby zrekompensować swoje kiepskie aktorstwo, Marshall oświadczył:

– Nie jestem zaskoczony.

– Nie? – Teraz była kolej Hudsona, aby okazać zdumienie, a nawet autentyczny szok. Zmarszczył twarz i spojrzał na niego pytająco. Marshall zorientował się, że sam się teraz wkopał, bo tak naprawdę był zaskoczony. Waga tej informacji dopiero do niego docierała, przenikając przez kolejne warstwy spraw, które zaprzętały mu głowę.

– Nie jesteś zaskoczony? – powtórzył Hudson.

– Nie no, jestem – odparł Marshall, układając tymczasem w głowie odpowiedź. Wolałby nie sugerować, że zatajał jakieś informacje, ale też nie chciał wyjść na ignoranta czy olewusa, chociaż, jeśliby miał być z sobą

szczerzy, jak radzi Thorpe, tak właśnie było. Spróbował poskładać w całość kilka luźnych faktów. – Nie, żebym coś wiedział o bankructwie, ale chyba przyznasz, że to nie była najlepiej zarządzana firma w Ameryce. – Zerknął na Hudsona w nadziei, że to wystarczy, zwłaszcza, kiedy przeniósł ciężar oceny na niego, lecz on z tym samym niepokojem na twarzy czekał na dalsze wyjaśnienia. Marshall nieśmiało kontynuował:

– Przecież było wiadomo, że zostali z masą zaległych należności w Enronie i, jak sobie teraz przypominam, chyba też mocno wtopili z WorldComem i Qwestem. W grę wchodziło jakieś wspólne przedsięwzięcie w Argentynie. Nie wiedziałeś o tym? No i oczywiście uderzyła ich po kieszeni prywatyzacja energetyki w Kalifornii. Niemożliwe, żebym ci nie wysłał notatki z wynikami za ostatni kwartał. Nawiasem mówiąc, księgowość robił im Arthur Andersen.

Hudson spuścił wzrok. Przez chwilę nic nie mówił. Kiedyś był z niego przystojny mężczyzna, ale trudy ostatnich miesięcy zostawiły na twarzy swój ślad. Ponieważ firma przeżywała kryzys, usiłując się podnieść po wrześnieowych stratach, zarówno ludzkich, jak i finansowych, odmawiał brania urlopu i nigdzie nie wyjeżdżał, nie licząc szkoleń dla personelu, które sam organizował i prowadził. Wyglądał na wykończonego.

– A zatem te spekulacje są prawdziwe – powiedział spokojnie.

Marshall kombinował dalej.

– Trzeba od razu zadzwonić do prawników i zapytać, na czym stoimy i z jakimi długami zostaliśmy. No i musimy zrobić listę klientów, których interesy na tym ucierpią...

– Zaczął układać ją w głowie, pobudzając neurony, które od miesiący trwały w stanie spoczynku. To będzie lista długa i kosztowna. – Cholera, trochę nam się oberwie.

Hudson westchnął, położył ręce na udach i podniósł się z wysiłkiem, jakby pokonywał grawitację jakiejś innej planety. Miał zapadniętą twarz.

– No nic, trudno. Nie martw się, jakoś to będzie – mruknął i począłapał do siebie.

Marshall odprowadził go wzrokiem. Potem odwrócił się z powrotem do komputera i spostrzegł, że nie zdążył przeczucić okienek, kiedy zjawił się Hudson. Na monitorze cały czas wyświetlało się jego indywidualne konto emerytalne. Nieroztropność, która ostatnio zdarzała mu się coraz częściej. Odkąd gospodarkę dotknęła recesja, przynajmniej raz dziennie wchodził na stronę funduszu i kontrolował stan środków. Jednak tego lata, gdy spadki na giełdzie przybrały rozmiary lawiny (Dow Jones schodził kolejno poniżej 10 000, 9000 i 8000 punktów), która zmiotła marzenia o malowniczych alpejskich wioskach, zaczął śledzić wyniki na bieżąco. W jednym oknie cały dzień miał włączony podgląd stanu konta, a w drugim analizował długoterminowe prognozy giełdowe i szukał potencjalnych inwestycji obarczonych jak najmniejszym ryzykiem. Hudson musiał widzieć, że tego ranka to nie sprawy firmowe zajmowały jego uwagę. Cóż, przynajmniej to nie była pornografia.

Marshall kliknął i odświeżył ekran, nie odrywając wzroku od rubryki z całkowitą wartością aktywów. Znowu spadła. Wziął notesik, którzy zawsze trzymał obok komputera i szybko przeliczył. Przez ten czas, gdy Hudson opowiadał mu o paskudnym bankructwie LuQre, Marshall stracił 8 dolarów i 47 centów. Cholera, rynek znowu strzela sobie w łeb. Ostatnie 60 minut

kosztowało go 45 dolarów. Gdyby spieniężył papiery godzinę temu, zdążyłby wyjść na miasto, zjeść wyśmienity stek i wypić lampkę wina w restauracji Michaela Jordana, z powrotem zainwestować resztę pieniędzy i znalazłby się dokładnie w tym samym punkcie, a przy okazji uniknąłby wizyty Hudsona. Tylko musi pan wziąć pod uwagę, panie Wielki Inwestorze i Smakoszu Steków, że obecnie pańskie jedyne inwestycje to pieniądze zablokowane w pracowniczym planie emerytalnym 401(k).

Kiedyś było tego więcej. Dawno, dawno temu, w czasach prosperity pozakładał rachunki inwestycyjne z przeznaczeniem na poważniejsze wydatki, na przykład remont domu i edukację dzieci, miał też specjalne konto „na czarną godzinę”. To było w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy Marshall prawie wcale nie interesował się swoim portfelem, zadowolony, że jego wartość gdzieś tam sobie rośnie poza zasięgiem jego wzroku, jak grzyby. Zgodnie z powszechnie znanym prawem, procesory komputerowe co półtora roku zwiększały dwukrotnie swą moc, Internet podwajał swoją wielkość co m i e s i ą c, w dodatku towarzyszyła temu rosnąca w tempie geometrycznym konsumpcja produktów elektroniki użytkowej – telefonów komórkowych, odtwarzaczy DVD, aparatów cyfrowych, palmtopów, które choć produkowane w Chinach, przyczyniły się do wzrostu gospodarczego w Ameryce, udowadniając całemu światu potęgę tego kraju. WalMart uruchomił w swoich supermarketach sieć kawiarni. Eleganckie restauracje z kuchnią fusion wyparły tanie lokalne knajpki prowadzone przez imigrantów. Wyprowadzacz psów zaczęli się pojawiać w butach od Manola Blahnika. Nowy Jork stał się bezpieczniejszy niż kiedykolwiek, rozboje nie były tak opłacalne jak fundusze powiernicze. Nie musiałeś sprawdzać konta. Twój dobrobyt odbijał się we wszystkim, co cię otaczało.

A teraz wszystko leciało na łeb na szyję. Wartość pracowniczego planu emerytalnego Marshalla, który obiecywał niegdyś dostatnią przyszłość, beztroski żywot i dni spędzane na grze w golfa, spadła do 34 tys. dolarów mimo cotygodniowego zasilania składkami, częstych relokacji środków i skrupulatnej obserwacji rynku. Nie pomogły też specjalne sesje terapeutyczne dla inwestorów, na które Marshall uczęszczał tej wiosny. Jeśli chodzi o pozostałe oszczędności, wszystko, czego nie pochłonięła recesja, wpadło w żarłoczną paszczę Thorpe'a. Czas to pieniądz: straty cofały go w przeszłość, wykreślając z życia całe lata cierpliwego inwestowania. Rok temu jego majątek zmalał do poziomu, jaki miał w roku urodzin Victora, czyli 1999. Teraz osiągnął wartość z roku urodzin Violi. Marshall zdążył już wyliczyć, biorąc pod uwagę obecne tendencje, kiedy zrówna się z tym, co posiadał, biorąc ślub z Joyce. Jeszcze nie wiadomo, czy ten dzień nie zbiegnie się z datą jego rozwodu.

Czy potrafił wystarczająco wykorzystać *boom* poprzedniej dekady? W tamtym okresie wszyscy zdawali sobie sprawę, że taka seria wzrostów na giełdzie jest niezwykła, ale radość gasiło podejrzenie, że rozwój jest naturalną funkcją działalności gospodarczej i nie ma się czym podniecać. To recesja, inflacja, stagflacja i zwątpienie płynęły pod prąd historii. Zwyczajny zdrowy rozsądek podpowiadał, że slumsy Nowego Jorku zamienią się z czasem w luksusowe dzielnice, a na całym świecie zapanuje wolny rynek. Żeby twierdzić inaczej, trzeba było być jakimś neurotycznym, ślepym pesymistą. Spodziewano się, że za kilka lat wskaźnik Dow Jones wynoszący 10 000 punktów będzie czymś tak żalonym i przestarzałym jak komputer z jednomegabajtowym dyskiem twardym i procesorem o szybkości 20 MHz. Koniunktura była wtedy czymś tak oczywistym, jak to, że się oddycha. I tak

ją ludzie traktowali, choć zarazem trochę się wstydziła i nawet się spodziewała, że kiedyś przyjdzie im za tę butę zapłacić. Ale inaczej się nie dało.

Teraz, gdy lata dziewięćdziesiąte zostały wymazane, Marshall nie bardzo wiedział, co począć ze swymi okrojonymi finansami. Przeszukiwał Internet w nadziei znalezienia jakiejś cudownej okazji: tej jednej akcji, która poszybkuje w górę za sprawą jakiegoś nagłego odwrócenia tendencji rynkowych, przełomu technologicznego, ewentualnie decyzji lub zaniechania ze strony którejś agencji rządowej, nieważne, celowego czy nie. Jednocześnie z goryczą zauważył, że w ostatnim roku jego portfel inwestycyjny miał się gorzej niż lokata oszczędnościowa Violi, którą rodzice Joyce założyli jej w swoim małym, lokalnym, niezależnym banku, gdzie nie ma nawet bankomatu. Fundusze Merrill Lyncha też pokonała. Marshall zastanawiał się, czy by się całkiem nie przerzucić na obligacje lub certyfikaty depozytowe, ale panicznie się bał, że będzie miał związane ręce, że będzie dokładnie wiedział, ile zyska po określonym czasie. Trzydzieści cztery tysiące dolarów ulokowane na trzydzieści lat w certyfikatach depozytowych, oprocentowanych na 4,5%, w 2032 roku będą warte 130 821,73 dolara – a on będzie miał wtedy 66 lat. Takie przewidywalne inwestycje tylko przypominają człowiekowi, że jego życie też jest przewidywalne. Zawsze kończy się tak samo.

Ryzykowanie na giełdzie pozwala przechytrzyć czas, przeskoczyć dwadzieścia, czterdzieści, sto lat typowego okresu inwestowania i zgarnąć zysk wcześniej, zanim się człowiek zestarzeje. Wymaga to tylko odrobiny sprytu. Od kilku miesięcy Marshall uczył się stosować wyrafinowane i tajemne metody prognozowania rynku papierów wartościowych. Zakładają

one, że giełda jako całość to chaotyczny zbiór przypadkowych zdarzeń, niewiele bardziej czytelny niż „śnieg” na ekranie telewizora, lecz kiedy prześledzi się przebieg wahań kursów jakiejś akcji, funduszu albo wartości indeksu, można czasem zauważyć, że układają się one w pewne wzory. Są przy tym na tyle widoczne i powtarzalne, że zyskały własne nazwy pochodzące od kształtów, które tworzą na wykresie graficznym, na przykład „Trójkąt symetryczny” albo „Flagi i chorągiewki”. Marshall mocno się zagłębił w ich wyszukaną i poetycką typologię, i wkrótce nauczył się rozpoznawać te segmenty indeksów, które na wykresie czasowym lub ilościowym przypominają klasyczną „Głowę z ramionami” albo „Odwróconą głowę z ramionami”, „Krzywą paraboliczną”, „Formację klina”, „Brodę Osamy”, „Wąsy Osamy”, „Wąsy Osamy zwyżkujące”. Jeśli, analizując uważnie przebieg wykresu, dojrzysz tworzącą się którąś z tych formacji, możesz z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, co się stanie później. W tym pozornym chaosie kryją się zyski.

Oczy zaczęły mu łzawić, więc szybko odwrócił twarz od komputera. Wstał, rozprostował kości i rozejrzał się po sali: koledzy siedzieli w swoich boksach zajęci pracą albo sprawdzaniem własnych rachunków maklerskich, tak jak on wpatrzeni w monitory i wstukujący liczby, które jeszcze dokładały się do tej masy danych krążących na rynku. Problem polega na tym, że rynek finansowy jest mechanizmem prawie doskonałym, prawie idealnie racjonalnym i prawie zawsze wynagradza za prawie każdą potencjalnie cenną informację, którą udaje się zdobyć. Kluczem jest to małe słówko „prawie”. Tylko tam się zarabia miliardy, w tym króciutkim momencie, gdy diabeł uchyla drzwi do odchyłeń i pomyłek. Wystarczy wtedy być na miejscu i się wślizgnąć.

Ale mniejsza o to. Tak naprawdę Marshall miał tylko jedno zwyczajne marzenie: żeby Bóg podszeptał mu na ucho nazwę spółki czy funduszu i pozwolił zakończyć te ciągle upokarzające wyliczenia i przeliczenia. Owszem, to objaw desperacji, ale Marshall nie sądził, żeby był gdzieś inwestor, który nie modli się w tej chwili w zaciszu swego biura.

Nie pragnął miliardów. Wystarczyłoby parę milionów. W sam raz, żeby się uwolnić od małżeństwa, żeby Joyce mogła sobie zabrać mieszkanie i dostać takie alimenty, jakie chce, a nawet większe. Kupiłby jej futro, cokolwiek. Niech mu się tylko przyśni nazwa tej jednej, jedynej spółki, magiczny trzy- lub czteroliterowy skrót używany na parkiecie. Czasami nie śpiąc w nocy, leżał na łóżku i próbował zmusić wyobraźnię, by przywołała na aksamitny ekran ciemności właściwe litery. No, pokażcie się, sukinsyny. Ale jedynymi znakami, które dostrzegał w mroku, były migoczące runy i glify pochodzące z zaginionych, wymarłych języków.

Powiedzieli Joyce, że może sobie wsadzić swoją ofertę w tyłek i wyglądało na to, że ich posłuchała. Mijały tygodnie, a odpowiedź od jej prawniczki nie nadchodziła. Co gorsza – i to doprowadzało Marshalla do szału – nie było widać żadnych sygnałów, żeby Joyce miała w zanadrzu jakieś inne propozycje. Ani razu nie odniosła się do swojej oferty i słowem nie wspomniała o rozwodzie. W domu nadal skrupulatnie trzymali się z Marshalllem zasady niewchodzenia sobie w drogę. Chyba nigdy w życiu nie byli w czymś tak zgodni. Uznawali to za normę, prawie tak jak dzieci, tyle że w przeciwieństwie do nich brnęli przez każdy dzień z zębami zaciśniętymi z bólu. W dniu zakończenia roku w przedszkolu Violi usadzono ich po przeciwnych stronach malutkiej salki, podobnie jak innych rozwiedzionych bądź rozwodzących się rodziców. Mężowie po jednej, żony

po drugiej, zupełnie jak kiedyś ich rodziny na ślubie. Panna Naomi ubrana w obcisłą bluzeczkę z szyfonu i dżinsy wsunięte do kozaków patrzyła z dumą na swoich podopiecznych i nieśmiało się uśmiechała do niektórych rodziców, w tym do Marshalla – zwłaszcza do niego, jak mu się zdawało.

Zgodnie z surową, niepisaną zasadą, Marshallowi i Joyce nie wolno było na siebie patrzeć, nawet w domu, a najlepiej, gdyby w ogóle ignorowali swoją obecność. Kiedy byli zmuszeni się do siebie odezwać, czynili to ostentacyjnie bezbarwnym tonem, skromnie odwracając przy tym wzrok. Wypowiadali się precyzyjnie i zwięźle, chyba że się akurat kłócili. Na podstawie ograniczonych informacji i paru ukradkowych spojrzeń, Marshall nie umiał stwierdzić, czy odrzucenie oferty zmartwiło Joyce, rozzłościło czy może rozbawiło. Nie wiedział, na czym stoi. Zaczął się zastanawiać, czy prawniczka w ogóle ją o tym poinformowała.

Tymczasem zbliżał się termin kolejnej rozprawy, być może rozstrzygającej, i Marshallowi nagle przyszło do głowy, że Joyce milczy, ponieważ czuje się pewna swojej pozycji. Być może jej oferta nie była tylko manewrem mającym na celu zmylenie przeciwnika. Biorąc pod uwagę, jak krańcowo odmiennie interpretuje każdy jeden fakt z ich wspólnego życia, bardzo możliwe, że zaproponowane przez siebie warunki uważa za uczciwe, wręcz korzystne dla niego. Może uznała, że w przeciwnym razie przegrałby z kretesem, więc rzuciła mu ten ochłap, aby uspokoić sumienie. Naciskany telefonicznie Thorpe, jak zawsze w wyborzym humorze, szczegółowo wyniszczył Marshallowi, jakich najgorszych rozstrzygnięć może się spodziewać. Marshall zaraz po odłożeniu słuchawki odniósł wrażenie, że z tej upokarzającej rozmowy wynikło, jakoby to on nalegał na odrzucenie oferty Joyce wbrew obiekcjom Thorpe'a.

Pochłonięty swoim rozwodem, dopiero po jakimś czasie zauważył, że atmosfera w pracy jakby się ochłodziła. Od ścian odbijały się echem stłumione szepty. Upadek LuQre poważnie zachwiał sytuacją firmy, ujawniając przy okazji rysy w jej własnym systemie zarządzania. Anulowano wiele umów; wszczęto kilka procesów, zaczynały napływać wezwania do sądu, trudno było w pełni oszacować straty. Szczególnie Hudson wydawał się jakiś roztargniony. Na zebraniach był niespokojny, smutny. Pewnie wolałby teraz rozwieszać ogłoszenia. Prezes firmy poczuł się w obowiązku przylecieć aż z Florydy, żeby osobiście zapewnić, że nie będzie żadnych zwolnień. „To jest firma, która potrafiła się podnieść z katastrofy. Razem przez to przejdziemy” – powiedział.

Fundusz emerytalny Marshalla nadal tracił na wartości, nawet szybciej niż akcje jego firmy, których resztek pozbył się z portfela. Na witrynie domu maklerskiego przejrzał kolejno strony z wynikami, historię rachunku i tabele kursów, próbując przyjrzeć się swoim aktywom z każdej możliwej strony, zanim stopnieją do reszty.

Skrupulatne studiowanie strony internetowej, którą, jak sądził, zna na wylot, w końcu się opłaciło. W piątek po południu, pod koniec kolejnego tygodnia spadków, zauważył na dole ekranu podkreślony na czerwono odnośnik „Rachunki powiązane”, tuż pod „Warunkami korzystania z serwisu”. Nigdy go wcześniej nie widział. Rachunki powiązane? Czyżby dodatkowe pieniądze? Najechał kursorem i pojawiła się charakterystyczna rączka z wystawionym palcem wskazującym. Marshallowi wydało się, że ta ręka jest odwrócona i kiwa na niego zachęcająco. Kliknął i pojawiło się nowe okno, gdzie trzeba było się zalogować i wpisać hasło. Coś mu zaświtało w głowie. Już tu kiedyś był: kilka lat temu, praktycznie u zarania

Internetu, gdy konfigurował dostęp do konta Joyce z pracowniczym funduszem emerytalnym 401(k). Chciał jej wtedy pokazać, jak to działa – padła z wrażenia. Drżącymi z niecierpliwości dłońmi wpisał nazwę użytkownika: *letshavesex*. W polu hasła natychmiast pojawił się rząd gwiazdek. Serwer maskował hasło, ale miał je zapamiętane w *cookies*.

Ekran na chwilę zniknął, po czym otworzyła się nowa strona. Marshall w tym czasie wstrzymywał oddech. Wypuścił powietrze, kiedy zobaczył, że nie ma żadnego komunikatu o błędzie ani ostrzeżenia o niewłaściwym loginie czy hasle. Naprawdę uzyskał dostęp do konta Joyce. Strona była skonfigurowana identycznie jak jego. Automatycznie zjechał wzrokiem na saldo rachunku.

522.987,50.

Zdębiał. Biegał oczami po tych cyfrach, sprawdzał, czy kropka i przecinek są na właściwych miejscach. Ponad pół miliona dolarów?

Zajrzał do historii rachunku. Odkąd podlinkował stronę, poza cotygodniowym wpłacaniem składek przez pracodawcę, automatycznie odliczanych z pensji Joyce, nikt tam nic nie ruszał. Pierwotne inwestycje jak były, tak zostały. Ani jednej operacji. Joyce, zupełnie niezainteresowana sprawami finansowymi, chyba że chodzi o puszczenie Marshalla z torbami, mogła zapomnieć, że w ogóle posiada coś takiego jak fundusz 401(k). Możliwe, że nawet nie wie co te cyferki, literka i dwa nawiasy oznaczają. To bardzo do niej podobne. Przez te wszystkie lata, kiedy byli z sobą, ani razu nie otworzyła koperty z wyciągiem z banku. Rozliczenia z fiskusem rzuciła na niego. Jej kompletny brak zainteresowania choćby ogólnymi zarysami planowania finansowego i minimalizacji podatków doprowadzał

go kiedyś do szafu. Teraz pewnie zbiera deklaracje o zarobkach i po prostu zanoszą je do pierwszego lepszego biura podatkowego.

Marshall przejrzał jej konto. Papiery i fundusze, które dla niej wybrał, znacznie bardziej zdywersyfikowane niż jego własny portfel, całkiem nieźle sobie radziły. Mimo że nie było tam widać żadnych spektakularnych wzrostów, a w latach dziewięćdziesiątych wyniki kilkakrotnie schodziły poniżej indeksu Dow Jones, w ostatnim roku Joyce prawie nic nie straciła. Marshall był nie tylko zdumiony, był oburzony.

W ten weekend oboje byli w domu, więc musieli kontrolować wszystko, co robili i mówili. Jak zawsze. W oczekiwaniu, aż Joyce poruszy temat ugody lub zbliżającej się rozprawy, Marshall uzbrajał się w riposty na różne ewentualne wypowiedzi. Jednak Joyce milczała. Wyczuwał u niej pewne samozadowolenie. Domyślał się, że jest przekonana, że ta cała sprawa niedługo się skończy i to ona wyjdzie z niej zwycięsko.

Tymczasem ciągle chodziła mu po głowie sprawa jej konta. W pierwszym odruchu chciał jej o tym powiedzieć, żeby ją zaszokować zdobyciem tajnej wiedzy o jej finansach oraz aby sobie zakpić, że zapomniała o własnym funduszu emerytalnym. Wstrzymał się jednak. Nie można informować kogoś, że ma pół miliona dolarów, o których nie wiedział, odmawiając mu przy tym odrobiny przyjemności.

W sobotę przypadała jego kolej, żeby zaprowadzić Violę i Vica do fryzjera. Joyce chodziła z nimi do specjalnego salonu dla dzieci, gdzie za strzyżenie kasują pięćdziesiąt dolarów od głowy, ale on miał swój sprawdzony zakład, znacznie tańszy, mieszczący się kilka kroków od Atlantic Avenue. Jego tajemnych wnętrz strzegł stary przygarbiony Posejdon uzbrojony zamiast trójzęba w nożyczki. Na imię miał Dominic.

Był to mężczyzna wyjątkowo małomówny i najwyraźniej nie zrobiły na nim wrażenia kosztowne pozostałości poprzednich fryzur dzieci. Nie certoląc się, wyrównał Violi grzywkę, po czym wetknął jej do buzi lizaka i posadził na fotelu Victora. Dominikowi nigdy nie trzeba było tłumaczyć, jak ma strzyc, ale tym razem Marshall zagadnął:

– Jak myślisz, Dom, może by ostrzyc na języka, co?

Dominic nawet nie podniósł głowy. Właściwie nie mógł, ponieważ z powodu jakiegoś schorzenia kręgosłupa cały czas był pochylony do przodu.

– Czemu nie – odparł.

– Tak? Albo coś takiego, widzę to często na ulicy u czarnych dzieciaków: wygolone wzory na głowie? Dałoby się coś takiego zrobić? Wygoliłbyś mu na przykład symbol dolara?

– Czemu nie – powtórzył Dominic.

– Tatusiu! – zaprotestowała Viola, nie wyjmując lizaka z ust. – Zwariowałaś? Chcesz, żeby mama cię jeszcze bardziej nienawidziła?

Jeśli to w ogóle możliwe. Mimo wszystko Marshall był poruszony za każdym razem, gdy dostawał potwierdzenie tego faktu – teraz nawet bardziej, bo padło z ust Violi. Przez cały ten czas uważali z Joyce, że dzieci są nieświadome tego, co się dzieje i zaakceptują ewentualny rozwód jako coś normalnego, co się zdarza w świecie dorosłych, który jest pełen zagadek i niespodzianek. Taki przynajmniej był plan.

– Dobra, nieważne – powiedział i w złym nastroju wrócił z dziećmi do domu.

Tam czekał na niego dodatkowy powód do zdenerwowania. W mieszkaniu unosił się jakiś nowy zapach. Marshall poruszył nozdrzami. Dzieci też go wyczuły. Niepewnie zajrzał do kuchni i zobaczył, że stary

ekspres do kawy gdzieś zniknął. W jego miejscu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiło się lśniące, retrofuturystyczne urządzenie – ekspres ciśnieniowy. To była bardzo wymyślna konstrukcja. Składała się z mosiężnego korpusu, do którego przymocowano rozmaite dźwignie i pokręta z uchwyty z polerowanego drewna oraz końcówkę do spieniania mleka i szklany cylinder, teraz do połowy napełniony wodą. W półkolistej kopule ekspresu Marshall widział swoje własne zdumione odbicie. Pojawienie się tego urządzenia, jakiegokolwiek nowego przedmiotu w mieszkaniu, było jak policzek. Dzieci rozplywały się w zachwytach.

Joyce siedziała przy stole, sącząc kawę z malutkiej filiżanki, pochodzącej z ręcznie malowanego kompletu, który kupili we Włoszech i wyjmowali tylko dla gości. Tyle że od trzech lat nikogo nie zapraszali. Joyce była wyjątkowo zrelaksowana, delektowała się kawą, jakby co najmniej siedziała w kawiarence na Piazza Navona. Zanim Marshall zdążył coś powiedzieć, oznajmiła bez śladu usprawiedliwienia w głosie:

– Miałam dość tamtego grata.

W trakcie sprawy rozwodowej wszystkie większe zakupy do domu miały być uzgadniane w porozumieniu z adwokatami. Ten ekspres musiał kosztować co najmniej 700 dolarów. Zgodnie z prawem każda część majątku ruchomego nadal stanowiła wspólną własność obojga małżonków. Joyce mogła to kupić tylko mając absolutną pewność, że uda jej się wyrolować Marshalla. Musi być dogłębnie przeświadczona o tym, co on od dawna czuł przez skórę: że to jej przypadnie mieszkanie.

– Świetnie – powiedział. – Doskonale. Mam nadzieję, że znajdziesz dla niego miejsce w swoim nowym mieszkaniu.

– Tatusiu, mogę? Mogę? – zawołała Viola. – Mogę ci zrobić kawę?

– Czemu ona? Ja też chcę! – dołączył Victor.

– Nie, dzięki. Potem nie zasnę – mruknął Marshall.

W poniedziałek tak bardzo nie mógł się doczekać pójścia do pracy, że pędząc po schodach i peronach metra trafiał na wcześniejsze niż zwykle połączenia i dotarł do biura, gdy je dopiero otwierano. Zdziwiony kolega przywitał się z nim niepewnie. Marshall od razu zalogował się na konto Joyce i te wszystkie setki tysięcy dolarów znów pokazały się na ekranie. Kliknął na wykaz inwestycji i sprzedał po kolei każdą akcję i każdą jednostkę funduszu. Za każdym razem wyskakiwało okienko, pytając z rosnącym niedowierzaniem: „Czy na pewno chcesz wykonać tę operację? Żeby potwierdzić, kliknij OK”. „Chcę, chcę” – mamrotał pod nosem, po czym przeszedł na stronę zakupów i odszukał te papiery i fundusze, które słyną z tego, że się na nich traci: spółki zadłużone, upadające, będące pod lupą SEC*, fundusz wzajemny, który zawsze bezbłędnie wybiera najgorszych debiutantów na giełdzie. Wszystkie je kupił.

Potem oparł się na krześle i podziwiał swoje dzieło, którego wykonanie zajęło mu prawie całe przedpołudnie. Co za burdel. Z podniecenia aż się spocił i zgłodniał. Kursy były tak niskie, że w tej chwili Joyce posiadała na koncie znacznie więcej akcji niż przedtem, ale wszystkie guzik warte. Powstrzymał ostatni odruch rozsądku, żeby odkupić poprzednie papiery.

* *Amerykańska Komisja Giełdy i Papierów Wartościowych [przyp. tłum.].*

Z początku nie było widać żadnych zmian na rachunku. Nowe akcje stały w miejscu. Po lunchu Marshall musiał parę razy oderwać się od komputera, wzywany przez ludzi z Zespołu Zarządzania Kryzysowego, którzy usiłowali opanować sytuację w związku z problemami LuQre. Jeden z bossów firmy zadzwonił z Florydy i gruntownie go przepytął, traktując z nieco mniejszą delikatnością niż ta, do której przywykł po 11 września. Potem wszystkich pracowników zwołano do centrum konferencyjnego na zebranie. Atmosfera była grobowa. Jeszcze niedawno na takich spędach można było coś przekąsić i wypić, a teraz nie dali nawet pączków. Gdy Marshall z powrotem zasiadł przed komputerem, już po zamknięciu notowań, zobaczył, że aktywa Joyce straciły na wartości około 300 dolarów.

Teraz on miał powód do samozadowolenia w obliczu zbliżającej się rozprawy. W domu przyglądał się Joyce, próbując wybadać, czy się domyśla, że majstrował przy jej funduszu. Ona nadal miała kamienną twarz. Wyglądało to trochę idiotycznie, zważywszy na jej nieświadomość własnej sytuacji finansowej.

Jednak do środy na koncie Joyce coś się ruszyło i wartość aktywów wręcz nieco podskoczyła. Marshall zastanawiał się, czy to nie był błąd, żeby kupować papiery, które stoją tak nisko, że mogą tylko pójść do góry. Zaczął więc szukać w Google firm, które stoją lepiej, ale za to inwestowanie w nie łączy się z większym ryzykiem. Akurat wtedy jedna ze spółek, w które zainwestował w imieniu Joyce ogłosiła, że ukończyła prace nad urządzeniem do wykrywania obecności materiałów wybuchowych w podeszwach butów. Gdy jej akcje zaczęły rosnać w postępie

geometrycznym, Marshall czym prędzej je sprzedał, ale zanim to zrobił, zdążyły powiększyć konto Joyce o kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Podczas gdy jego własne aktywa topniały, nie załamując się nawet na ogólne ożywienie na parkiecie pod koniec tygodnia, Joyce pozostała nieświadoma swojego fartu. Mogłoby to być dla niej pewnym pocieszeniem, gdyby nie znalazła sobie innego. Do Marshalla wciąż odnosiła się szorstko, lecz po domu poruszała się jakoś zwinnie, z większą pewnością siebie, wręcz z gracją. Dzieci nagle stały się jej posłuszne: tak, mamusiu, oczywiście, z przyjemnością. Któregoś dnia wracając wieczorem do domu, zastał ją w przedpokoju przed lustrem, gdy przymierzała buty do spódnicy, chyba nowej, bo jej wcześniej nie widział. Od razu spostrzegł, że buty – wysokie szpilki – też musiała kupić niedawno. Joyce natychmiast uciekła do łazienki. W tym momencie zadzwonił Thorpe i spytał, czy Marshall nie chciałby w ostatniej chwili zaproponować ugody.

– A nie będzie to odebrane jako oznaka słabości? – szepnął Marshall do słuchawki.

– Będzie – odparł Thorpe.

Marshall usłyszał, jak Joyce nuci pod nosem. Postanowił posprzedawać papiery z zeszłego tygodnia i kupić inne. Tym razem były to bardzo drogie akcje spółek czasów boomu gospodarczego i udziały w wielkich przedsiębiorstwach o bogatej historii, prowadzących działalność na szeroką skalę, ale raczej niemających przyszłości, takich jak huty stali czy kolej. Zainwestował też w fundusze zarządzane przez dwudziestosześcioletnich żółtodziobów oraz w akcje spółek mających potężne udziały w rosyjskich fabrykach samochodów. Kupił też spadające na łeb na szyję akcje swego pracodawcy. Wydawało mu się, że wziął

wszystko pod uwagę, aż tu nagle „Wall Street Journal” doniósł, że Dick Cheney wyszedł z ukrycia i rozegrał partyjkę golfa z szefostwem owego przedsiębiorstwa kolejowego.

Marshall nadal obracał akcjami, wspomagając się przy tym narzędziami do prognozowania rynku, informacjami z serwisów internetowych i płatnym biuletynem mailowym ze wskazówkami dla inwestorów, ale konto Joyce miało się coraz lepiej. Jeszcze raz sprzedał wszystkie papiery i zaczął wybierać spółki na chybił trafił: najpierw z zamkniętymi oczami celował palcem w tabelę notowań w gazecie, a potem, kiedy te akcje rosły, zamieniał je na akcje spółek, których skróty giełdowe brzmiały IHA, TEJ i YCE*. Jedne radziły sobie gorzej, drugie lepiej, ale wszystkie w sumie całkiem dobrze i stosunkowo szybko zyskiwały na wartości. Suma aktywów na koncie Joyce sięgnęła już 800 000 dolarów. Marshall zrozumiał, że znalazł się w momencie, gdy rynek uległ odchyleniu od typowego dla siebie stanu bezładu. Dzieje się to najwyraźniej w korelacji z jakimś czynnikiem ukrytym w procesie decyzyjnym Marshalla lub z jego aktualnym stanem psychicznym. Marshall dokonywał czegoś, na co normalnie nie pozwalają prawa mechaniki klasycznej: zmniejszał wartość entropii układu zamkniętego, skutecznie eliminując stopień przypadkowości z zimnego, pozbawionego zasad, bezczelnie rozszerzającego się wszechświata. Nawet ze zbyciem akcji wstrzeliwał się zawsze w idealny moment: firma, która skonstruowała detektor materiałów wybuchowych, właśnie ogłosiła, że urządzenie nie działa.

* *I hate Joyce – nienawidzę Joyce [przyp. tłum.]*

Pewnego wieczoru, kiedy siedział na podłodze w przedpokoju i usiłował wcisnąć Victorowi na nogi podejrzenie mokre adidasy, żeby go zabrać na pizzę, minęła ich Joyce zmierająca z głośnym stukotem obcasów do wyjścia. Marshall przerwał na chwilę i nie wypuszczając z dłoni nóżki syna, podniósł wzrok. Joyce miała na sobie nowe szpilki i nową spódnicę. Brązowy zamsz ciasno opinał górne partie ud i tam też mniej więcej się kończył. Do tego założyła luźną zapinaną bluzkę; wyglądała, jakby schudła dobre pięć kilo. Zrobiła też coś z włosami. Marshall nie pamiętał, jak wyglądały przedtem, ale ta fryzurka była śliczna, krótka i lekko wystrzępiona.

– Wow – wyrwało mu się. Nie mógł się powstrzymać, coś w nim wzbierało: powódź, ulewa, erupcja, boom gospodarczy. – Ładnie wyglądasz.

Przerażony patrzył, jak słowa wydobywają mu się z ust i zawisają w powietrzu. Oczy Joyce po raz pierwszy od miesiący zatrzymały się na nim na dłużej. Jej twarz w nienagannym makijażu – dopiero teraz zauważył, że jest umalowana – oblał rumieniec zbliżony kolorem do szminki. Cofnęła się o krok, o mało nie wywracając się na obcasach.

– Pocałuj mnie w dupę! – wybuchnęła i wybiegła z domu, trzaskając drzwiami.

Chwilę później Marshallowi zdawało się, że słyszy przy windzie na korytarzu ciche złorzeczenia.

– Mama powiedziała brzydkie słowo – zauważył Victor. Marshall opadł z jękiem na podłogę. Wciąż trzymał

w ręku but Victora. Wobec zbliżającego się końca wojny w sądzie, kiedy każda słabość czy potknięcie są wykorzystywane do maksimum, to był fatalny moment na łamanie ustalonych zasad. Zarazem wybuch Joyce oznaczał dla niej poważne straty na polu bitwy. Był dziwny,

niewytłumaczalny i po raz kolejny udowodnił, że Marshall nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje w głowie tej kobiety. Spojrzał na Violę. Ona wiedziała znacznie więcej niż przypuszczał.

– Pochwaliłeś ją – wyjaśniła.

Joyce wyglądała rewelacyjnie, tak młodo i świeżo jak wtedy, gdy z sobą chodzili. Marshallowi przypomniały się czasy, kiedy nie mógł bez niej wytrzymać ani chwili. Kiedyś przejechał nocą trzysta kilometrów tylko po to, żeby ją rano odprowadzić z akademika na uczelnię. Gdy otworzyła mu drzwi, jej uśmiech był jak promień wschodzącego słońca.

– Aha.

– Poza tym była zdenerwowana. To pierwsza randka.

– Co takiego?

Viola pokiwała smutno główką, ale zaraz szeroko się uśmiechnęła szczęśliwa, że wie o czymś, o czym nie wie tata. Marshalla zatkało. Jeszcze nie zdążyli się rozwieść, nawet nie byli formalnie w separacji, ona nie powinna chodzić na randki. Wszystko powie Thorpe'owi. Tymczasem na ulicach aż roiło się od atrakcyjnych kobiet, które popatrywały na Marshalla z zainteresowaniem, wolne, chętne, otwarte na nowe znajomości. Marshall zakładał, że to on będzie pierwszym, który zacznie się umawiać z kimś innym.

– Z agentem FIB – dodała Viola.

– Z kim?

– Oni łapią terrorystów.

– FBI. I rzadko kiedy. A co ty wiesz o agentach FBI?

Co ty wiesz o randkach?

– Trochę to trwało – odparła – ale w końcu się domyśliłam. Wystarczy tylko być bardzo uważnym.

Nazajutrz rano Marshall popadł w rozterkę. Mógłby podłączyć resztki swoich środków pod konto Joyce i dzięki temu trochę podreperować swój mizerny fundusz 401(k), a jej niech się dalej powiększa. Tylko czy jest w stanie znieść fakt, że Joyce przejdzie na emeryturę jako multimilionerka? Druga możliwość to po prostu sprzedać wszystkie papiery i wpakować gotówkę w rynek pieniężny, gdzie przez najbliższe trzydzieści lat będzie tylko leżeć i się kurzyć, powoli zjadana przez inflację. Kiedy wychodził z windy, jego uwagę zwrócił nietypowy gwar w biurze. Większość kolegów zamiast siedzieć w boksach, stała i rozmawiała. Minał ich i poszedł prosto do swego komputera. Coś było nie tak: nie mógł się zalogować do wewnętrznej sieci.

– Cześć, chłopie.

Marshall odwrócił się. To był Eduardo, młody luzak, który zajmował biurko naprzeciwko Marshalla, tak samo zresztą jak w starej siedzibie w WTC. Rankiem 11 września jechał akurat do dentysty na leczenie kanałowe. Wszyscy o tym wiedzieli. Tych, którzy ocaleli z zamachów identyfikowano po tym, w jaki sposób uniknęli śmierci.

– Co się dzieje z systemem? – spytał Marshall. – Padł?

– Wyłączony.

Marshall poczuł mrowienie na karku. Rozejrzał się. Wszystkie monitory wyglądały tak samo: na ekranie niczym obraz kontrolny widniało duże logo firmy. Inni zdawali się tym nie przejmować. Byli wyluzowani i gawędzili z sobą. Niektórzy ściskali sobie dłonie, inni się całowali, wymieniali wizytówkami, a jeszcze inni podawali sobie kartonowe pudła,

– Gdzie Hudson?

– A, nasz drogi, kochany Bill – zadumał się Eduardo. – Nie ma. Zwolniony. Wylany. Zdefenestrowany. Zesłany na wygnanie. Odesłany do Hagi.

– Co ty powiesz. Jak mogli go zwolnić? – Marshall był tak zaskoczony, że z trudem powstrzymywał się od śmiechu. – Patrz, a tyle dobrego zrobił dla firmy po jedenastym września. Pozbierał do kupy całą dokumentację, zorganizował nowe biuro, przywrócił nas do życia. Myślałem, że to nasz firmowy bohater. Zresztą prezes obiecywał, że nie będzie żadnych zwolnień.

– Taa... Jego też wypieprzyli. Słyszałem, że prawie cały zarząd poszedł w odstawkę. Ale przynajmniej akcje skoczyły w górę.

– Jezu – westchnął Marshall, trawiąc informacje. Słabo znał ludzi z Florydy. Stosunki między nowojorskim biurem a centralą zawsze były chłodne. Firma była kierowana zdalnie przez niewidzialne bóstwa, które nie zadawały się z ziemską siłą roboczą. – To na czym teraz stoimy? Eduardo majestatycznie wznosił rękę ku górze.

– Zajrzyj na tablicę ogłoszeń, wisi obok Wiecznego Płomienia. Wywiesili terminy, kiedy mamy się zgłosić po wypowiedzenia i odbyć pożegnalne rozmowy.

Marshall znowu się rozejrzył i nie dostrzegł na twarzach kolegów oznak szczególnego zmartwienia. Wszyscy w spokoju krzątali się w swoich boksach, pakowali rzeczy do pudeł, usuwali z przepierzeń osobiste przedmioty: zdjęcia, plakaty i inne drobiazgi, których wcześniej nie zauważał. Za kilka godzin wszystkie fizyczne ślady ich obecności w tej formie znikną na zawsze, rozplyną się w oceanie entropii.

- Mówiłeś, że akcje wzrosły?
- Pięć punktów od otwarcia.
- A my nie możemy się zalogować?

Eduardo uśmiechnął się smutno. Coś dziwnego stało się ze światłem w pomieszczeniu. Nastąpiło przesunięcie widma. Marshall dosłyszał też zmianę w wysokości otaczających go dźwięków. Było już za późno, nawet gdyby poszedł do kawiarenki internetowej i stamtąd dostał się do rachunku, nawet gdyby znał hasło Joyce. Moment rynkowy minął. Marshall zrozumiał, czując, jak serce wali mu w piersi z regularnością zegara, że znowu żyje w normalnym czasie, w normalnym, ściśle ustalonym porządku zdarzeń. Thorpe przysłał mu następny rachunek. Marshall zapłaci go, sprzedając część akcji, a potem jak wszyscy będzie tylko stał i patrzył, jak uciekają pozostałe dni, godziny i minuty.

SIERPIEŃ

Wiadomość o nowym ekspresie Joyce rozzłościła w sądzie wszystkich: jej prawniczkę, adwokata Marshalla, sędziego i protokolantkę. Obie strony od miesiący toczyły boje o najmniejsze drobiazgi, a to urządzenie stanowiło kolejny szczegół, który wywróci do góry nogami wszystkie tymczasowe umowy i wyliczenia. Rozprawa, która odbyła się wcześniej tego lata i miała być rozstrzygająca, niestety nie była. Sędzia zmęczonym głosem ostrzegł, że nie ma do zaproponowania nic lepszego i sprawiedliwszego niż ugoda wynegocjowana przez strony, a poza tym teraz i tak udaje się na urlop. Odesłał ich z powrotem do coraz bardziej dusznej i cuchnącej sali mediacyjnej. Joyce miała wrażenie, że w tym pomieszczeniu spędziła znaczną część swego dorosłego życia. Znała na pamięć wszystkie detale wnętrza. Tam czas stawał w miejscu, więc trzecie spotkanie w obecności adwokatów idealnie współgrało z osiemnastym. Zlewały się z sobą. Jedyną oznaką ich niejednoczesności były rosnące honoraria dla prawników. Pojawiły się nowe kwestie do ustalenia, znów dotyczące skrajnie banalnych spraw związanych z codziennym życiem – kto przygotowuje dzieciom drugie śniadanie, kto kupuje proszek do prania. I Joyce, i Marshall zastanawiali się w duchu, czy już tego czasem nie uzgadniano. Gdy wyszli z sądu, oczywiście osobno i nie w tym samym czasie, żeby przypadkiem nie wracać do domu jednym pociągiem, oboje mieli wrażenie, że wcale nie byli w sądzie, że tylko to sobie wyobrazili. A co do ekspresu, zmieszana Joyce broniła się: „Nieprawda, tylko sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt pięć!”

Tymczasem wieść o randce Joyce nie zrobiła na Thorpie najmniejszego wrażenia. Wręcz ją zlekceważył.

– Chcesz jej udowodnić zdradę? Powodzenia, bracie. Co, wezwiesz dziecko na świadka? Tego agenta? To się będzie ciągnęło przez następne dwa lata. Chętnie dalej brałbym od ciebie pieniądze, ale ty ich nie masz. Jaki to ma sens? To częsty błąd sądzić, że podstawa orzeczenia wpłynie na końcowe warunki rozvodu. Ona nie dostanie mniej, jeśli o to ci chodzi.

– Dobra, już dobra. Po prostu pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Thorpe nachylił swe zwaliste ciało nad biurkiem i wyszczerzył zęby.

– Myślisz, że się bzykają? Wiesz, po niej widać, jakby coś tam, tego... Natomiast ty, bracie...

Wśród ludzi z branży pojawia się pewna doza ciekawości, kiedy mają się spotkać z kimś, kto przeżył wrześnie zamachy, a potem słynną niespodziewaną restrukturyzację firmy. Marshall odbył kilka rozmów w sprawie pracy. Zwykle rozpoczynały się jako serdeczne pogawędki z kierownikami średniego szczebla, którzy słyszeli o nim i znali jego osiągnięcia, a kończyły jako nieco chłodniejsze i bardziej oficjalne przepytывania, z których w końcu nic nie wynikało. Wszyscy zakładali, że szuka pracy i jest do wzięcia, lecz kiedy pojawiał się na spotkaniach bez krawata, w ubłoconych butach, z zarostem o mikrometr za długim, miało się wrażenie, że przyniósł z sobą wszystkie troski i nieszczęścia tego świata. Przysiadł na brzeжку krzesła, nerwowo strzelał oczami na prawo i lewo, a na pytania udzielał suchych i lakonicznych odpowiedzi. Rozmowa kończyła się mocnym uściskiem dłoni. Choć na papierze prezentował się świetnie,

wobec odradzającej się powoli gospodarki nikt nie czuł się w obowiązku zaoferować mu posady.

Marshall i tak co rano jeździł na Manhattan, podobnie jak w pierwszych tygodniach po 11 września. Ilekroć nachodziło go pytanie, co zrobi, gdy skończą mu się pieniądze, nie umiał znaleźć odpowiedzi: przyszłość jawiła mu się jako głucha, bezdenna próżnia. Nie miał żadnego planu ani pomysłu na siebie. Tymczasem wtapiał się w rzekę ludzi podążających do biur. Szedł szybko, jakby był spóźniony i leniwie nucił pod nosem. Niektóre z tych melodii to były pieśni kościelne, które zapamiętał z dzieciństwa. W te dni pogoda była piękna, śródziemnomorska, ale niebo wydawało się wisieć nienaturalnie nisko, prawie ocierając się o czubki miejskich wież. Było jak wielka przezroczysta szklana kula.

Albo wezbrana łza tuż przed skapnięciem. Dziecięcy bączek chwiejący się tuż przed upadkiem. Albo jak uderzenie na chwilę przed tym, zanim poczuje się ból. Pewnego dnia, gdy Dwudziestą Piątą maszerował na wschód, nagle gdzieś między Trzecią Aleją a Lexington Avenue cały poranek runął na ziemię z potwornym hukiem.

To jakiś człowiek wypuścił z rąk ciężką metalową klapę furgonetki zaparkowanej przed sklepem, ale zanim do Marshalla dotarło, co było źródłem hałasu, przez trzy czy cztery sekundy wydawało mu się, że się zatacza, że pourywało mu ręce i nogi, a całe ubranie ma podarte i zakrwawione. Inni przechodnie też zareagowali nerwowo. Starsza pani złapała się za serce. Dwie kobiety idące chodnikiem chwyciły się pod rękę. Mężczyzna spacerujący z małym dzieckiem instynktownie pochylił się nad nim, żeby je uchronić przed niewidzialnym zagrożeniem. Nawet sprawca hałasu, dostawca wyładowujący towar, odskoczył wystraszony.

Samobójczy zamach: to pierwsza myśl, jaka im wszystkim przyszła do głowy. Dzień wcześniej, kilka stref czasowych stąd, młody Palestyńczyk przebrany za chasyda wpadł do zatłoczonej pizzerii w Tel Awiwie, zawołał: „Bóg jest wielki”, i wysadził się w powietrze razem z wszystkimi osobami, które znajdowały się w środku. Liczba ofiar sięgnęła siedemnastu, a zdjęcia z tej tragedii zdominowały wszystkie serwisy informacyjne i pierwsze strony porannych gazet. To nie był pierwszy zamach w tym tygodniu. Wcześniej bomby wybuchły w dwóch miejskich autobusach i w obu przypadkach ofiarami padli bardzo różni ludzie: Żydzi, Arabowie, Filipinka, żołnierze, cywile, uczniowie, dwie młode matki i ich dzieci. Dziesiątki innych osób zostały ranne na tyle ciężko, że będą cierpieć do końca życia. W zeszłym tygodniu na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie bomba zniszczyła stołówkę nazwaną imieniem Franka Sinatry, zabijając dziewięć, a raniąc osiemdziesiąt pięć osób.

Telewizyjne wiadomości pokazywały migawki z miejsca tragedii co pół godziny, tak samo często jak informacje drogowe. Lokal został kompletnie zniszczony: osmolone ściany, plastikowe obrusy w kratkę, krzesła, solniczki, pojemniki z oregano, kubeczki do napojów – wszystko stopione, połamane, zgniecione, porzucane. A jednak pozostał rozpoznawalny, wciąż wyglądał jak wszystkie restauracje sieci „New York Pizza”. Kamera powoli przesuwała się po zgliszczach. Tysiącom nowojorczyków to skrzyżowanie w Tel Awiwie wydało się znajome, znali ten lokal i mogliby się spierać, czy tamtejsze ciasto jest lepsze od tego, które oferuje ich ulubiona pizzeria za rogiem. Kasa była przewrócona, nadpalone tekturowe pudełko na pizzę leżało na podłodze, a z niego uśmiechał się ten sam pyzaty kucharz, który tak jak wszędzie na świecie zachwalał:

„Spróbowałeś wszystkich, wróć po najlepszą!”. Twarze i życiorysy ofiar też wydawały się znajome: stroiciel fortepianów, lekarz i ojciec pięciorga dzieci, który wpadł tylko na obiad, kierowca ciężarówki, opiekunka do dziecka, kasjer z supermarketu, jedynak, nauczyciel i pielęgniarzka, która za swą pensję utrzymywała całą rodzinę mieszkającą w slumsach Manili. W jednej sekundzie ci wszyscy ludzie zostali połączeni z sobą na zawsze za sprawą innego zwykłego człowieka, ucznia szkoły średniej z Nablusu, który miał smykałkę do majsterkowania. Marshall właśnie minął kiosk, gdzie z gazet krzychały nagłówki pełne wściekłości i oburzenia.

Ludzie, których tu, przy Dwudziestej Piątej wystraszył huk spadającej klapy, stali wyprostowani i bez skrępowania patrzyli sobie nawzajem w oczy. Dziewięć, może dziesięć osób. Zatrzymani w pół kroku, stali po obu stronach ulicy niczym figury szachowe. Marshall uważnie im się przyglądał, tak jak oni przyglądali się jemu. Zapamiętał ich twarze, ubrania, buty i fryzury. Ten obraz zabierze z sobą w martwą przyszłość. Nawet kierowca furgonetki nie ruszał się z miejsca.

Przechodnie za chwilę pójdą dalej, każdy w swoją stronę, ale w tym jednym momencie przeżyli chwilę trwogi, takiej samej, jakiej doświadczyli klienci pizzerii i ten młody zamachowiec. Chłopak pewnie modlił się do swego Boga, żeby nie stracić odwagi. Jednocześnie musiał mieć świadomość błyskawicznie upływającego czasu. Klientom lokalu przelatywały przed oczami migawki z ich życia: osobiste dramaty, romanse, konflikty w pracy. Zamachowiec, gdy tylko minął strażnika i wpadł do środka, musiał czuć, jak zawęża mu się pole widzenia. Ludzie prawdopodobnie od razu się zorientowali, dlaczego chłopak w przebraniu ortodoksyjnego żyda nie zatrzymał się przy strażniku. Krzyknął „*Allah Akbar!*”, jak relacjonował

ranny strażnik, którego potem przesłuchiowano. Nie widzieli, jak uruchamiał zapalnik (miał go w kieszeni? za pazuchą czarnego płaszcza?). I wtedy nastąpił ostatni akt, w którym zamachowiec i jego ofiary ujrzeli niezwykle jasno i wyraźnie, jak każdy szczegół ich otoczenia krystalizuje się w tej jednej minucie tego sierpniowego dnia 2002 roku. Błysk i oderwane od siebie części świata zostały w ułamku sekundy połączone w jedno i zapanował ład. Nie, nie ład. W tym świecie królował beztroski materializm, bezbożność, niegodziwość i rozwody. Zapanowała sprawiedliwość. To był *dżihad*.

W końcu ocaleni ze wschodniej Dwudziestej Piątej ruszyli dalej, a ten moment przeszedł do historii, jak wiele innych straconych na zawsze. Większość tych osób, nim dotrze do następnej przecznicy, nie będzie już pamiętała o tym incydencie.

Joyce także oglądała w telewizji relacje z Izraela, a jadąc pociągiem metra tunelem pod East River widziała na kolanach współpasażerów gazety rozłożone na stronach opisujących ten potworny dramat. Fotografie zajmowały po kilka stron: ruiny pizzerii, po bokach zdjęcia ofiar, kilka ujęć z akcji ratunkowej, na których sanitariusze wkładają nosze z rannymi do karetek z napisami w języku hebrajskim. Rozglądając się po przedziale i wsłuchując w złowieszcze dudnienie kół pędzących po torze, Joyce nie mogła się pozbyć myśli, jaki spektakularny efekt wywołałby tutaj samobójczy zamach bombowy: huk, ogień, latające odłamki szkła i metalu, wszechogarniający łoskot wdzierających się mas wody i szlamu. Terrorysty są w drodze. To się może zdarzyć w każdej chwili.

Przymknęła powieki, żeby dać odpocząć oczom. Przejazd pod rzeką zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale Joyce wcale nie było spieszo

wracać do nasączonego nienawiścią mieszkania, które dzieliła z ciągle jeszcze nie byłym mężem. Gardziła tym miejscem. Było ciasne, ciemne, nic w nim nie działało jak trzeba. Nie znosiła też sąsiadów i miała po uszy mieszkania w Nowym Jorku. Za te same pieniądze stać by ją było na domek z ogródkiem na przedmieściach. Ogród. Wcześniej nigdy o tym nie myślała, lecz teraz nagle bardzo zapragnęła go mieć.

Chciałaby móc zacząć wszystko od nowa – tak, z dziećmi, choć niekoniecznie (w końcu to są fantazje o zupełnie nowym życiu). Spodobał jej się pomysł wyprowadzki z Nowego Jorku. To miasto jest zatłoczone, brutalne, panuje w nim małostkowość i zawzięta rywalizacja. Nigdy nie było dla niej prawdziwym domem, tutaj stała się ofiarą. Na przedmieściach urządziłaby sobie ogródek warzywny i spędzała więcej czasu na słońcu. Chciałaby wdychać zapach wilgotnej, żyznej, świeżo przekopanej ziemi. Kupiłaby sobie eleganckie kalosze. Być może spożywanie owoców pracy własnych rąk całkowicie odmieniłoby jej charakter? Stałaby się bardziej samowystarczalna, asertywna. Otwarła oczy. Boże, była pogrzebana pod dnem rzeki w stalowej trumnie, oświetlonej jarzeniówkami.

Wreszcie dojechała do Borough Hall, wysiadła i powlokła się do domu. Przerażała ją perspektywa kolejnych kilku godzin milczącej wojny z Marshalllem. W tygodniu opiekowali się dziećmi na zmianę, ale Joyce nie było stać, aby każdego wieczoru, kiedy miała wolne, wychodzić do restauracji czy kina. Żeby nie zwracać na niego uwagi i nie denerwować się jego nieodpowiedzialnym rodzicielstwem, będzie musiała ślęczeć w kuchni, gdy tymczasem najchętniej pobyłaby sama we własnym domu. Chciałaby też, żeby żaden przedmiot ani zapach nie przypominał jej o istnieniu tego

człowieka. Będzie potrzebowała trochę samotności, zanim rozpocznie proces samonaprawy i odnowy.

Ale Marshalla nie było w domu. Kiedy weszła, opiekunka Sonya stała w salonie ubrana w płaszcz i trzymała w dłoni wielką torbę na zakupy. Wpatrywała się w drzwi, najwyraźniej czekając niecierpliwie, aż ktoś się w nich pojawi. Joyce od razu zauważyła, że ma wilgotne oczy.

– Jest za piętnaście siódma! – zawołała. – Jestem potrzebna córce. Ona musi iść do pracy, nie może zostawić dziecka!

– Gdzie jest mój mąż?

Sonya posłała jej pełne smutku i wyrzutu spojrzenie – to p a n i mąż! – które Joyce tak dobrze знаła. Sonya była kiedyś nauczycielką fizyki w Taszkencie, potem wyemigrowała do Izraela, tuż przed rozpoczęciem wojny w Zatoce. Po dziesięciu burzliwych latach, mając zszargane nerwy i prawie żadnych środków do życia, zdołała wraz z rodziną dostać się do USA. W Taszkencie zwolniono z pracy wszystkich pracowników pochodzenia żydowskiego; w Izraelu niedaleko ich bloku spadł pocisk Scud, a oddział, w którym służył jej zięć, poniósł duże straty w ludziach w czasie walk w Strefie Gazy. Na Brooklynie po 11 września położyła się na tydzień do łóżka, przekonana, że współczesna historia świata depta jej po piętach i lada chwila załomocze do drzwi. Victor i Viola ją uwielbiali, ale kiedyś Joyce miała wątpliwości, czy czarnowidztwo Sonyi nie wpływa na dzieci niekorzystnie. Dzisiaj jej pesymizm wcale nie wydawał się skrajny.

– Miał być w domu o szóstej! – usprawiedliwiała się Joyce, grzebiąc w torebce. – Tak się umawialiśmy.

– Moją córkę wyrzucają z pracy!

– Przepraszam, strasznie mi przykro. – Joyce wcisnęła jej w dłoń banknot dwudziestodolarowy. – Proszę wziąć taksówkę. Przepraszam, nie mam pojęcia, co się mogło stać.

Sonya wybiegła z mieszkania, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Joyce słyszała, jak na korytarzu energicznie naciska guzik od windy.

Dzieci od razu zaczęły się domagać kolacji. Joyce poszła do kuchni. W uszach wciąż dźwięczały jej lamenty Sonyi. Gdy ucichły, w niej samej zaczął wzbierać gniew. Przecież było ustalone, że Marshall zmieni dziś Sonyę o szóstej, umawiali się, do cholery! On świadomie zaniedbuje obowiązki wobec dzieci. Przez moment była tak oślepią furia, że nie widziała zawartości lodówki. Stała przy otwartych drzwiczkach i w obłoku mroźnego powietrza usiłowała się opanować. Victor i Viola zauważyli jej niezdecydowanie i zażądali pójścia na pizzę.

– Nie, żadnej pizzy – odpowiedziała, ale dzieci przekonały ją, że jest bardzo zmęczona, więc musiała się poddać. Pieprzyć to. Nie miała ochoty stać przy garach. Gdy wyszli na ulicę, była już dostatecznie zdemoralizowana, aby dać się namówić na wizytę w taniej pizzerii Marshalla przy Court Street, zamiast w restauracji przy Montague Street, gdzie mają specjalny ceglany piec, podają wino i doskonałe sałatki dostosowane do diety Atkinsa.

Dopiero gdy złożyli zamówienie i wybrali stolik, Joyce spostrzegła, jak tam jest obskurnie: mało miejsca, rażące oświetlenie, papiery i plastikowe kubeczki walające się na podłodze, wszystko upstrzone odchodami much i na dodatek smród. Część kasetonów z sufitu zdjęto, odsłaniając gołe jarzeniówki; pozostałe zaś były pokryte zaciekami z wody. Na odpadającej boazerii ponaklejano byle jak plakaty reklamujące walory

turystyczne Włoch, choć smagli, nieogoleni mężczyźni za ladą nie wyglądali na rodowitych przedstawicieli jakiegokolwiek nacji kojarzącej się z wyrobem pizzy. Wydawali się nieufni, gdy Joyce składała zamówienie. Człowiek z brodą przy kasie patrzył na nią smutnym wzrokiem. Dzieci pobiegły zająć stół – z czerwonym blatem z laminatu. W ostatniej chwili, gdy Viola już miała położyć na nim sweterek, Joyce zauważyła lśniąca smugę ketchupu.

W oczekiwaniu na pizzę dzieci rzucały w siebie papierkami po słomkach, dodatkowo zaśmiecając i tak już brudną podłogę. Joyce odwróciła głowę i starała się przenieść myślami w inne miejsce i czas, miejsce, gdzie jest czysto, zielono i nikt się nie kłóci. W tym momencie zobaczyła Marshalla. Stał przy kasie i czekał na zamówienie. Nie zauważył ich. Wyjął portfel i z banknotem w dłoni uważnie się przyglądał, jak jeden z pracowników wyjmując trójkątny kawałek pizzy z piekarnika. Joyce wstała i podeszła do niego.

– Miałeś być w domu przed szóstą.

Marshall leniwie obrócił głowę, jakby ze zwykłej ciekawości, jakby wcale nie był zaskoczony jej obecnością, jakby kojarzył ją tylko przez mgłę, jakby to była jakaś żebraczka. Wymagało to ogromnej samokontroli. Popatrzył na nią nie dłużej niż pół sekundy, po czym odwrócił się znowu.

– Gdzie byłeś? Przecież się umawialiśmy! Sonya prawie płakała. Mogłeś chociaż zadzwonić.

Tymczasem, o czym Joyce przypomniała sobie dopiero później, harmonogram na ten tydzień uległ małym modyfikacjom ze względu na ważne spotkanie, które miała mieć w piątek. Uzgadniali to przedwczoraj, ale Marshall, wieszając sobie zimnej krwi, z jaką przed chwilą zbył Joyce, zresztą doprowadzając ją tym do szału, nie miał ochoty w tym momencie

wdawać się w kłótnię. Miał nad Joyce moralną przewagę. Niech się powścieka.

– Mogę prosić o dodatkowe serwetki? – powiedział do brodacza.

– Marshall! – Joyce miała ochotę krzyknąć.

– Tatuś!

Dzieci widząc go natychmiast podbiegły i objęły za nogi.

– Tata, zjedz z nami! – powiedział Victor. – Dostaniemy podwójny ser.

Marshall słabo się uśmiechnął. Prośba syna wprowadziła go w zakłopotanie. Sądził, że chłopiec zaakceptował fakt, że nigdy nie jedzą razem. Wyplątał się z uścisków dzieci. Co za pech, że przyszli do tej samej pizzerii.

– Nie dzisiaj, kochanie. Nie mogę.

Joyce wyciągnęła ramię i wyrwała mu z dłoni banknot.

– Jesteś mi winien – powiedziała kipiąc z wściekłości. – Musiałam dać Sonyi na taksówkę.

Marshall zrobił ruch, żeby odebrać banknot, ale Joyce była szybsza. Odwróciła się na pięcie i wróciła do stolika. Dzieci zostały, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Joyce, nie teraz. Porozmawiamy później.

– Dolar dziewiętnaście – poinformował ponuro kasjer. Wsunął porcję pizzy do białej papierowej torebki i położył ją na ladzie.

– Proszę chwilkę zaczekać... Sam pan widzi... – bąknął Marshall, uśmiechając się przeproszająco. Żadnej reakcji. Odwrócił się do Joyce. Musiał wołać przez całą salę. Nie znosił tego, wszyscy się gapili. – Joyce, proszę cię. Nie mam przy sobie więcej gotówki. Później ci oddam.

Zignorowała go. Siedziała z ponurą miną, dłonie trzymała oparte na stole.

–Joyce!

Odwrócił się do kasjera.

– Mogę zapłacić kartą kredytową?

– Żadnych kredytów – odparł kasjer głęboko urażony.

– American Express? Visa? Przecież pan mnie zna, przychodzę tu trzy razy w tygodniu. Jak tylko zjem, pójdę do bankomatu i przyniosę pieniądze. Albo zjem po drodze, co pan na to?

Jednak sprzedawca już wyjmował jego pizzę z torebki. Odłożył ją na stertę innych kawałków, które czekały za szybą, aż zostaną później odgrzane. Odłożył też z powrotem torebkę i serwetki, uprzednio starannie je złożywszy.

W tym momencie wszyscy w pizzerii zamarli. Nawet dzieci się nie ruszały. Victor stał na palcach, nie wiedząc, co tam się rozstrzyga ponad ich głowami. Joyce wpatrywała się w dal niewidzącymi oczami, przebywała w innym świecie. Przy sąsiednich stolikach kilku młodych mężczyzn pochylonych nad talerzami podniosło głowy z ciekawością, gdy zabrała Marshallowi pieniądze. Czekali w napięciu, co będzie dalej. Wszyscy trzej sprzedawcy stali za ladą, jeden trzymał w dłoniach krążek surowego ciasta. Nagle głęboko w szczelinach wilgotnych, pulsujących fałdów tkanki mózgowej Marshalla dokonała się jakaś przemiana: to ich gówniane, popieprzone życie, żalosne utarczki, brudne pieniądze, poniżanie, okrucieństwo, nieczułość, brak szacunku, stały się nie do zniesienia dla Boga. Nad ladą krążyła wielka czarna mucha, przymierzając się do złożenia jaj na puszcze z parmezanem. Bóg to wszystko widział.

– Suka! – wybuchnął Marshall i wybiegł z pizzerii.

Cóż to właściwie za przyjemność uprawiać seks z siedemdziesięcioma dwiema dziewczynami? Przemyślawszy to później, Marshall doszedł do wniosku, że niekoniecznie musi się to odbyć jednej nocy. Może w rajach pozwolą męczennikowi rozłożyć to na kilka miesięcy, a nawet lat? O ile tam wolno w jakikolwiek sposób odmierzać czas. A bez czasu, w statycznej, wiecznej terażniejszości, jak w ogóle wyobrazić sobie akt seksualny? Odkładając na bok te rozważania, należałoby przypuszczać, że ograniczenie się wyłącznie do dziewczyn jako partnerek seksualnych stałoby się w końcu monotone jak małżeństwo. No, prawie. Marshall wiedział z własnego doświadczenia, które obejmowało tylko jedną dziewczynę, koleżankę z liceum, że seks z kimś takim jest raczej niezdamny, frustrujący i upokarzający (dla niego to też był pierwszy raz). Można się spodziewać, że nawet w rękach doświadczonego kochanka–męczennika te nieskalane niebiańskie hurysy okażą się płochliwe i niewprawne. A czy później, gdy już mu zabiorą te siedemdziesiąt dwie byłe dziewczyny, będzie taki męczennik jeszcze kiedyś mógł się kochać, czy spędzi resztę wieczności w celibacie, zżerany przez te same nierealistyczne, dręczące pragnienia i próżność, które wypełniały mu ziemski żywot?

Nie, oni na pewno nie robią tego dla seksu.

Cały następny tydzień Marshall był bardzo zajęty w swoim pokoju, grzebiąc godzinami w Internecie. Siedząc w półmroku, przeglądał dziesiątki serwisów informacyjnych i artykułów, aż wreszcie trafił na stronę, która oferowała to, czego szukał. Była w całości po arabsku, lecz zawierała gotowy do wydrukowania schemat. Tą samą drogą dotarł też do pewnej firmy z Reading w stanie Pensylwania, która sprzedaje urządzenia dla

górnictwa i kupił od nich skrzynkę dynamitu w laskach oraz spłonki. Za wszystko zapłacił kartą kredytową i przywiózł do domu wypożyczonym samochodem.

Schemat opisywał budowę skomplikowanego zapalnika do bomby o działaniu natychmiastowym. W RadioShack* Marshall kupił baterie, kable, zaciski szczękowe i przełączniki. Gdy poszedł zapłacić, młody kasjer poprosił go o nazwisko i adres.

– Do niczego to panu niepotrzebne – oświadczył poirytowany.

Nie widział oczu kasjera schowanych pod jasnymi włosami, które opadały mu na twarz, gdy się nachylał nad monitorem. Nawet gdy wyjął z uszu słuchawki od odtwarzacza mp3, nadal zdawał się być w coś zaszuchany, obecność Marshalla mu w niczym nie przeszkadzała.

– Nazwisko i adres – mruknął.

– Na co to panu? Przecież płacę gotówką! Nie chcę potem dostawać ulotek. Nie chcę, żeby mi wydzwaniali do domu telemarketerzy. Nie chcę, żeby pan wiedział, kim jestem. Mam dość zamachów na moją prywatność. Czy każda zakichana informacja musi trafiać do komputera? Wystarczy, że rząd nas inwigiluje.

Kasjer spojrział na niego jak na wariata. To był przystojny chłopak o łagodnych niebieskich oczach i nieskazitelnej cerze. Marshall był zaskoczony, gdy ujrzał delikatne blond loczki zwisające mu przed uszami.

– Nie musi pan podawać prawdziwego nazwiska – powiedział prawie rozpaczliwym tonem. – Po prostu muszę coś wpisać.

Marshallowi zrobiło się głupio, że tak gwałtownie zareagował. Spróbował coś wymyślić. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to Jaser Arafat. Nie przejdzie. Zrozumiał, że układ, który proponuje mu chłopak, aby

umożliwić mu kupno tych paru części, wymaga, by nazwisko brzmiało choć trochę prawdopodobnie. Kto wie, czy ktoś w ogóle zajrzy kiedykolwiek do tego formularza. Jaki to ma sens? Rosło w nim zniecierpliwienie, ale nie był w stanie wymyślić nazwiska, które nie należałoby do kogoś znanego. Na usta cisnęły mu się tylko: Saddam Husajn. Muammar Kadafi. Rin Tin Tin.

W końcu, zrezygnowany, podał prawdziwe nazwisko i adres, łącznie z kodem pocztowym, zapłacił za zakupy i poszedł do domu.

Negocjacje rozwodowe znów utknęły w martwym punkcie. Ustalano i odraczano terminy rozpraw, adwokaci nadal wdzięczyli się do siebie i kasowali honoraria, a decyzji jak nie było, tak nie było. Joyce i Marshall ciągle mieszkali razem. Raz na jakiś czas strona przeciwna próbowała użyć wybiegu, żeby przełamać impas (jednoczesna wymiana najważniejszych ustępstw, wzajemne proporcjonalne obniżenie roszczeń), lecz oni wówczas zwierali szeregi i stawiali opór. Ich stanowiska przybrały takie kształty, żeby się idealnie nie pokrywać z ich wzajemnymi interesami. Tymczasem Marshall pilnie pracował w swoim pokoju, manipulując narzędziami w świetle biurkowej lampki. Schemat przymocował taśmą do ściany. Joyce i dzieci krzatali się po domu, w szparze pod drzwiami widać było tylko poruszające się cienie. Od czasu do czasu zadzwonił telefon, ktoś włączył telewizor, spadł garnek, stłukła się szklanka. Każdy dźwięk szarpał mu nerwy, był niebezpieczny, grzeszny, zły. Ich mieszkanie stało się siedliskiem chaosu i zepsucia.

Po kilku dniach wreszcie wynurzył się z sypialni obłożony na piersiach pakunkiem ukrytym pod szlafrokiem. W dłoniach trzymał przygotowane zaciski. Dzieci oglądały telewizję. Staął za nimi i przez chwilę patrzył na ich delikatne główki. Niewinne biedactwa nie zdawały sobie sprawy z

grzechów swoich rodziców ani tragicznego dzieciństwa, jakie im oni zgotowali. Wyszedł z salonu i odnalazł Joyce w kuchni, gdzie przygotowywała dzieciom lunch na następny dzień – kupne krokiety wegetariańskie. Jak zawsze starała się zignorować jego obecność.

Zbliżył się powolnym krokiem, świadom elektrochemicznego potencjału, który trzymał w drżących dłoniach. Joyce wzięła do ręki marchewkę i zaczęła ją obierać nad zlewem.

– Bóg jest wielki – oznajmił. Nabrał powietrza w płuca i zetknął zaciski.

Joyce podniosła wzrok, wkurzona, że się do niej odezwał i to najwyraźniej bez potrzeby. To było naruszenie podstawowych zasad.

– Od kiedy? – warknęła.

– Bóg jest wielki – powtórzył i jeszcze raz zetknął zaciski. Spróbował włożyć jeden w drugi, ale mu się wyślizgnęły. Potem maksymalnie je rozwarł i szczepił, szczęką w szczękę. Zakleszczyły się.

– Co ty wyprawiasz? Co to jest?

– Bomba. Rozchylił szlafrok i pokazał materiały wybuchowe, którymi był obwiązany. Joyce uniosła brew.

– Prawdziwa?

– Sam zrobiłem. Mam tu tyle dynamitu, że mogę wysadzić połowę bloku. Bóg jest wielki.

Chwycił złączone zaciski w dwa palce i mocno ścisnął. Miał wrażenie, że przez chwilę poczuł leciutkie łaskotanie prądu.

– To czemu nie działa?

– Nie wiem – odparł zirytowany. — Łatwo pomylić te kabelki.

– A zrobiłeś wszystko zgodnie z instrukcją?

– Była po arabsku, ale dołączyli schemat.

Joyce odłożyła marchewkę i obierak, i ciężko westchnęła.

– Daj, zobaczę.

– Sam sobie poradzę.

– Nie bądź dupkiem.

– Już za późno.

– To co, mam się temu przyjrzeć, czy nie? Skrzywił się i pokręcił głową, ale odparł:

– Jak chcesz.

Joyce dokładnie wytarła ścierką ręce i podeszła do niego. Rozchylił szerzej szlafrok i odsłonił przewody przechodzące przez spłonki i biegnące do dwóch połączonych baterii umieszczonych w zagłębieniu pleców. Materiał wybuchowy wydzielał cierpką woń, podobną do zapachu liści późną jesienią.

– Skąd masz dynamit?

– Z firmy sprzedającej sprzęt dla górnictwa. A części do zapalnika kupiłem w RadioShack.

– W RadioShack – powtórzyła. – Stąd te ulotki w skrzynce. Hm, wygląda mi na to, że czerwony kabelek wysunął się z zacisku.

– Aha. Czy w takim razie byłabyś tak uprzejma i wsunęła go tam z powrotem?

Dzieci wstały od telewizora i po cichutku przydreptały do przedpokoju. Viola badawczym wzrokiem oceniała sytuację. Victor prawdopodobnie nie miał okazji widzieć rodziców w takiej bliskości. Prawie się dotykali. Marshalla zaczynało to krępować.

– I potem wybuchnie? – spytała Joyce.

– Powinno.

Cała czwórka gnieździła się w ciasnej przestrzeni wokół wejścia do kuchni. Victor mrużył oczy, jakby raziło go światło. Joyce przymocowała obluzowany drucik do zacisku i rzuciła:

- Gotowe.
- Bóg jest wielki. No i gównno.
- Nie wyrażaj się.
- Dalej nie działa.
- Poczekaj, sprawdzę resztę kabli.

Marshall skrzywił się z niechęcią, ale wysupłał się do pasa ze szlafroka. Splątane przewody przypominały talerz spaghetti. Joyce powoli przesunęła palcem po czarnym i czerwonym kablu. Marshall poczuł, jak mimowolnie robi mu się gorąco. Jej zapach był dla niego niczym druga natura, nawet teraz. Oddychał głęboko. Zauważył, że i jej oddech przyspieszył. Spod pachy spłynęła mu strużka potu.

– Pierwszy raz w życiu widzę dynamit – mruknęła pod nosem Joyce. – Wygląda dokładnie tak jak w kreskówkach.

– Jakich kreskówkach? – ożywiła się Viola. Marshall zauważył, że ma na sobie tę śliczną granatową sukienkę, którą niedawno dostała od matki Joyce.

– No wiesz, „Struś Pędziwiatr”, „Atomówki”, „Dexter”. W zasadzie to we wszystkich.

- Wcale że nie – zaprotestował Victor. – W „Arturze” nie ma.
- Nie widzieliśmy wszystkich odcinków – wytłumaczyła mu Viola.
- Umiesz to naprawić? – spytał Marshall.
- Cierpliwości. Muszę się najpierw przyjrzeć. Nie ruszaj się.
- Mogę pomóc? – zaofiarował się Victor.

– Nie teraz, skarbie. – Joyce uklękła, żeby lepiej widzieć mechanizm. Jej twarz znajdowała się na wysokości bioder Marshalla. Dzieci ciasno otoczyły rodziców. Victor opierał się o ojca, trzymając jedną rączkę na lasce dynamitu. Tak kiedyś z zewnątrz wyglądała ta rodzina: zwarty, jednolity organizm, pełen ufności i miłości. Marshall nagle poczuł się zmęczony tym wszystkim.

– Zostaw to – powiedział.

– Czekał, chyba wiem, o co chodzi. Zdaje się, że do splotki w ogóle nie dociera prąd.

– Nieważne.

– No, czekaj, zaraz będzie.

– Powiedziałem, zostaw to.

Joyce klęcząc usiłowała połączyć odpowiednie druciki. Viola opierała jej rękę na plecach, zamykając obwód: Joyce dotykała bioder Marshalla, Marshall dotykał Victora, a barki Victora ocierały się o rękę Violi. Joyce tak się zawzięła, jakby od tej naprawy zależało rozwiązanie wszystkich ich kłopotów.

– Właśnie na tym polegał cały problem z tobą: nigdy nie potrafiłeś niczego doprowadzić do końca.

– Wspaniale, kolejna rzecz. Chyba zacznę robić listę. Wyszarpnął się, zostawiając Joyce na klęczkach. Victor o mało nie stracił równowagi.

Poszedł prosto do swego pokoju, zamknął drzwi i pozdejmował z siebie cały ekwipunek. Być może wszystko, co Joyce o nim mówi, jest prawdą: powinien jednak zrobić listę. Rzucił nieudaną bombę na podłogę obok sterty brudnych ciuchów i opadł na łóżko. Słyszał, jak Joyce i dzieci się rozchodzą i wracają do przerwanych zajęć. Cała maszyna codziennego

życia ruszyła od nowa: w kuchni robił się lunch, w pokoju brzęczał telewizor. Marshall wtulił twarz w poduszkę i zaczął cicho szlochać, aż zrobiła się mokra.

TTLR

LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC

Tej zimy przed wybuchem wojny śniegu było co niemiara. Kolejne warstwy przykrywały poprzednie, które wcześniej już zdążyły się ubić i zlodowacieć. Odwoływano lekcje w szkołach i zamykano urzędy, co jeszcze bardziej komplikowało wysiłki Marshalla i Joyce, by nie wchodzić sobie w drogę. Rozprawa w sądzie, która, jak obiecywano, miała być absolutnie przełomowa, również została przełożona. Kazali im czekać do marca, bo dopiero wtedy sędziowie i adwokaci znaleźli najbliższy wspólny wolny termin. Pewnego weekendu, żeby odpocząć od Joyce, Marshall zabrał dzieci i wyjechał do swoich rodziców. Wracając w niedzielę po południu do Nowego Jorku, musiał uciekać przed śnieżycą. Obserwował w lusterku, jak doganiają go iskrzące się ołowiane chmury. Burza rozpętała się jeszcze przed piątą, kiedy wjeżdżali na autostradę wzdłuż East River. Samochody wolniutko przedzierały się przez gęstą ciemność. Dzieci spały, ale Snuffles nie i zaczął skowyczeć, chyba domagał się kolejnego spaceru. Marshall czuł się niewyobrażalnie samotny – nie tylko w tym wynajętym samochodzie, w całym wszechświecie. Siedząc za kółkiem, zamienił się w prymitywny organizm złożony z pary wytrzeszczonych, świecących w ciemności oczu przyczepionych do stopy, która co chwilę naciskała pedał hamulca w reakcji na zapalające się przed maską czerwone światła. Te światła w końcu wyprowadziły go na zjazd z autostrady. Skręcił na stację benzynową, żeby uzupełnić paliwo, zanim odda auto do wypożyczalni.

Lokalne drogi były w jeszcze gorszym stanie niż autostrada. Samochody tańczyły na jezdni, niektóre skrzyżowania były zablokowane.

Dzieci się obudziły i przetarły oczy, ze zdziwieniem zobaczyły śnieg za oknem, po czym oświadczyły, że muszą siusiu.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę, zaraz będziemy na miejscu – powiedział Marshall z obawą w głosie. Wiedział, że cechą wielkich umysłów jest zdolność ogarniania całości zagadnienia, nawet jeśli zawiera w sobie sprzeczności. W jego wypadku szczerą nadzieją, że będą w domu za kilka minut konkurowała z absolutną pewnością, że tankowanie, odprowadzenie auta do wypożyczalni i spacer w śnieżycy z dwójką małych dzieci, psem i walizką zajmie im bitą godzinę.

Nie, nawet więcej. Na samoobsługowej stacji benzynowej Amoco panował kompletny chaos. Kierowcy podjeżdżali do dystrybutorów ze wszystkich stron, inni nieśmiało ustawiali się za nimi w kolejkach, blokując wyjazdy. Jeden jedyny pracownik stacji tkwił beczynnie w oszklonym bunkrze na środku placu i nie był w stanie albo mu się nie chciało zainterweniować. Wszyscy trąbili, więc Marshall też, choć nie miało to sensu. Snuffles czekał. W radiu zaczęły się wiadomości, ale Marshall nie słyszał, co tam mówią o wojnie i terroryzmie, bo jednocześnie usiłował śledzić pokręcone, chaotyczne wywody Victora, który się skarżył na Violę, że podstępem zmusiła go do oddania jej żołnierzyków. Przez dwadzieścia minut przesuwał samochód do przodu centymetr po centymetrze w kolejce, która dochodziła do dwóch dystrybutorów. Gdy jeden w końcu się zwolnił, Marshall natychmiast się przy nim ustawił.

Nagle, nie wiadomo skąd, podjechał czerwony nissan i zatrzymał się kilka centymetrów od zderzaka Marshalla. Marshall się zdziwił. On na pewno nie stał w żadnej kolejce, która mogłaby sobie rościć prawo do tego dystrybutora. Tymczasem za nissanem zaczęła się już tworzyć nowa kolejka

i domagała się pierwszeństwa. Śniady, wąsaty kierowca wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia. Marshall ruchem głowy dał mu znak, żeby się wypchał.

– Dzieci, siedźcie tutaj.

Otworzył drzwi.

– Ale ja muszę siusiu! – zawołał Victor.

Marshall wyszedł z auta. Silny podmuch wiatru smagnął go po szyi drobinkami zlodowaciałego śniegu. Pamiętałby o szaliku, gdyby go ten kierowca nie wkurzył. Nadal robił miny i pokazywał palcem na auto Marshalla. Potem narysował w powietrzu półkole, jakiś nieznanym i na pewno obraźliwym gestem. Nowy Jork. Co za popieprzone miasto. Marshall zbył go machnięciem ręki.

Przeczytał instrukcję na dystrybutorze i już miał wsunąć w szczelinę kartę kredytową, gdy tamten człowiek w aucie zaczął pukać w szybę od środka. Marshall był pewien, że to się skończy bójką. Nawet się ucieszył: dziś wieczorem chętnie by komuś przywalił. Nigdy takich rzeczy nie robił, lecz teraz wydawało mu się to najodpowiedniejszą reakcją na wszelkie frustracje i irytacje codziennego życia. Zacisnął pięść i nawet przez rękawiczkę poczuł, że ma w niej siłę. Miał ochotę rozplaszczyc gościa na masce jego własnego samochodu. Jednym ciosem. No, chyba że gość ma broń. Wtedy to będzie kwestia jednego strzału. Marshall zginie i pozostawi tych dwoje małych dzieci samych w wypożyczonym aucie bez kierowcy w mroźną noc na Lower East Side. Mogłoby się tak zdarzyć, wszystko się może zdarzyć. Marshall zrobił odpowiednią minę, żeby mu pokazać, że jest gotów się z nim zmierzyć, ale mężczyzna uśmiechnął się i pokazał palcem

na tylną część samochodu Marshalla, tę od strony dystrybutora. Marshall spojrział. Nie było wlewu paliwa. Był po drugiej stronie.

Wsiadł do auta, zmierzyszy uprzednio faceta wściekłym spojrzeniem. Tamten dał mu znak ręką, że powinien się trochę cofnąć i odwrócić drugą stroną do dystrybutora, demonstrując za pomocą skomplikowanych gestów, jak ma ominąć pozostałe samochody. Marshall go zignorował. Odwiezie dzieci i psa do domu, a sam wróci tu za godzinę, kiedy ta cała banda oszołomów już sobie pojedzie. Ale nic nie widział, bo wzrok wciąż przesłaniał mu gniew, który przed chwilą krążył w jego krwiobiegu, nasączając tkankę mózgową specyficzną mieszanką związków chemicznych odpowiedzialnych za procesy myślowe charakterystyczne dla tego uczucia. Odetchnął głęboko i oparł na chwilę głowę na kierownicy. Nie potrafił już normalnie funkcjonować. Jego mózg zamienił się w papkę zanurzoną w roztworze, a nastrój, myśli i poczucie tożsamości uzależnione były od najdrobniejszych wahań w jego składzie chemicznym. Kierowcy za nim czekali. A on ciągle nie mógł się uspokoić. Przejście ze stanu napięcia do stanu odprężenia następowało z opóźnieniem w stosunku do ruchu jonów, które przeniknąwszy przez błony komórek nerwowych w mózgu, zasygnalizowały uświadomienie sobie pomyłki. W jednej chwili można być stuprocentowo pewnym jakiejś rzeczy, a w następnej czegoś zupełnie przeciwnego. I nadal być wściekłym. Marshall wrzucił bieg i powoli odjechał ze stacji.

Thorpe mylił się co do Nathana i Joyce. Między nimi nie było romansu ani nic z tych rzeczy. Tamtego wieczoru wiecie umówili się tylko na drinka. Joyce się denerwowała, targaly nią sprzeczne myśli, makijaż nie wyglądał najlepiej, chociaż trzy razy go poprawiała. „Wow, ładnie wyglądasz” – ten

to zawsze wiedział, jak jej namącić w głowie. Agent Robbins też wyglądał na zatroskanego, zupełnie jakby i jego Marshall wkurzył. Podziękował jej za przyjście i pośpiesznie zaznaczył:

– Pani Harriman, żebyśmy się dobrze zrozumieli, ta rozmowa nie jest elementem śledztwa.

– Oczywiście – odparła pogodnie, starając się odzyskać entuzjazm, z jakim zareagowała na jego telefon z zaproszeniem. Spotkali się w zacisznej knajpce na East Side, ani szczególnie modnej, ani na tyle romantycznej, żeby ją traktować jako oczywiste miejsce na randkę. Zamówiła czerwone wino. Robbins od razu pociągnął solidny łyk bourbona, nawet nie wznosząc toastu. – W takim razie, proszę mi mówić Joyce – dodała. – Skoro to spotkanie czysto towarzyskie.

Kiwnął głową, unikając jej wzroku.

– Tak, chociaż nas obowiązują pewne procedury i ograniczenia dotyczące życia prywatnego. Chodzi o kontakty z osobami poznanymi w trakcie prowadzenia działań operacyjnych.

Uśmiechnęła się ciepło. Wie, że ma piękny uśmiech i tego wieczoru miała zamiar jak najczęściej robić z niego użytek.

– Cóż – powiedziała starając się, aby zabrzmiało to nieco kokieteryjnie – nie wątpię, że są to mądre przepisy, ale cieszę się, że uznałeś, że możemy je trochę nagiąć.

Robbins rozłożył ręce.

– Mój terapeuta twierdzi, że powinienem częściej wychodzić do ludzi.

Joyce była rozczarowana. On chodzi do psychoterapeuty! Kolejny nieudacznik, kolejna rozbita osobowość, kolejny facet, któremu odbija po czterdziestce... To by potwierdzało pewną teorię, którą kiedyś usłyszała, że

odtąd będzie trafiać wyłącznie na facetów, z którymi coś jest nie tak. Podobnie jak z nią, oczywiście.

– Aha – odparła, lecz nie potrafiła przywołać na twarz kolejnego uśmiechu.

– Uważa, że za dużo pracuję. To prawda. **FBI** to całe moje życie. Ja nie mam rodziny, Joyce. Przyjaciół w zasadzie też nie. Jedynie kolegów, a wszyscy są tak samo przepracowani. Bez przerwy ten jedenasty września – jesteśmy tym przytłoczeni. Aresztowaliśmy tysiące Arabów, a nawet nie umiemy poprawnie wymówić ich nazwisk. Mamy wielomiesięczne opóźnienia w tłumaczeniach przechwyconej korespondencji, połowa już przetłumaczonej nie ma sensu. Przynoszę do domu dokumenty, których nie wolno wynosić poza budynek Biura, wpatruję się w nie godzinami i usiłuję cokolwiek wyczytać. Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko i bez sensu tracimy czas – wyznał. – No i dlatego wpadłem w depresję i musiałem iść do terapeuty. Radzi, żebym częściej spotykał się z ludźmi. On też pracuje u nas.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Joyce. – Dla mnie kilka ostatnich miesięcy też było bardzo stresujące. Właściwie lat...

– Najgorsze są te przesłuchania – przerwał jej szeptem. – Przetrzymujemy masę ludzi, nie tylko tych w aresztach cywilnych, ale także więźniów CIA i wojska. Na zdrowy rozum można założyć, że co najmniej jeden z nich wie, gdzie się ukrywa bin Laden. No więc bierzemy tych gości i pytamy: „Wiesz, gdzie się ukrywa bin Laden?”. Tak po prostu. Tyle że to wcale takie proste nie jest. Na przykład, musisz to pytanie powtarzać wielokrotnie, za każdym razem innym tonem, w różnych sytuacjach i miejscach. Musisz wziąć i złamać takiego faceta. Rozumiesz?

Ciemne oczy Nathana płonęły. Siedział zgarbiony nad szklanką i patrzył na Joyce jakby z wnętrza studni. Bała się tego spojrzenia i opowieści o terrorystach, a jednocześnie ją to podniecało. Lekko skinęła głową.

– A kluczem do złamania człowieka – ciągnął – jest danie mu do zrozumienia, że masz pełną kontrolę nad jego życiem. Bierzesz więc takiego delikwenta i wprowadzasz go w błąd co do daty i pory dnia. Zakłócasz mu rytm snu, jedzenia, załatwiania potrzeb fizjologicznych. Także modlitw, więc nie pamięta, czy przed chwilą odmówił modlitwę południową, czy też czas na poranną. To zajmuje kilka tygodni. Po jakimś czasie facet przestaje się orientować, jaka jest pora roku, a nawet który to rok, i musi polegać tylko na tym, co ty mu powiesz. Najpierw stajesz się dla niego matką i ojcem, a później bogiem.

–I to skutkuje?

– Oczywiście, że nie. To kompletny idiotyzm.

– Nie wiecie, gdzie jest bin Laden?

Nathan zaśmiał się smutno.

– Tego nikt nie wie. Zaczynam wątpić, czy on kiedykolwiek istniał. Mamy więźniów, którzy twierdzą, że nie. Zaklinają się na swoje matki, ojców, synów i córki. Przysięgają, że własnoręcznie sobie oczy wydłubią, jeśli okaże się, że kłamią. W którymś momencie zaczynasz im wierzyć...

– Ale przecież pokazywali go w telewizji!

– Jasne – odparł Nathan, nieprzekonany. – Jest taki jeden więzień, którego przesłuchuję od wielu tygodni. Czy nawet miesięcy, straciłem rachubę. Mamy do dyspozycji szesnaście zatwierdzonych przez Departament Sprawiedliwości technik przesłuchań. Wypróbowałem wszystkie. I wiesz co? On nie jest żadnym terrorystą, nie ma z tym nic

wspólnego, choćby nawet naruszył wszystkie przepisy imigracyjne, obowiązujące stąd do Księżyca. Ale znaleźliśmy w jego taksówce kamerę wideo, a na niej ujęcia Mostu Brooklyńskiego, Tunelu Lincolna, dworca Grand Central... Mimo to wiemy, że nie jest terrorystą. To jakiś biedaczyna z Jemenu, który przyjechał do Nowego Jorku, żeby jeździć taksówką. Marzył o tym. Nic więcej nie chciał od życia. W Jemenie studiował Koran i mapy, żeby wiedzieć, jak w godzinach szczytu dojechać na La Gardię. To miły, spokojny człowieczek, głupi jak but. Ale kiedy mówię, że to wszystko wiem, to tak naprawdę nie wiem, mnie się tylko wydaje, że wiem. Być może on mnie robi w konia, manipuluje mną swoimi szesnastoma technikami stawiania oporu, zatwierdzonymi przez al Kaidę. Może ja jestem tak samo przekonany o jego niewinności jak on o tym, że jest siódma rano?

– Nie rozumiem. Chcesz go zwolnić? Możesz to zrobić? Pochylił się nad swoją whisky i zniżając głos do szeptu powiedział:

– Wydaje mi się, że mam nad nim kontrolę. Reguluję prawie wszystkie aspekty jego istnienia: sen, jedzenie, płacz. A on wie, że całe jego życie kręci się wokół mnie. A jednak to ja myślę o nim dniami i nocami, nie mogę przez niego spać ani jeść. I on prawdopodobnie jest tego świadomy. Myślę, że go kontroluję, ale on może chcieć, żebym tak myślał. Joyce, ja się boję, że to on mnie może złamać. Ilekroć znajdę się z nim sam na sam w sali przesłuchań, to jest tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. On siedzi po jednej stronie stolika, ja po drugiej i wcale nie jest oczywiste, który z nas jest więźniem.

Joyce znowu się uśmiechnęła.

– Nathan, nie wiem, co powiedzieć. Ale cieszę się, że mi ufasz na tyle, że zdobyłeś się na takie wyznanie.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Nie jesteś pierwszą osobą, której to mówię. Wszystkim już powiedziałem: staruszce, która mieszka po sąsiedzku, właścicielowi pralni, dostawcy z chińskiej knajpy. Znajdź mi więcej słuchaczy. Muszę o tym mówić, muszę sobie udowodnić, że poza pokojem przesłuchań i Biurem istnieje jeszcze jakiś inny świat. Coś ważniejszego niż tylko ja i ten człowiek.

Po tamtym spotkaniu widywali się jeszcze od czasu do czasu, zwykle w jakimś barze lub restauracji (tylko raz za jej namową poszli do Muzeum Guggenheima, gdzie Nathan przez dziesięć minut gapił się na obraz Marka Rothko, po czym stwierdził: „Skąd wiadomo, że to nie jest jedno wielkie oszustwo?”), ale nie zaiskrzyło między nimi na tyle, żeby Joyce nie czuła się skrepowana, gdyby Nathan, na przykład, chciał ją pocałować na powitanie lub pożegnanie, czego zresztą nigdy nie zrobił. Dalej opowiadał o FBI, prawdopodobnie przekraczając granice regulaminu Biura, a na pewno granice zainteresowania Joyce. Kiedyś, gdy przyszła do baru spóźniona o kilka minut, zastała go pochylonego nad kontuarem i tłumaczącego barmanowi: „Im mniej wiedzą, tym trudniej jest ich złamać”. Barman usiłował przygotowywać drinki dla innych klientów. Joyce doszła do wniosku, że Nathan działa jej na nerwy.

Tej zimy dyplomaci się naradzali, armia się mobilizowała, a okręty wojenne płynęły do swoich tajnych baz. Nad Teksasem rozbił się prom kosmiczny. Świat przygotowywał się na nadejście czegoś ważnego. Joyce dostała telefon od swojej prawniczki, która poinformowała ją, że podczas najbliższej rozprawy, na razie ustalonej na marzec, wszystkie niezłatwione dotąd kwestie zostaną rozstrzygnięte na jej korzyść. Była tak ucieszona, że

niemal ćwierkała do słuchawki. „Wreszcie odzyskasz swoją sypialnię!”. Joyce nie rozumiała skąd u niej taka pewność, ale w tamtym okresie z chęcią witała wszelkie przejawy optymizmu.

W mediach panowało poruszenie. Goście w telewizyjnych studiach dyskutowali o niezbitych dowodach, które uzasadniają konieczność podjęcia interwencji w Iraku. Joyce podziwiała ich pewność siebie. Wypowiadali się z powagą, używając prostych zdań oznajmujących, bez wahania czy dwuznaczności. Oni wiedzieli, bo byli od niej mądrzejsi albo nie mieli moralnych oporów. Albo po prostu mieli dostęp do danych wywiadu wojskowego. Skala ich pogardy dla wątpiących – nie wierzy pan, że Husajn dysponuje bronią masowego rażenia? Pana zdaniem Husajn nie jest powiązany z al Kaidą? – sama w sobie stanowiła prowojenny argument. Joyce była bardzo przejęta, mogąc choćby za pośrednictwem telewizji zetknąć się z osobami, które cechuje tak dogłębne przeświadczenie o słuszności swoich poczynań. Pamiętała czasy, kiedy Marshall taki był. Ambitny młody człowiek o jasno określonych przekonaniach. Ilekroć wypowiadał jakąś opinię, czy to polityczną, czy w kwestiach moralnych lub choćby o tym, jak sobie wyobraża ich wspólne życie, Joyce aż przebiegał dreszcz. A później z upływem czasu jego przekonania stały się złe, niebezpieczne, niczym zrodzone w umyśle szaleńca.

Colin Powell przyniósł na posiedzenie Rady Bezpieczeństwa satelitarne zdjęcia obiektów, w których ponoć przechowuje się zakazaną broń oraz zapisy przechwyconych rozmów między irackimi oficerami w sprawie ukrycia tej że broni przed inspektorami ONZ. Wielka Brytania opublikowała raport z ostrzeżeniem, że armia iracka jest w stanie wystrzelić rakiety z bronią biologiczną lub chemiczną w czterdzieści minut od wydania

rozkazu przez Saddama Husajna. Tony Blair powiedział: „Naszym służbom wywiadowczym udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, że Saddam Husajn nie zaprzestał produkcji broni chemicznej i biologicznej, kontynuuje prace nad stworzeniem broni nuklearnej i rozwija program budowy pocisków balistycznych dalekiego zasięgu”. Hillary Clinton przyznała, że Husajn „udzielał poparcia i schronienia terrorystom, w tym członkom al Kaidy”. David Letterman skarżył się: „Nawet po wystąpieniu Powella Francja zażądała więcej dowodów. Ostatnim razem, gdy chciała więcej dowodów, przemaszerowały one przez Paryż, wymachując niemiecką flagą”.

Różne mądre głowy, których Joyce nie znała, ale słyszała, że cieszą się poważaniem, w tym zdeklarowani liberałowie i byli członkowie administracji Clintona, opowiadali się za wojną, która przerwie okrutną dyktaturę, zlikwiduje analfabetyzm i ubóstwo dotykające ludność na Bliskim Wschodzie. Rozszerzenie demokracji miałyby być jedyną drogą do zatrzymania konfliktu między islamem a Zachodem, zanim z tego pierwszego narodzi się terroryzm znacznie większy niż ten, który dał o sobie znać 11 września. Leon Wieseltier w swoim artykule w „New Republic”

(Joyce pierwszy raz czytała tę gazetę; nigdy wcześniej nie kupowała czasopism politycznych, ale chciała poznać różne opinie) zadał pytanie: „Jak liberał czy ktokolwiek, komu bliskie są ideały humanizmu, może nie chcieć być częścią »koalicji chętnych«?”

Cała argumentacja zwolenników interwencji była dość wątpliwa – po co laicki reżim miałby się bratać z nieprzewidywalnymi fanatykami religijnymi? Czy mamy na tyle wojska, żeby okupować 25–milionowe państwo w rejonie świata tak nam nieprzychylnym z racji różnic

kulturowych, religijnych i historycznych? Czy kraje o ustrojach lepiej odzwierciedlających pragnienia swych obywateli nie staną się jeszcze bardziej antyamerykańskie? A jednak te argumenty obowiązywały nadal, a przerażające wizje możliwych scenariuszy kładły się cieniem na wszystkim, w co człowiek wierzył i o czym marzył. Broń chemiczna, bomba atomowa ukryta w walizce, wirus ospy, wirus Ebola, coś, czego jeszcze nie nazwano... A jeżeli Bush ma rację?

W ten piątkowy wieczór Marshall miał wielką ochotę na drinka, konkretnie martini z wódką, lecz z chwilą, gdy przekroczył próg pierwszej napotkanej knajpy przy Atlantic Avenue, stwierdził, że w tym miejscu na martini raczej liczyć nie można. Drzwi zatrzasnęły się za nim, zostawiając go w pomieszczeniu wypełnionym dymem papierosowym i ogłuszającym łomotem ciężkiego rocka. Podeszedł jednak do baru i zamówił szklaneczkę whisky.

Większość męskiej części klienteli była ubrana w dżinsy i sportowe koszule albo T-shirty. Kobiety także były w dżinsach, ale zaczynały się one dużo poniżej pępka, za to ich bluzki kończyły się sporo powyżej. W pępkach połyskiwały kolczyki. Marshall był za stary na ten lokal, ale czuł się wykończony po ciężkim tygodniu pracy (niedawno został zatrudniony w Podmiocie Gospodarczym Znanym Niegdyś Jako LuQre, żeby uporządkował ich pogmatwane interesy z pozostałościami jego byłej firmy), a poza tym na zewnątrz było zimno. Zmrużył oczy i się rozejrzał. Zauważył sporo atrakcyjnych, świetnie się bawiących kobiet, w większości dwudziestoparoletnich.

Od roku nie był w barze. Ostatni raz wybrał się na drinka z Lindą i Rogerem, jeszcze zanim oboje w tajemniczy sposób zapadli się pod ziemię,

urywając wszelkie kontakty. Przestali odpowiadać na jego telefony. Podobno się rozeszli. Wszyscy się rozchodzą. To jest jak wirus, jeszcze jedna choroba przenoszona drogą płciową.

Spojrzał na telewizor wiszący w głębi sali. Ekran był podzielony na kolorowe migoczące obrazki, których nie umiał z daleka rozpoznać i napisy, których nie potrafił odczytać. Sączył whisky w jego migotliwym blasku. Od czasu do czasu wydawało mu się, że dostrzega znajomy widok: startujące myśliwce, młodych Arabów stłoczonych na zakurzonej ulicy, żołnierzy wyskakujących z hummera, atrakcyjną prezenterkę wiadomości, amerykańską flagę powiewającą w zwolnionym tempie – ale nie mógł skojarzyć, co one znaczą. Było mu z tym dobrze. Cieszył się, że może się wyłączyć.

Chwila błędnego zamyślenia trwała może dwie minuty.

– Walcie się na ryj, pieprzone kutasy!

Te mocne słowa pochodziły z ust siedzącego dwa stołki dalej dobrze zbudowanego mężczyzny o długich szpakowatych włosach, przylepionych do skroni. Był dość mocno wstawiony. Marshall wcześniej go nie zauważył, nie zastanowiło go też, dlaczego oba miejsca obok niego są wolne. Nie wiadomo, co sprowokowało tego człowieka. Głosy w głębi sali na moment ucichły i rozległy się pojedyncze chichoty. Mężczyzna znów krzyknął w stronę telewizora:

– Co wy możecie wiedzieć, żałosne sukinsyny! Marshall próbował niepostrzeżenie odsunąć swój stołek

o parę centymetrów, ale najwyraźniej zrobił to zbyt głośno. Mężczyzna odwrócił się.

– Masz jakiś problem?

Marshall wykrzywił twarz w możliwie najbardziej rozbijającym uśmiechu i unosząc ręce odparł:

– Nie, nie. Absolutnie wszystko w porządku.

– Wspierasz naszych żołnierzy?

Ludzie zaczęli ich z ciekawością obserwować. Marshall rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby się przenieść ze swoją whisky. Wszystkie stoliki były zajęte. Spróbował wzrokiem przywołać na pomoc barmana, ale tamten stał przy drugim końcu kontuaru i w pośpiechu wypalał papierosa. Był chyba jedyną osobą, która nie zauważyła tego incydentu.

– Jasne. Wprawdzie co do wojny nie jestem przekonany, ale...

– Chrzanisz. Tak samo, jak wszyscy w tym pieprzonym kraju. Jeżeli mówisz, że popierasz wojsko, musisz też popierać ich misję. Inaczej to tylko puste obietnice. Dajesz do zrozumienia, że ich ofiara nic nie znaczy. Nasi chłopcy służą naszemu narodowi i na tę wojnę idziemy jako naród. Ci, którzy się jej sprzeciwiają, sprzeciwiają się ludziom, którzy w niej walczą. Nie może być inaczej. – Pokręcił głową z goryczą. – Zawsze to samo. Poświęcamy życie i zdrowie, tracimy najlepszych kumpli. Potem wracamy, a wy plujecie nam w twarz. – Opróżnił szklanekę i zbliżył się do Marshalla. – Nigdy nie byłeś na wojnie, co?

– Nie – odparł przepaszająco Marshall. – Ale rozumiem, że pan był.

– Ano, byłem – splunął na podłogę. – Pierwszy Batalion Siedemdziesiątego Piątego Pułku Komandosów.

Marshall starał się zabrzmieć jak poprawny demokrat.

– Doceniam waszą służbę i jestem z was dumny. A co, był pan w Wietnamie?

– W Grenadzie.

Marshall już miał parsknąć śmiechem, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Facet to zauważył i zamachnął się na niego.

Cios nie dotarł do celu, ale Marshall robiąc unik, spadł ze stołka i legł jak długi na podłodze. Potem stołek przewrócił się na niego. Ludzie rozpierzchli się na boki. Wyglądało to dosyć dramatycznie i komicznie zarazem. Powinien był jednak trzymać się swojej dzielnicy. Leżąc zobaczył, jak weteran zostaje wyprowadzony z lokalu.

Czyjeś ręce podniosły go z podłogi, inne otrzepały go z kurzu. Ktoś poklepał go po plecach, gdy już było wiadomo, że nic mu nie jest. Stołek wrócił na miejsce. Ludzie się śmiali. Cała knajpa żyła tym zajściem. Widocznie ten facet jest tu znany z tego, że wszczyna bójki. Przy Marshallu wyrosła kolejna szklanka whisky. Przez chwilę był w centrum uwagi. Niektórzy serdecznie pogratulowali mu upadku. Odpowiedział uśmiechem i wychylił szklankę. Również kobiety pojawiły się u jego boku, zaniepokojone, czy nic mu się nie stało. Były to dwie szczupłe dziewczyny w dżinsach i pastelowych obcisłych koszulkach. Czym prędzej się przedstawił.

Po chwili klienci baru wrócili do swoich stolików, ale panie zostały. Zachęcony, że udało mu się ująć cało ze starcia z weteranem wojennym, Marshall postanowił działać spontanicznie. Postawił kolejkę obu paniom oraz ich koleżance, która akurat stała odwrócona plecami, rozmawiając z kimś przy barze. Kiedy barman przygotował drinki, wzięła od niego szklankę i uśmiechnęła się. Marshalla aż ścisnęło w żołądku.

– Tata Victora! – zawołała.

Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Został przyłapany w podrzędnej knajpie przy Atlantic Avenue na bójce i kupowaniu alkoholu obcym kobietom.

– Panna Naomi... Witam.

Trudno było ją poznać. Nie przypominała tej dziewczyny, którą spotkał dziś rano, przywożąc synka do przedszkola. Oczy podkreśliła kredką, a usta pomalowała brązowo pomarańczową szminką. Na sobie miała plisowaną spódnicę, a sportowe buty zamieniła na wysokie kozaki. Jedynym elementem, który się nie zmienił, był obcisły różowy top. Wyjaśniła przyjaciółkom, Dorze i Alicii, że Marshall jest ojcem jednego z jej wychowanków i przeżył zamach w World Trade Center. Alicia aż zakryła usta z wrażenia, więc Marshall szybciotko dodał:

– Ale nic mi się nie stało. Uciekłem.

– Wszystko jedno – powiedziała Alicia. – To chyba musiał być najgorszy moment w pana życiu.

– Raczej tak. – Nie chciał zaprzeczać. Nie przy tej ilości współczucia, jaka się malowała na jej twarzy. Zamilkł, żeby się przez chwilę ponapawać urodą tych trzech młodych kobiet. Twarz Alicii błyszczała rumieńcem, a jej usta były pełne i wilgotne. Gęste czarne loki Dory opadały seksownie na jej ramiona. Wszystkie kobiety miały na sobie obcisłe bluzki. Marshall powoli odliczył sześć piersi. Uniósł szklanke, a panie zaproponowały, aby wypić za jego wizytę w tym barze.

– Kto wie – powiedział. – Może dzisiejszy wieczór okaże się najlepszym w moim życiu.

– Jak pan w ogóle trafił w to miejsce? – zapytała Dora.

– Przechodziłem tędy i naszała mnie ochota na drinka.

Kobiety patrzyły na niego, oczekując dalszych wyjaśnień. Miały szeroko otwarte oczy, jakby chciały go całego ogarnąć.

– Świeciło się w środku, usłyszałem muzykę, no to chciałem się przyłączyć. Noc zimna, a i tak nie mam nic do roboty – wyznał. Przez chwilę wydawało mu się, że mógłby tak się zwierzać bez końca, opowiedzieć, jaki jest biedny, samotny i nieszczęśliwy. Ciekawe, czy by się nad nim użaliły. Może chciałyby go przytulić? Czy ma im opowiedzieć, co się z nim działo 11 września?

– Jaka szkoda, że zaraz musimy wychodzić – powiedziała panna Naomi.

Marshall dzielnie się uśmiechnął. Dziewczyny ledwo tknęły drinki, które im postawił.

– Wybieramy się w jeszcze jedno miejsce. Jesteśmy zaproszone na imprezę – dodała i spojrzała na koleżanki. Dora uśmiechnęła się niepewnie. Panna Naomi wzruszyła ramionami. – Jeżeli ma pan ochotę...

– Jasne! – Marshall nie krył podniecenia. – To znaczy, jeśli to nie będzie jakiś problem. W zasadzie nie jestem odpowiednio ubrany...

– Z tym że to jest aż w Nassau. Ale mamy samochody, może pan jechać ze mną.

W ciągu kilku minut, niecałe pół godziny po tym, jak ktoś próbował go pobić, Marshall znalazł się sam na sam z panną Naomi, zatopiony w wygodnym fotelu zdezelowanego sportowego wozu.

– To auto mojego chłopaka – powiedziała, a właściwie prawie zaśpiewała. – On też tam będzie.

Marshall poczuł się zawiedziony. Ale tylko przez chwilę. Chłopak był abstrakcją, daleką przeszkodą, a pannę Naomi miał tuż obok siebie, na

wyciągnięcie ręki. Jej przesiąknięty dżinem oddech mieszał się z jego oddechem. Dłoń pewnie spoczywała na gałce zmiany biegów. Świat na zewnątrz wydawał mu się tak odległy jak inna planeta.

Panna Naomi prowadziła agresywnie, wrzucała biegi ze zgrzytem, lawirując między samochodami. Była wstawiona. Podobało mu się to. Wsunęła do odtwarzacza kasetę, wczesne utwory Courtney Love. Cały czas miała szeroko otwarte oczy, widać było, jak szkła kontaktowe drgają w świetle reflektorów aut jadących z przeciwka. Chętnie by się odezwał, powiedział coś zabawnego, może nawet próbowałby ją poderwać, ale muzyka, ryk silnika i uliczny hałas to było zbyt wiele dla jego uszu. Więc tylko się uśmiechnął, a ona odpowiedziała mu tym samym. To także mu się spodobało. Rano, gdy przyprowadził Victora do sali, klęczała akurat na podłodze, upychając jakieś poduszki w szafce. Podniosła wzrok i spojrzała na niego z sympatią. Nawet się lekko zarumieniła.

Zaraz za granicą okręgu Nassau wjechali w rejon małych, parterowych centrów handlowych i pojedynczych sklepików z zakratowanymi witrynami. Ulice były skąpo oświetlone, na rogach wystawiali zakapturzeni młodzieńcy. Marshall starał się nie patrzeć w ich stronę. Zamiast czym prędzej uciekać z tej paskudnej dzielnicy płonących śmietników i dziurawych, obsypanych potłuczonym szkłem podwórek, panna Naomi skrzyła w wąską boczną uliczkę zabudowaną niedużymi domami. Widać było, że zna to miejsce. Zatrzymali się mniej więcej w połowie ulicy przed prostym, dwupiętrowym domem jednorodzinny. Nie było tam nawet podjazdu, tylko kawałek zaniedbanego trawnika. W środku świeciło się światło. Kiedy zbliżali się ścieżką do wejścia, Marshall usłyszał muzykę. Zastanawiał się co na to sąsiedzi.

– Czyj to dom?

– Niczyj. Znajoma Dory pracuje w agencji nieruchomości.

Po otwarciu drzwi zaatakowała ich ściana dźwięku i chmura papierosowego dymu. Z wonią tytoniu sąsiadował delikatny zapach marihuany. Marshall był zachwycony. Ostatni raz był na takiej imprezie jeszcze przed ślubem. W środku znajdowało się już kilkanaście osób, niektóre uśmiechnęły się szeroko na widok panny Naomi. Na Marshalla nie zwrócili uwagi, ale i tak skinął głową na powitanie.

– On się trochę spóźni – powiedziała panna Naomi. Jakaś kobieta odciągnęła ją na bok i powiedziała jej do ucha coś bardzo zabawnego i obscenicznego zarazem, wywołując chichot i rumieniec podniecenia na twarzy. Marshall złożył płaszcz i wsunął go do szafy w przedpokoju. Nie znalazł żadnego wieszaka. Potem podszedł do stołu z napojami i nalał sobie wódki aż po sam brzeg plastikowego kubeczka. Na środku salonu tańczyła samotnie kobieta. Miała opuszczoną głowę i zarzucała długimi, brązowymi włosami.

Marshall wycofał się pod ścianę. Pokój urządzone w neutralnym stylu; dom prawdopodobnie przeznaczony był na wynajem. Dostrzegł kilku innych mężczyzn, którzy też stali sami z rękami w kieszeniach. W większości byli od niego młodsi, solidniej zbudowani, niektórzy już z okazałymi brzuskami. Zwyczajni faceci, którzy pewnie na co dzień pracują w jakiejś ciepłowni albo na budowie. Marshall jako jedyny w tym towarzystwie miał na sobie spodnie od garnituru. Jeden kąt pokoju okupowało dwóch facetów i dziewczyna, którzy siedzieli oparci o ścianę i pochylali się nad jointem.

Marshall wyczuł, że przyszedł za wcześnie, właściwa impreza jeszcze się nie zaczęła. Starał się nie oddalać zbyt daleko od stolika z alkoholem. Gdy wódka pozwoliła mu wystarczająco odciąć się od otoczenia, stwierdził, że

żadna z kobiet nie dorównuje urodą pannie Naomi. Niektóre mimo panującej na zewnątrz pogody miały na sobie tylko rybaczki i koszulki bez rękawów. Czy one też pracują w przedszkolu? U kilku zauważył wytatuowane motylki u nasady pleców, a jednej spod bluzki wypełzał wąż, odsłaniając jadowite zęby. Marshall uśmiechnął się do niej. Chyba go nawet nie zauważyła.

Ruszył w stronę panny Naomi, która już się odwracała, żeby coś powiedzieć, gdy nagle się zatrzymała. Otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki i smukły mężczyzna z zapadniętymi policzkami. Rozległy się radosne okrzyki: „Nick! Nicko!” Zupełnie, jakby wszyscy czekali tylko na niego. Nick pozostał w ciemnych okularach i skórzanej kurtce i z przedpokoju ostrożnie lustrował otoczenie. Zmierzył też wzrokiem pannę Naomi, która stała przed nim i cierpliwie się temu poddawała. Potem wymamrotał coś niezrozumiałego, jego głos zabrzmiał jak dalekie dudnienie. Panna Naomi nadstawiła ucha. Marshall stał w miejscu, nie wiedząc, czy powinien się odsunąć od tej poufnej rozmowy. Gdy panna Naomi w końcu zauważyła jego obecność, bąknęła:

– To jest ojciec Victora.

Nick skinął głową. Z kącika ust zwisał mu papieros.

– Możesz mi mówić Marshall. – Nick nie zareagował, więc Marshall, aby wypełnić ciszę, dodał: – Świetna impreza.

Nick nadal tylko patrzył. Marshall zaczął się nerwowo uśmiechać. Panna Naomi nie odrywała wzroku od ogorzałej twarzy swego chłopaka, czekając, co odpowie. W końcu się odezwał:

– Tak uważasz?

Marshall spojrzął na zegarek: wpół do dwunastej.

– Zawsze to lepsze niż „Nightline”*.

Nick się zaśmiał. Ten swobodny, niewymuszony śmiech z miejsca rozjaśnił całe jego oblicze, wypełnił bruzdy na policzkach, natychmiast uwidocznił się w oczach i sprawił, że twarz tego mężczyzny stała się nagle uderzająco przystojna. Panna Naomi uśmiechnęła się do Marshalla, wdzięczna za tę transformację. Nick wyciągnął dłoń i ścisnął Marshalla za ramię. Marshall też się roześmiał, czując ciepło rozlewające się po ręce. Nick znów spojrzał na gości i zde gustowana mina powróciła. Nagła fizyczna bliskość z tym człowiekiem pozwoliła Marshallowi dostrzec to samo co on: powściągliwość. Prawie nikt nie tańczył.

– Zaraz się rozkręci – mruknął przez zęby Nick i wyszedł z domu.

Ktoś zaśmiał się wulgarnie. Panna Naomi zachichotała.

– Nick pracuje w więziennictwie – powiedziała, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. Później wyjaśniło. Marshall dopił wódkę, chyba już drugą tego wieczoru. Ktoś podał mu do ręki tabletkę. Połknął ją i nalał sobie następnego drinka. W pokoju panowało teraz nerwowe poruszenie, a z głośników wieży zamiast dudniącego disco sączyły się jakieś smętne, nastrojowe dźwięki.

Przeszedłszy pomyślnie swego rodzaju test próbny, Marshall rozsiadł się swobodnie na kanapie obok jakiejś dziewczyny.

– Marshall jestem! – zagadnął. Dziewczyna odwróciła głowę, taksowała go wzrokiem przez chwilę, po czym wręczyła mu jointa. Zaciągnął się. Dym od razu uderzył mu do głowy. Dziewczyna się nie przedstawiła, a jeśli nawet, on tego nie słyszał. Oddał jej jointa i patrzył jak uroczo obejmuje wargami to samo miejsce, którego przed chwilą dotykały jego usta. Przypomniawszy sobie, że to Dora, jedna z koleżanek panny Naomi.

– Fajna imprezka! – powiedział, a ona tylko pokiwała głową.

Potem na chwilę urwał mu się film i nie pamiętał, jak znaleźli się na schodach. Gdy dotarli na półpiętro, Marshall zdał sobie sprawę, że cały czas się w nią wpatruje, nie wiedząc, czy może zaryzykować pocałunek – miała rumieńce, czarne loki zsunęły jej się na twarz – a potem stracił ją z oczu. Zaglądał przez uchylone drzwi do nieoświetlonych pomieszczeń. Siedzieli tam jacyś ludzie palący trawkę, jeden facet przylgnął plecami do ściany i robił przysiady, innego koledzy zanurzali w wannie i liczyli, ile sekund wytrzyma pod wodą. Dory nigdzie nie było. Może wcale nie wchodziła na górę?

Na dole otwały się drzwi i do domu wdarł się podmuch zimnego powietrza. Dotarł aż na piętro razem z kolejnymi okrzykami radości, uwalniając Marshalla, przynajmniej częściowo, z sennej otchłani, w którą zapadł. Znowu wywołano imię Nicka. Potem rozległ się czyjś szczekliwy śmiech, a po nim dziwny szmer: na parterze przekazywano sobie jakieś wieści. Marshall został chwilę na górze, ale nie widział tam dla siebie miejsca. Drzwi do jednej z sypialni były zamknięte. Szumiało mu w głowie. Nie wiedział, czy to skutek alkoholu, trawki czy tabletki. Powinien był chociaż spytać, co to jest.

Gdy zszedł na dół, mocno przytrzymując się poręczy, z głośników znów płynęła muzyka taneczna, tym razem znacznie głośniejsza, a salon wydawał się bardziej zatłoczony. Nick stał przy stole z alkoholem i luźno obejmował w pasie pannę Naomi, która z zamkniętymi oczami wtulała się w jego ramię. Przyglądał się bawiącym zza ciemnych okularów. Nie uśmiechał się. Marshall starał się ustalić, co się zmieniło i zauważył, że przybyli nowi goście: dwie czarnoskóre kobiety, które z drinkami w dłoniach wyciągały co

śmielsze osoby na parkiet, w tym kilku facetów. Do tej pory w domu byli sami biali. Jedna z nich miała na sobie króciutkie czerwone szorty i luźną srebrzystą bluzkę bez pleców, która przy każdym ruchu wywoływała gwizdy i okrzyki uznania. Marshall dostrzegł jeszcze jedną osobę, ciemnoskórego młodego mężczyznę w bluzie z kapturem nasuniętym na głowę. Trzymał się z boku i nic nie pił.

Impreza nabrała rumieńców. Na parkiecie wreszcie pojawiły się pary. Jakiś facet dorwał jedną z Murzynek i tańczyli naprzeciwko siebie, potrząsając ramionami. Nick musiał je zwerbować gdzieś w tej okolicy. Pewnie zgodziły się wziąć mniej niż takie z profesjonalnej agencji towarzyskiej.

W ręce Marshalla trafił kolejny joint. Nie wiedział od kogo. Poszedł z nim na kanapę z zamiarem wypalenia do końca. Krępowała go obecność prostytutek – wciąż czuł się za stary na to towarzystwo – ale teraz, w tych wczesnych godzinach rannych, impreza osiągnęła punkt przełomowy. Alicia rozpięła bluzkę, ukazując czerwony koronkowy biustonosz i wczuwając się w muzykę, zaczęła odstawiać erotyczny taniec, sugestywnie poruszając biodrami. Przy tym obracała się powoli i z każdym obrotem zwracała się twarzą ku Marshallowi. Wpatrywał się w nią, próbując zatrzymać wzrokiem w tej pozycji. Ludzie całowali się po kątach, a jedna z Murzynek oddaliła się z kimś do łazienki. Będą tam uprawiać seks. Marshall też chciałby się kochać w łazience. Czuł, jak unosi go olbrzymia fala radosnego oczekiwania.

Chłopak w kapturze też palił jointa. Stał pod ścianą i przyglądał się towarzystwu. Widać było tylko żarzący się punkcik. Alicia rozebrała się do majtek. To były różowe szorty z nadrukiem w obcym języku – litery

zakrzywione jak bułaty i duże kropki. Marshall był ciekaw, czy ten taniec miał być przeznaczony specjalnie dla niego. Wizualnie to była uczta – dziewczyna miała smukłe nogi i jędrne pośladki, seksownie podkreślone bielizną – ale wiedział, że w tej chwili nie byłby w stanie ruszyć się z kanapy.

Musiał się chwilę zdrzemnąć, bo nie widział, jak czarny chłopak zdjął bluzę, ukazując głowę ciasno oplecioną warkoczykami. Miał teraz na sobie tylko biały T-shirt i wykonywał niezdarne wygibasy z panną Naomi pod bacznym okiem Nicka, który stał obok z założonymi rękami. Panna

Naomi śmiała się, pozwalała prowadzić, kręciła piruety. W pewnym momencie partner chwycił ją wpół i wygiął do tyłu, tak że zamiatała włosami podłogę. Gdy się podnieśli, zbliżyła się do nich Alicia w nadziei, że uda jej się przyłączyć. Nick podszedł i szepnął coś chłopakowi do ucha. Ten machnął na niego ręką.

Następna dziewczyna zdjęła buty i rozebrała się do dżinsów i biustonosza. Ta była przy kości i w jej ruchach niewiele było gracji, ledwo nadażać za muzyką. Na dodatek miała chorobliwie pryszczatą twarz. Dwaj mężczyźni obstawieni butelkami z piwem wykrzykiwali pod jej adresem sprośne komentarze, więc się odwróciła i zatrzęsła biustem w ich stronę.

– No, zdejmuj – powiedział Nick. Marshall zorientował się, że powtarza to już drugi albo trzeci raz, ale tym razem żądanie było bardzo natarczywe.

W pierwszej chwili sądził, że Nick zwraca się do grubej dziewczyny, tak jak tamci krzykacze, ale nie. Wyraźnie patrzył na pannę Naomi i jej partnera. Marshall poczuł łomotanie w piersi. Panna Naomi wciąż miała na sobie ten obcisły różowy top, pod którym rysowały się zgrabne, okrągłe

piersi. Naprężone sutki przebijały przez tkaninę. Ale Nick ruchem głowy wskazał na T-shirt chłopaka.

– Nie tutaj – powiedział tamten.

– Owszem, tutaj. Dwie stówy.

Chłopak skrzywił się i mruknął: „Twoja impreza”, po czym zdjął koszulkę. Okazało się, że to jeszcze dzieciak, czternasto– może piętnastoletni. Albo nawet młodszy. Delikatny i szczupły, pozbawiony owłosienia na piersiach, z żebrami sterczącymi ponad zapadniętym brzuchem. Tylko ramiona miał w miarę umięśnione. Gdy się rozebrał, ukazując gładkie, lśniące ciało, gwar w pomieszczeniu ucichł jak nożem uciął.

Nick dał mu znak, że ma tańczyć dalej. Chłopak na nikogo nie patrzył. Jego ruchy były atletyczne, kanciaste. Oczy wszystkich były teraz zwrócone tylko na niego. Kobiety przestały tańczyć, a panna Naomi wycofała się na bok. Wyglądała na zaskoczoną, jakby nie wiedziała, co się dzieje. Nick pokazał ręką na workowate spodnie chłopca. Ten pokręcił głową, lecz bunt nie trwał długo. Zrzucił adidas i zsunął spodnie. Został tylko w białych slipkach. Nick nagle wyszczerzył zęby i rozejrzał się po twarzach gości, sprawdzając, jakie wrażenie robi na nich ten spektakl. Marshall wyczuł w tym spojrzeniu pogardę – dla nich, dla niego i dla przyjemności, jaką sprawia im ta zabawa.

–Gacie też.

Chłopak znowu zaprotestował, ale Nick zniżając głos, powtórzył polecenie. Takie głosy słyszy się czasem w koszmarach. Chłopak po chwili zrobił, co mu kazano. Zdejmując slipy, o mało się nie przewrócił, co oczywiście wywołało falę rechotów. Stał teraz kompletnie nagi na środku

pokoju, otoczony przez samych białych ludzi. Marshall nie cierpiał oglądać rozebranych mężczyzn, czy to na siłowni, czy na filmach, ale teraz był na tyle zamroczony, że pozwolił sobie nawet na odrobinę fascynacji. Ciało chłopca było smukłe i jędrne, bez jednej skazy. Wyglądał jak posąg. Miał zacięty, wojowniczy wyraz twarzy, co nieco kontrastowało z widokiem, jaki prezentowało jego przyrodzenie: jądra mu się skurczyły, a nieobrzezany penis zwisał smętnie jak mały zakapturzony robaczek. Nick też zwrócił na to uwagę.

– Ty to nazywasz kutasem? – zadrwił i zwrócił się do panny Naomi: – Założę się, że wasze przedszkolaki mają większe.

Spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Nie mów tak, Nick.

– On jest nieśmiały – wtrąciła przeciągle jedna z prostytutek. – Jeszcze nigdy tego nie robił.

– Postaw go – rozkazał Nick.

Na twarzy chłopaka nadal malował się bunt, ale Marshall dojrzał przez jego szkliste oczy, jak jego świadomość wycofuje się w jakieś odległe i bezpieczne miejsce. Nie było po nim widać, czy usłyszał słowa Nicka ani czy zdaje sobie sprawę, że jego nagim ciałem wstrząsają dreszcze. Zdawał się nie oddychać.

– Pokaż nam, chłopaczku, z czego jesteś zbudowany. Tylko parę ruchów. Wiesz, jak to się robi, prawda?

Chłopak powoli zbliżył dłoń do penisa i wpatrując się w przestrzeń wykonał kilka niepewnych pociągnięć. Nic się nie stało. Nick podniósł zaciśniętą pięść i zamachał mu nią przed oczami.

– No, dalej!

Chłopak kontynuował pocieranie nieposłusznego narządu.

Nick skrzywił się z oburzeniem.

– Tyle tu pięknych kobiet, a ty nie potrafisz zrobić, żeby ci stanął? – Pokazał na Alicję. Bluzkę zapięła do połowy, ale nadal była w samych majtkach i w napięciu obserwowała całą sytuację. – Co ty, pedał jesteś?

Chłopak udawał, że nie słyszy, że jest całkowicie opanowany, mimo kłopotów z uzyskaniem erekcji. Pracował nad sobą, kołysząc się lekko na piętach. Miał duże stopy, znacznie bledsze od reszty ciała.

Jeden z mężczyzn podszedł z papierową torbą z Bloomingdale'a i nasunął ją chłopakowi na głowę. To znowu wzbudziło rechoty, a w głębi salonu ktoś wzniósł bojowy okrzyk.

– Naomi, co ty na to? – spytał Nick. .

Panna Naomi wykrzywiła usta, ale nawet nie drgnęła. Na jej czole pojawiły się drobne zmarszczki, jak gdyby próbowała rozwiązać zawiły problem matematyczny. W ciągu wieczoru blask w jej oczach przygasł, a po szmince nie został nawet ślad. Marshall zweryfikował swoje hipotezy co do jej wieku: mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

– Pomóż temu biedakowi.

Naomi spojrzała na Nicka, chcąc ocenić, na ile mówi poważnie. Wciąż ukrywał oczy za okularami, więc była zdana tylko na siebie. Marshall był ciekaw, czy ona jeszcze rozpoznaje pozostałych gości: twarze im błyszczały od potu, zniekształcone przez alkohol, narkotyki i dziką, prymitywną żądzę.

– Nie mów, że tego nigdy nie robiłaś.

Postąpiła krok w stronę chłopaka, a potem pół kroku w tył, cały czas nie patrząc na niego, tylko na Nicka. Stapała teraz po cienkiej linie. W jej oczach pojawiło się najpierw błaganie, a potem rezygnacja. Na gości nie

mogła liczyć, wszyscy stali w niecierpliwym oczekiwaniu. Chłopak puścił swój zwiotczały członek. Panna Naomi nachyliła się do niego, ale nie wyciągnęła ręki. Marshall widział wyraźnie, że oboje cali drżą.

Minuty mijały jedna za drugą, lecz Marshall, czarnoskóry chłopak i panna Naomi, z twarzą zaledwie kilka centymetrów od jego penisa, trwali nieruchomo w beczasowej przestrzeni. Panna Naomi cały czas oglądała się na Nicka. Marshall poczuł, jak z odmętów jego pijanej, naćpanej, zamroczonej świadomości wynurzają się słowa:

– Nick, ona nie ma na to ochoty.

Jego głos odbił się echem od ścian niczym huk wystrzału. Uczestnicy imprezy po raz pierwszy zwrócili na niego uwagę. Nick też na niego spojrzał. Marshall zobaczył w jego okularach swoje odbicie: małego człowieczka w mrocznym, zadymionym i obskurnym pomieszczeniu. Obrócił głowę i napotkał wzrok panny Naomi. Jej twarz wyrażała głęboką irytację. Nie, to był wyraz obrzydzenia.

Kiedy dotknęła dłonią penisa, chłopak się wzdrygnął, a papierowa torba na głowie zaszeleściła. Widzowie zareagowali gromkim śmiechem. Szczerym, niewymuszonym, takim, jaki można usłyszeć na placach zabaw. Chłopak zacisnął pięści. Panna Naomi podeszła do sprawy na chłodno i z dystansem. Uchwyciła czubek penisa w dwa palce i leciutko pociągnęła. Potem schowała całego w dłoni.

Te kilka słów sprzeciwu wypowiedziane przez Marshalla kosztowały go wiele energii i pozbawiły reszty złudzeń. Jakże naiwnym było sądzić, że to coś zmieni. Wyczuwał trwałą niechęć u reszty uczestników imprezy. Cóż on sobie ubzdurał? Że jest taki szlachetny? Megaloman. To był równie

idiotyczny gest, jak ten z 11 września, kiedy postanowił wrócić do budynku po Lloyda. Po co to zrobił? Co dobrego z tego przyszło? Tego też żałował.

Penis chłopaka zaczął twardnieć i nabrzmiwać, umożliwiając pannie Naomi wykonywanie coraz bardziej miarowych, regularnych posunięć. Zaczął stopniowo reagować, a każde drgnienie życia wywoływało aplauz publiczności. Chłopak stał w lekkim rozkroku z rękami założonymi do tyłu. Słysząc było jego ciężki oddech, a torba na głowie jeszcze wzmacniała dźwięk. Gdy panna Naomi uklękła, rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Chwyciła penisa, wsunęła go na moment do ust i wyjęła, mokrego i lśniącego. Podrażniła go czubkiem języka i znów włożyła do ust. Tym razem przetrzymała go tam dłużej, delikatnie okrążając językiem główkę. Teraz, kiedy go wysunęła, był już prawie w pełni naprężony. Marshall czuł, jak jego własny członek sztywnieje.

Ktoś za plecami błysnął fleszem. Kiedy sprawdzał obraz na wyświetlaczu, trzymał aparat kilka centymetrów od twarzy Marshalla. To był jeden z tych facetów, którzy chowali się po kątach. Ugiął kolana, żeby zrobić następne zdjęcie. Miał rozdziawione usta, a w kąciku lśniła kropla śliny. Marshall nawet nie musiał zaglądać w ekranik. Błysk lampy unieruchomił mu w oczach ten obraz: panna Naomi obejmująca ustami sztywnego penisa, który wypycha jej policzek od środka. Robiła to z otwartymi oczami i patrzyła prosto w obiektyw, doskonale wiedząc, co rejestruje.

Kiedy odsunęła się od chłopaka, jego członek dumnie sterczał ku górze. Na ten widok publiczność zaczęła bić brawo. Rozległy się śmiechy i wulgarne komentarze pod adresem chłopca, ironiczne gratulacje, tudzież

zdziwienie, że nie miał jeszcze wytrysku oraz pogardliwe uwagi co do rozmiarów jego przyrodzenia.

Panna Naomi też się śmiała, jednocześnie szukając wzrokiem okularów Nicka. Znalazła je i pokazując palcem na swoje dzieło, oznajmiła:

– Misja wykonana.

Ludzie zaczęli robić kolejne zdjęcia, towarzyszyły temu okrzyki, śmiechy i oślepiające błyski fleszy. Korzystając z okazji, Marshall odnalazł swój płaszcz, przygnieciony stertą innych okryć. Wyciągnął go, zostawiając szalik i rękawiczki, które gdzieś się zapodziały, pchnął drzwi i wyszedł na poranną szarugę niczym ze statku kosmicznego w przestrzeń międzygwiazdną. Poczł dojmujący chłód. Poczekał, aż przeniknie go na wskroś i dotrze do każdego pora skóry, dopiero wtedy założył płaszcz. Był trzeźwy jak nigdy dotąd. Latarnie świeciły na tle granatowego, zachmurzonego nieba. Głośnie wiwaty dobiegające z domu oznaczały, że wydarzyło się coś niebywałego, na co wszyscy z niecierpliwością czekali. Ostrożnie ruszył przed siebie połamanym chodnikiem, minął nieoświetlone domy i dotarł do szerokiej ulicy, pełnej nieczynnych od lat sklepów. Szedł wiele godzin. Wozy policyjne i inne samochody mijaly go bezgłośnie, lecz ani razu w tę niekończącą się noc nie natknął się na autobus czy tramwaj, który zawiózłby go do domu. O ile w ogóle było po co tam wracać.

Mimo że sprawa rozwodowa Joyce zbliżała się nareszcie do końca, był to czas, kiedy czulo się, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Pierwszy poranek lutego stał się świadkiem tragedii promu kosmicznego Columbia, ponieważ twardogłowi eksperci z NASA zlekceważyli ostrzeżenia, że powtarzające się uszkodzenia powłoki termicznej promu mogą zagrozić bezpieczeństwu lotu. Zły znak. Świat czekał w napięciu na rozpoczęcie

inwazji w Iraku, uprzedzony o jej skutkach. Joyce dostawała e–maile od koleżanek z Europy – eleganckich, wykształconych Belgijek, Holenderek i Włozek, które ilekroć odwiedzały Stany, zawsze przywoziły jej prezenty i zapraszały do siebie, kiedy będzie przebywała w Europie. Pytały: „Czy Ameryka oszalała? Tak łatwo dajecie się uwieść propagandzie? Czy ty też jak 69% waszych współobywateli wierzysz, że Saddam maczał palce w zamachach na WTC? Nie możecie jakoś zatrzymać tej maszyny wojennej?”

Zupełnie, jakby nie miały żadnych spraw do załatwienia, włosów do ufarbowania ani dzieci, które wyrosły z zimowych butów na miesiąc przed kolejną zimą, Europejki co weekend uczestniczyły w jakiejś demonstracji. Joyce widziała w telewizji te przelewające się tłumy na tle średniowiecznej architektury, która przetrwała wojnę i teraz w czasach pokoju cieszy się zasłużoną, dostatnią emeryturą jako atrakcja turystyczna. Joyce też zapragnęła móc powiedzieć o sobie, że jest zwolenniczką pokoju, kobietą, która potrafi zachowywać się rozsądnie, kulturalnie i ugodowo. Mimo że nigdy wcześniej nie angażowała się politycznie i nawet nie była przekonana, że ta wojna o rozbrojenie Husajna jest niepotrzebna, zdawała sobie sprawę, że nowa sytuacja, w jakiej się znalazła, kobiety, która wkrótce stanie się rozwódką, wymaga zmiany sposobu myślenia. Będzie musiała przełamać ograniczenia, które ukształtowały jej poprzednie, nieudane życie. Próbując na nowo zdefiniować swoją osobowość, Joyce nie mogła już dłużej zakładać, że nie należy do kobiet, które chadzają na antywojenne demonstracje. Być może właśnie należy.

Demonstracje zwołano na całym świecie na 15 lutego. Miały się odbyć w Berlinie, Pradze, Seulu, Kapsztadzie, a nawet w amerykańskiej bazie naukowej na Antarktydzie. Joyce zaproponowała koleżankom i kolegom w

pracy, żeby poszli razem z nią protestować na Manhattan (nie miała już nikogo, kogo uczciwie mogłaby nazwać przyjacielem; czekała, aż Marshall się wyprowadzi, zanim podejmie jakiegokolwiek kroki, aby ten stan rzeczy zmienić), ale w ten weekend bali się korzystać z metra. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego podwyższył właśnie stan pogotowia antyterrorystycznego, ogłaszając tak zwany alarm pomarańczowy. Zalecił obywatelom zrobienie zapasów taśmy izolacyjnej i folii na wypadek ataku chemicznego lub biologicznego. Tom Ridge* wystąpił w telewizji mówiąc, że to „najpoważniejsze ostrzeżenie od czasu wrześniowego zamachu”. „Zagrożenie jest realne. Powtarzam: zagrożenie jest realne”. Wysocy urzędnicy państwowi snuli domysły, że najnowsza kasetka z nagraniem Osamy bin Ladena zawiera zaszyfrowane komunikaty dla uśpionych komórek al Ka–idy. Szef CIA George Tenet pojawił się w środku tygodnia na przesłuchaniu w Kongresie. Zeznając pod przysięgą powiedział, że „materiały z nasłuchu elektronicznego zawierają tym razem wyjątkowo dużo konkretów”.

Joyce zadzwoniła do Nathana, żeby zapytać, na ile poważnie należy traktować te ostrzeżenia, ale w słuchawce odezwał się jakiś inny mężczyzna. Miał od niego wyraźnie odmienny akcent, musiał pochodzić z któregoś ze środkowych stanów.

- Słucham – odezwał się.
- Czy to biuro Nathaniela Robbinsa?
- A kto dzwoni? – spytał szorstko.
- Koleżanka.

Nastąpiła cisza, w tle było słychać klikanie na klawiaturze.

– Joyce Harriman – powiedział, nie potrafiąc ukryć nuty triumfu w głosie. Połykając końcówki sylab oznajmił, że posiada jej adres zamieszkania (a ściślej mówiąc, numer sąsiedniego bloku), numer jej telefonu (z ukrytymi dwiema ostatnimi cyframi) oraz nazwę firmy, w której pracuje (pracowała, sześć lat temu).

– Tak? – odparła zastanawiając się, czy powinna mu zwrócić uwagę na te błędy. Szybko dodała: – Czy zastałam agenta Robbinsa?

– To chyba pomyłka.

Joyce odczytała mu na głos numer z wizytówki Nathana.

– Nikt taki tu nie pracuje – odparł stanowczo.

Teraz Joyce zamilkła, zastanawiając się przez moment nad jego sposobem wyrażania się i szorstkim zachowaniem. Brzmiał jak rasowy agent FBI, nie tak jak Nathan. Odłożyłaby słuchawkę, gdyby nie fakt, że już została zidentyfikowana. – Dodzwoniłam się do biura FBI, prawda?

– Tak. Czym mogę służyć, pani Harriman?

– Usiłuję się skontaktować z Nathanielem Robbinssem.

– W jakim celu?

– W sprawie prywatnej. To mój znajomy. Mężczyzna odezwał się po chwili chłodnym, podejrzliwym tonem:

– Tutaj nie pracuje żaden Nathaniel Robbins... pani Harriman.

– No cóż, w takim razie dziękuję panu bardzo – odpowiedziała pośpiesznie.

– A skąd pani zna Nathaniela Robbinsa?

– To przypadkowa znajomość.

– O jakim charakterze?

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi. No, właściwie znajomymi.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o sprawach Biura?
- Mówi pan o FBI?
- Proszę się dobrze zastanowić, zanim udzieli pani odpowiedzi, bo to może się stać przedmiotem federalnego śledztwa.
- Ależ skąd. FBI? Nigdy ani słowem nie wspomniał o pracy. Dziękuję bardzo. Miło było z panem porozmawiać.

Tym razem odłożyła słuchawkę i przez dłuższy czas wpatrywała się w telefon, jakby oczekując jakiejś reakcji z jego strony.

Na odwrocie wizytówki miała zapisany domowy numer Nathana, ale była zbyt zdenerwowana, żeby teraz zadzwonić. Ciekawe, czy jej nazwisko zostało właśnie wprowadzone do komputera. Kolejna porcja danych do przeanalizowania, zanim wyląduje w koszu. Teraz miała wrażenie, że jej rozmowy telefoniczne były rejestrowane i może nawet od jakiegoś czasu podsłuchiwane.

W końcu nie poszła na demonstrację, została w domu z dziećmi. Oglądali we trójkę wiadomości. Tłumy protestujących na całym świecie pokazano na ekranie w małym prostokątnym okienku, żeby zrobić miejsce dla napisu „Wojna z terroryzmem”, aktualnego komunikatu Departamentu Bezpieczeństwa oraz paska wiadomości. Trzeba było szybko przebiegać oczami po ekranie, żeby nadążyć z czytaniem – rezolucja ONZ... ruchy wojsk... zamachy terrorystyczne... – i jednocześnie śledzić obrazy pokazywane na żywo. Nie sposób było tego ogarnąć.

Kiedy wrócił Marshall, Joyce zerknęła za siebie i przez chwilę myślała, że do domu wdarł się niebezpieczny zboczeniec. Potem nie mogła oderwać oczu. Marshall był nieogolony i nieuczesany, włosy srebrzyły mu się od szronu, a spod rozpiętego płaszcza było widać sweter obsypany

zmrożonym śniegiem, który nie zdążył odtajać w windzie. Nie wrócił na noc do domu – nie, żeby ją to cokolwiek obchodziło, broń Boże – ale jednak. Wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić. Dzieci przeraziły się na widok tej zjawy, jak gdyby stanowiła zwiastun ich własnej przyszłości. Ojciec ich nawet nie widział. Chwiejąc się na nogach, poszedł do swojego pokoju, zostawiając za sobą woń wymiocin.

Wtedy, w połowie lutego, dało się wyczuć, że wojna wisi w powietrzu, a jednak mijały tygodnie, a dyplomaci wciąż spierali się na forum ONZ. Przedstawiano alternatywne plany działania, dyskutowano je, następnie odrzucano i poprawiano. Amerykańskie i brytyjskie wojska zainstalowały się przy irackiej granicy w Kuwejcie. Saddam Husajn w telewizyjnym wywiadzie z Danem Ratherem zaprzeczył, jakoby wciąż był w posiadaniu broni masowego rażenia i odciął się od jakichkolwiek związków z al Kaidą. Bush, Blair i premier Hiszpanii spotkali się na Azorach. Na całym świecie w ramach cichego, rozpaczliwego protestu, organizowano masowe czuwania przy świecach. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, obniżywszy w międzyczasie po cichu stopień alarmowy do żółtego, znów wprowadził pomarańczowy. Każdy dzień wydawał się tym ostatnim przed rozpoczęciem pierwszej bitwy, tymczasem mijał kolejny i jeszcze bardziej przybliżał nas do wojny. Pomimo wszystkich perturbacji w Radzie Bezpieczeństwa, niepowodzenia w uzyskaniu proamerykańskiej większości w głosowaniu nad drugą rezolucją, a także apeli o pokój, wystosowanych w ostatniej chwili przez papieża i innych światowych przywódców (które odrzucili Elie Wiesel i Vaclav Havel), wojna zbliżała się nieuchronnie niczym termin egzekucji. Człowiek chodził cały dniami jakiś rozkojarzony, wiedząc, że nasi chłopcy przygotowują się, by przemierzać pustynie, skakać z

samolotów, zabijać i ginąć, a tymczasem gdzieś daleko jakiś mężczyzna czy kobieta, taka sama jak my, też matka, czeka na ten wybuch przemocy, który potarga i tak już wątlą tkaninę życia, równie pogmatwanego jak nasze. Nie trzeba było nawet włączać dźwięku w telewizorze. Argumenty za i przeciw wojnie powtarzano już tyle razy, że człowiek był w stanie je odczytać z wyrazu twarzy i gestów komentatora.

Mimo że Joyce i Marshall nie dali się przekonać argumentacji rządu, oboje w duchu czekali z niecierpliwością, żeby inwazja na Irak wreszcie się rozpoczęła. Nie mogli znieść tej niekończącej się dyskusji politycznej: czy w ciągu ostatnich tygodni ktoś powiedział coś nowego? W Amerykanach odezwała się wojownicza natura. Po latach gry w kotka i myszkę ze Stanami Zjednoczonymi, Irakowi w końcu udało się rozbudzić w społeczeństwie poczucie patriotyzmu, ducha walki i przypomnieć mu, z jaką przyjemnością wykorzystuje wszelkie nowe technologie. Naród był gotów i nawet ci, którzy sprzeciwiali się wojnie, poczuli smak tej tęsknoty. Szeptali do telewizorów: „Miejmy to już z głowy”. Gdy wojna w końcu się zaczęła – niespodziewanym atakiem z powietrza na bunkier, w którym rzekomo miał się ukrywać Husajn, a potem transmitowanym na żywo nalotem na Bagdad – Marshall i Joyce odczuli wielką ulgę, oglądając to wszystko na dwóch telewizorach w tym samym mieszkaniu.

Rozwód też zbliżał się wielkimi krokami. Marshall wiedział, że sąd orzeknie na jego niekorzyść, ale nie mógł się doczekać finału. Był w takim stanie, że niewiele rzeczy mogło go zaskoczyć. Dlatego też nie zdziwił się, gdy Thorpe oznajmił beztrąsko, że będzie musiał się zrzec wszelkich praw do mieszkania, którego hipotekę spłacał przez ostatnie siedem lat. Dali mu trzydzieści dni na „opuszczenie miejsca wspólnego zamieszkania”. To

stanowczo za długo, przedział czasu na skalę kosmiczną. Marshall postanowił to zrobić w trzy.

Joyce bardzo ucieszyła perspektywa posiadania domu tylko dla siebie, przynajmniej przez chwilę, dopóki prawniczka w pełni nie wyjaśniła jej decyzji sędziego. Joyce kazała ją sobie przeczytać jeszcze raz, zdanie po zdaniu, od początku do końca, całe sześćdziesiąt stron. Kwota alimentów nałożonych na Marshalla przekraczała jego możliwości finansowe, a mimo to już było widać, że to nie wystarczy na zaspokojenie potrzeb Joyce. Pani adwokat była wniebowzięta i szczebiotała radośnie, jakby odniosła wielki triumf, istne *Brown kontra Komisja Edukacji**. Gdy Joyce delikatnie zwróciła jej uwagę, obruszyła się i odparła chłodno, że mogło się skończyć znacznie gorzej.

Marshall wynajął kawalerkę w dzielnicy Flatbush, przy ulicy, która w silnym, bezpośrednim świetle słonecznym może i nawet jest bezpieczna. Ponieważ nie miałyby czym zapłacić firmie przeprowadzkowej, wypożyczył niedużą furgonetkę i zabrał z domu tylko to, co mógł wynieść w pudłach. Wytlumaczył sobie, że zaczyna życie od nowa.

Musiał wiele razy kursować windą tam i z powrotem, i za każdym razem bez słowa wchodził do mieszkania, które teraz należało tylko do Joyce. Ona sama siedziała z dziećmi w salonie i oglądała wiadomości, które tego dnia były bardzo pomyślne. Oddziały koalicyjne wysunąwszy się w przód za linię zaopatrzenia zdobyły Bagdad prawie bez walki. Teraz armia amerykańska umacniała swoją kontrolę nad stolicą, witana przez wiwatujących Irakijczyków, zachłystujących się pierwszym oddechem wolności. Dzisiaj w centrum miasta obalono dwunastometrowy pomnik Saddama Husajna. Stacje telewizyjne pokazywały to wielokrotnie, zawsze w

zwolnionym tempie. Chociaż prezenterzy twierdzili, że amerykańscy marines dostarczyli ciężki sprzęt i liny oraz kierowali całą operacją, na filmie nie było tego widać. Wyglądało, jakby to triumfujący Irakijczycy własnymi rękami zburzyli pomnik. To był niezapomniany widok.

Marshall stanął za sofą z pudłem płyt w rękach i przez chwilę patrzył w ekran. Pomnik kołysał się na cokole, sztywne, wyciągnięte do przodu ramię Saddama drżało, a tłum w geście pogardy ciskał w niego butami. Nagle statua przechyliła się o 90 stopni, wciąż połączona prętem zbrojenio- wym z betonowym cokołem. Teraz to wyglądało tak, jakby Husajn chciał się podeprzeć przy upadku. Wisiał tak jakiś czas, po czym złamał się na wysokości kolan i runął na ulicę, roztrzaskując się na kawałki. Ludzie krzyczeli i płakali. Potem nagranie puszczono od początku.

– Nie jestem Husajnem – oświadczył Marshall. – Jeżeli to miałaś na myśli.

Widział tylko tyły ich głów. Joyce nie dała żadnego znaku, że usłyszała jego słowa.

– Ty tak uważasz! – krzyknął. – Uważasz, że to symboliczna scena, prawda? „Kolejny złoczyńca zlikwidowany”. Mam rację? Powiedz, mam rację?

Obszedł sofę dookoła i stanął na wprost telewizora. Dzieci skrzywiły się z niezadowoleniem, lecz Joyce tylko wywróciła oczy ku górze, jak gdyby szukała pomocy u sąsiadów spod 9E. Gdy wiele tygodni później Marshall przypomni sobie ten moment, zda sobie sprawę, że jej oczy były mokre od łez.

– Gdzie tu analogia! – krzyczał. – Ja nie zagazowałem tysięcy Kurdów, nie grożę nikomu bronią atomową. Jestem miłym, spokojnym

facetem. Mógłbym ci nawet udowodnić, że mam bardzo dobry charakter, wiesz? Może nie sprawdziłem się jako mąż i ojciec, ale starałem się, Joyce. Włożyłem w to małżeństwo więcej pracy niż ty. Poświęciłem więcej swoich podstawowych ludzkich praw. To ja byłem ofiarą w tym związku! Porównywanie mnie do Husajna jest potwornie niesprawiedliwe!

– Tato! – zniecierpliwiła się Viola. – Nic nie widać, zasłaniasz nam!

Pies. Dzieci straciły zainteresowanie psem, a nawet gdyby tak się nie stało, w nowym mieszkaniu Marshalla nie byłoby dla niego miejsca. Czuł się jak idiota, że w ogóle go kupił. Nakarmił go po raz ostatni i zawiózł furgonetką do parku we wschodniej części Brooklynu. Był to opustoszały, prawie pozbawiony drzew teren, po którym wałały się śmieci.

– Od dziś będziesz wolny, Snuffles – przemawiał do niego po drodze. – Już nie będziesz musiał czekać, aż ktoś cię wyprowadzi na spacer, nie będziesz musiał ciągle jeść tego samego świństwa z saszetek. Możesz się tarzać po ziemi, ile chcesz.

Ziemi i piachu było w parku pod dostatkiem, za to mało trawy. Wyglądało to trochę jak pustynia w środku miasta. Marshall zaparkował możliwie najdalej od grupki wyrostków stojących na pobliskim chodniku. Przerwali, cokolwiek tam robili (czytaj: handlowali narkotykami) i przyglądali się furgonetce.

Marshall wypuścił psa i postąpił dwa kroki, nie chcąc się za bardzo oddalać od auta. Pochylił się, odpiął smycz i pogłaskał psa po wilgotnej sierści, która trochę się skudliła pod obrozą.

– No, bracie – powiedział. – Baw się dobrze. Żyj, biegaj, ciesz się swobodą. – Snuffles naprężył się pod jego dłoń, bo zobaczył w oddali sforę psów, zanim jeszcze dostrzegł ją Marshall. Stały w przeciwległym

krańcu parku pod kępą wychudłych drzew i też go obserwowały. Snuffles wyrwał się z uchwytu swego pana tak szybko, że Marshalla aż zapiekła dłoń. Gnał wielkimi susami przez zaśmieczone pole, wolny jak nigdy. Tamte psy zaczęły ujadać na jego widok, ale kiedy do nich dotarł, wszystkie razem zniknęły wśród drzew. Snuffles nawet się nie obejrzał.

Tej nocy Marshall położył się na swym nowym łóżku, które wraz z kompletem pościeli kupił w sklepie Bed World przy Flatbush Avenue. Leżał z głową ułożoną na zbyt miękkiej poduszce i nasłuchiwał odgłosów budynku: skrzypienia, kapania, chrobotu, od czasu do czasu brzęku szkła. W pewnym momencie usłyszał serię rytmicznych, głuchych uderzeń. Nie wiedział, czy to były odgłosy kochającej się pary, czy też awantury domowej, i zastanawiał się co gorsze. Nie wyobrażał sobie, że mógłby tu zaprosić jakąkolwiek kobietę. Dlatego kupił pojedyncze łóżko. Ta kobieta, pozostająca na razie w sferze rozważań teoretycznych, o nieznanym rysach twarzy, kolorze włosów, barwie głosu czy zapachu, musiałaby dysponować własnym lokum, najlepiej na Upper East Side.

Marshall kupił też tani przenośny telewizor i śledził ostatnią fazę wojny, odbierając sygnał na zwykłej antenie. Nawet przez zakłócenia na ekranie widział tłumy tańczące na ulicach, powiewające irackie i amerykańskie flagi, ludzi, których wreszcie wypuszczono ze szpitala dla obłąkanych, choć wcale obłąkani nie byli i od początku o tym wiedzieli. „Koniec z Saddamem! Koniec!” – krzyczał młody człowiek do kamery, mocno akcentując słowa, jakby nie był pewien, czy widzowie rozumieją, co to znaczy. Nie, nie rozumieli. Na zakończenie jednego z programów pokazano materiał filmowy, na którym wąską ulicą kroczy samotnie brudny,

wychudzony żołnierz z karabinem. Na jego twarzy malowały się zmęczenie i determinacja. Niewidoczne ręce obsypywały go z góry kwiatami.

Marshall został kompletnie oszukany. Kompletnie i niespodziewanie. Ta nora, to łóżko, ten dziadowski telewizor – w życiu by nie przypuszczał, że to się tak skończy, kiedy wnosili z Joyce sprawę o rozwód. Na początku, zaraz jak tylko doszli do wniosku, że dla dobra dzieci i własnego (to naprawdę aż takie straszne, że człowiek pragnie być szczęśliwy lub chociaż w minimalnym stopniu zadowolony z życia?) będą musieli się rozstać, oboje byli pełni optymizmu. Sądzi, że rozwiodą się w sposób cywilizowany, w atmosferze szacunku i życzliwości. Marshallowi nawet nie przyszło do głowy robić jakichkolwiek wyliczeń, był pewien, że dojdą do porozumienia bez udziału adwokatów i podpiszą ugode, dzięki której być może pozostaną sąsiadami na Brooklyn Heights i będą spędzać razem święta i urodziny, wspominać rodzinne wydarzenia i przy drinku żartować sobie ponuro z szybko upływającego czasu. Z drugiej strony oczekiwał, że Joyce całkowicie zniknie z jego życia i nawet wspólną opiekę nad dziećmi zdołają zorganizować tak, że nie będzie musiał się nigdy więcej z nią spotykać. Trudno powiedzieć, jakim cudem łączył te dwie wykluczające się i razem niewykonalne wizje.

Zaledwie kilka dni po wyprowadzce Marshalla Joyce już prawie zapomniała, jak straszne były te ostatnie lata. Okres spędzony z nim przeszedł do historii. Można go będzie w każdej chwili przywołać w myślach, lecz przestał być częścią jej życia. Dziwne. Teraz jej życie jako kobiety wolnej określały nowe parametry. A więc stało się: znowu była sama.

Czasami, gdy o tym pomyślała, nogi się pod nią uginały. Innym razem, najczęściej wtedy, gdy miała dostać okres, zalewała się łzami. Rzuciła się wtedy na łóżko, brudząc świeżą pościel tuszem do rzęs. Spędziła z Marshalllem czternaście lat, większą część swego dorosłego życia. Przez te wszystkie lata, gdy narastały problemy, które w końcu doprowadziły do ich rozstania, jakoś nigdy poważnie nie wzięła pod uwagę, że jego może w tym życiu zabraknąć.

Gdyby (hipotetyczna) bliska przyjaciółka spytała ją, dlaczego rozwiedli się z Marshalllem, nie umiałaby jej odpowiedzieć. Musiałaby przywołać wszystkie przebrzmiałe argumenty i sporne kwestie, z których żadna w tej chwili nie wydawała się uzasadniać tak poważnej życiowej decyzji. A przynajmniej takiej ruiny finansowej i potwornie trudnych decyzji, które będą teraz musieli podejmować w związku z dziećmi. Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnili z Marshalllem straszliwego błędu.

Tymczasem siły koalicyjne wygrały wojnę z Irakiem nadzwyczaj szybko i sprawnie. Obecność wojska wkrótce pomogła zaprowadzić porządek w całym kraju. Konserwatywni komentatorzy telewizyjni piali z zachwytu nad klęską Husajna, a jeszcze bardziej nad porażką przeciwnych wojnie liberałów. Okazało się, że z n o w u się mylili i to tym razem w najbardziej zasadniczych kwestiach, czyli bezpieczeństwa narodowego, zdolności militarnej USA oraz moralnego obowiązku przeciwstawienia się tyranii. Joyce cieszyła się ze zwycięstwa oddziałów amerykańskich, zwłaszcza że uniknęli większych strat, lecz oglądała wiadomości w posępnym nastroju, jakby Bill O'Reilly i Ann Coulter napawali się jej porażką.

Marshall zabierał dzieci do siebie najrzadziej jak mógł i zawsze z pewną ulgą odwoził je z powrotem. Ostatnio chodził osowiały i bardzo źle wyglądał, a Joyce się zastanawiała, czy to rozwód tak na niego wpłynął. Oczywiście, że tak. Znajdowali się teraz na szczególnym etapie życia i choć żadne nie przekroczyło jeszcze czterdziestki, oboje czuli się staro. Joyce przyglądała się w lustrze swojej twarzy i widziała zmarszczki i cienie pod oczami, będące śladem ciężkich przeżyć. Kiedyś przypadkiem wpadło jej w ręce zdjęcie z podróży poślubnej na Karaiby. Stoi na nim na balkonie hotelu, za plecami ma piękną plażę, oczy jej błyszczą i nie może przestać się śmiać. Marshall przed chwilą powiedział coś zabawnego. Co? A jaka była wtedy szczupła, prawie anorektyczka.

Kryjówkę Husajna zdradzili jego kuzyni z Tikritu. Jednostka Wolnych Sił Irackich schwytala go w sadzie na obrzeżach miasta. Amerykanie zażądali przekazania go w ich ręce w celu ewentualnego postawienia przed sądem, ale uradowani Irakijczycy, którzy się tam zbiegli, odmówili. To był jeden z nielicznych aktów oporu wobec „aksamitnej okupacji”. W scenie transmitowanej na cały świat, Husajn na kolanach błagał o darowanie życia. Na miejscu zbudowano prowizoryczny podest. Setki kobiet, mężczyzn i dzieci hucznie śpiewały patriotyczne pieśni sprzed epoki Saddama, a w pewnym momencie nawet zaintonowały *Gwiazdzisty sztandar*. Chociaż nie umiały dobrze wymówić słów, wydźwięk był jednoznaczny. Łzy lały się strumieniami. Tysiące zwykłych Irakijczyków przybyły na miejsce kibicować procesowi oraz tańczyć, śpiewać i radować się wspólnie ze swymi wyzwolonymi współobywatelami. Ludzie zbierali się przed telewizorami w Nowym Jorku i New Delhi, w Teheranie, Kairze, Pekinie i Hawanie. W tych emocjonujących chwilach Wolni Irakijczycy zwołali w

sadzie sąd rewolucyjny. Młody brodaty bojownik partyzantki antysaddamowskiej z powagą odczytał werdykt. Jego przemowa, w której groźnym głosem przyrzekał śmierć terrorystom i wolność dla wszystkich, zelektryzowała tłumy. Dyktator został powieszony na gałęzi drzewa oliwnego. Zdjęcie wiszącej sylwetki zrobione przez fotografa agencji AFP szybko obiegiło cały świat i stało się symbolem. W ciągu jednego dnia przeniesiono je na miliony koszulek, które teraz będą sprzedawane i rozprowadzane we wszystkich krajach świata, w niektórych nielegalnymi kanałami.

Marshall też kupił sobie taką koszulkę i jeszcze po jednej dla dzieci. W tamtym tygodniu nosili je dosłownie wszyscy. Czuł, że to głupota kupować pamiątkowy T-shirt, kiedy żyje się na kredyt, ale po egzekucji dyktatora nawet na swoją sytuację finansową spojrzął z optymizmem. Zresztą tej wiosny cały świat był nim przesiąknięty.

– To historyczne wydarzenie – tłumaczył Violi i Victorowi, którzy na leżąc oglądali telewizor postawiony na krześle. Rano amerykańscy inspektorzy w Iraku odkryli ogromny magazyn broni atomowej, w tym załadowane głowicami rakiety średniego zasięgu. Kamera wolno przesuwiała się po podziemnych wnętrzach. Victora to nie bardzo ciekawiło, ciągle chłonał szczegóły nowego mieszkania: odrywając się tapetę z żółtawymi zaciekami, warczącą lodówkę, nisko zawieszony sufit, ten stęchły zapach, którego nie dało się wywietrzyć; koszule rozwieszane na ramie kabiny prysznicowej; kabinę prysznicową w kuchni i łapkę na myszy obok lodówki, gdzie była dziura w ścianie tak czarna, że przywodziła na myśl najstraszniejsze okropności wojny.

Nastały nowe czasy. Marshall znów był wolnym człowiekiem i miał wreszcie czas dla siebie, przynajmniej przez większość tygodnia. Właściwie co wieczór mógł sobie zadać pytanie: co też będę dzisiaj robił? Może pójdę do kina? Zjem chińszczyznę prosto z pudełka? Podrapię się po jajach? Proszę uprzejmie. Wreszcie mógł zacząć realnie myśleć o umawianiu się z innymi kobietami. Fakt, z finansami było krucho... Ale w epoce zmian może i ten reżim zostanie obalony. Tymczasem kupił sobie najdroższy model butów do biegania i modne spodenki pasujące do koszulki „Śmierć terrorystom!”. Nie musiał przygotowywać dzieci do przedszkola ani czekać, aż Joyce skończy się malować, więc co rano przed pracą uprawiał jogging. Pędził dziurawym chodnikiem wzdłuż Utica Avenue, jakby przed chwilą okradł nocny sklep z alkoholem. W liceum grał w szkolnej reprezentacji bejsbolu i już zapomniał, jaki jest szybki. Czuł lekkość w nogach, unosił wysoko kolana, a mijane po drodze okratowane witryny sklepów tylko migały mu przed oczami.

Nowa firma Marshalla, nazywająca się obecnie CeFKal i kierowana przez nowy, niesplamiony zarząd, który niedawno wprowadził nowe logo, w niczym nie nawiązujące do starego, wynajęła część ogromnego przedwojennego biurowca na dolnym Broadwayu. Próbowwała się odrodzić. Marshall również. Z zapałem angażował się w każde powierzone zadanie i wkrótce zyskał awans i podwyżkę (zmniejszyła jego comiesięczny deficyt budżetowy o jakieś 50 dolarów). Gdy tylko mógł, korzystał z wyjazdów służbowych, trochę po to, żeby uniknąć nocowania we Flatbush. Odwiedzał odległe, egzotyczne miejsca, gdzie za skomplikowanymi instrumentami ochrony wierzycieli kryły się resztki majątku firmy.

Któregoś dnia późnym popołudniem wracał z pewnego laboratorium na pustyni kalifornijskiej, rozmyślając nad tym, co tam zobaczył. W drodze z lotniska zadzwonił do Eduardo, kolegi z poprzedniej firmy, a teraz szefa jego działu w CeFKal i poprosił go o natychmiastowe spotkanie.

Gdy wszedł do biura, Eduardo oglądał akurat wiadomości na kanale MSNBC. Uśmiechnął się przepaszająco, ale wskazał na ekran, żeby pokazać Marshallowi, co go ominęło, kiedy był w drodze: dziś po trwających kilka tygodni pokojowych demonstracjach w Damaszku (policja nie chciała nikogo aresztować, a wojsko odmówiło wkroczenia do akcji) Bashar al-Assad i kilku jego ministrów uciekło z kraju. Władzę objął rząd tymczasowy i obiecał obywatelom wolność słowa, wolność zgromadzeń, nawiązanie pokojowych stosunków z sąsiadami Syrii, a jesienią wybory powszechne. Na miejskich placach i dziedzińcach meczetów zgromadziły się tłumy ludzi.

– Niesamowite, co? – powiedział Eduardo.

– Mhm – bąknął Marshall, patrząc na ten spektakl jak zahipnotyzowany. Dynamiczny amerykański korespondent, ubrany w kamizelkę kuloodporną został otoczony przez demonstrantów wymachujących syryjską flagą. „To historyczne wydarzenie!” – krzyczał do mikrofonu, po czym się roześmiał, gdy ktoś wystawił flagę amerykańską. Tłum zaczął skandować: „USA! USA!”

– Może i Bush jest głupkiem, który nie potrafi sklecić logicznego zdania, ale spójrz na to. Wow.

– No. – Marshall nie mógł oderwać oczu od ekranu. Co druga osoba w tłumie miała na sobie T-shirt z napisem „Śmierć terrorystom!”. Taki sam

jak jego, tyle że napis był po arabsku. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Assad zakazał noszenia tych koszulek.

– Co słyszeć? Jak było w Kalifornii? Marshall otworzył teczkę i wyjął plik papierów.

– Jest problem z implementacją.

Eduardo wyłączył telewizor i spojrzał na niego z uwagą. Marshall mówił o najważniejszym nowym produkcie firmy. Rzucił okiem na papiery, ale nie wziął ich do ręki.

–Jaki?

– Hm. Wyniki trzeciego etapu testów nie są jednoznaczne. Najlepiej, jak ci pokażę na przykładzie, żebyś mógł się zorientować, czy...

– Stary, powiedz wprost, o co chodzi. Nie lubię niuansów.

Eduardo dołączył do firmy tuż po jej restrukturyzacji i przejął wszystkie kompetencje kluczowe dla wyprowadzenia jej na prostą. Zdarzyło się po drodze kilka niepowodzeń. Eduardo wciąż nosił długie włosy i miał swobodny styl bycia, ale napięcie i stres zostawiły ślad na jego twarzy i manifestowały się w formie okresowych wybuchów irytacji. Na dodatek właśnie się rozstawał z żoną.

– Nie działa – powiedział Marshall. – Przynajmniej w obecnej konfiguracji.

– Przecież robiliśmy im prezentację na posiedzeniu zarządu. Byłem tam. Wszystko działało jak należy.

– W kontrolowanym środowisku. A i tak tylko przez sześćdziesiąt procent czasu. Ci goście z laboratorium uważają, że powinniśmy się na razie wstrzymać...

– Nie ma mowy – przerwał mu Eduardo. – Za późno. Szefostwo już widziało ten system, banki też. Za dwa tygodnie sprzedajemy udziały. Jeżeli teraz nie zmienimy struktury kapitałowej firmy, to koniec z nami.

– Ale jeśli nie będzie działał...

– Będzie, Marshall. Bądź dobrej myśli.

Marshall pokiwał głową, choć nie tak energicznie, jak mógłby. Eduardo ściągnął usta i przez chwilę mu się przyglądał.

– Więcej wiary, Marshall. Zaufaj ludziom, którzy codziennie wypruwają sobie żyły, żeby ta firma mogła się utrzymać na powierzchni. Przychodzą w weekendy, siedzą po nocach, nie biorą urlopów. I nie robią tego ani dla mnie, ani dla udziałowców. Oni to robią dla swoich rodzin, żeby miały co jeść. I dlatego, że są optymistami. Wierzą, że potrafimy sprostać takim wyzwaniom. To są ludzie, którzy wierzą w przyszłość. Takich nam tu potrzeba najbardziej. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście – przytaknął Marshall, teraz już z należytą gorliwością. Schował papiery do teczki, starając się odpędzić złe przeczucia. Obaj z powrotem zwrócili głowy w stronę telewizora niczym rośliny do słońca. Kamery MSNBC przeniosły się do Teheranu. Irańczycy wylegli na ulice świętować pomyślne wiadomości z Syrii. Niektóre kobiety zrzucały z siebie czadory.

Tej wiosny mało komu chciało się odchodzić od telewizora. Przystojny, wykształcony w Stanach bojownik, który schwytał Husajna, objął przywództwo tymczasowego rządu Iraku, który zyskał szerokie poparcie zarówno u szyitów, sunnitów, jak i Kurdów. Studiując na uniwersytecie Wharton, pewnie umawiał się z Żydówkami. Prawie wszystkie oddziały sił koalicyjnych opuściły Irak, żegnane przez wyma-

chujących flagami Irakijczyków, którzy ustawili się wzdłuż ulic prowadzących do lotniska w Bagdadzie. Izrael i OWP rozstrzygnęli spory terytorialne i podpisali porozumienie w sprawie podzielonej suwerenności Jerozolimy. A potem, kiedy akurat zaczynało się lato, odnaleziono Osamę bin La–dena. Siedział na brudnym dywanie w jaskini zlokalizowanej na terenach plemiennych w górzystym rejonie pogranicza iracko–afgańskiego.

– Złapali go! – wbiegła z piskiem sekretarka Eduardo. Stała na środku sali i wyrzucając ręce w górę powtórzyła: – Złapali go!

Wszyscy już wiedzieli, o kogo chodzi. Marshall i reszta kolegów z działu, wznosząc radosne okrzyki, podbiegli do okien. W oknach biurowca naprzeciwko także stali wiwatujący ludzie. Z ulicy wznosiły się okrzyki, a kierowcy i taksówkarze trąbili klaksonami.

Ludzie w biurze Marshalla z szerokimi uśmiechami na twarzach zaczęli się obejmować i przybijać sobie piątki. Młoda kobieta w zwiewnej sukience rzuciła się Marshallowi na szyję i pocałowała go. Wiedziała, że był w World Trade Center podczas wrześniowych zamachów.

– Pewnie cieszysz się jak głupi – powiedziała i odsunęła się, zostawiając na nim odcisk swego ciała. Pierwszy raz od lat pocałowała go kobieta niebędąca, powiedzmy, jego matką.

Koledzy czym prędzej wybiegli z biura, nie zabierając nawet swoich teczek. Marshall poszedł za nimi, ale gdy zobaczył tłok przy windach, wybrał schody. Tam też było tłoczno, ale wszyscy cierpliwie przesuwali się w dół, przy okazji składając sobie gratulacje i ściskając dłonie. Wyszli na Broadway. Na ulicy już zebrały się tłumy. Marshall doskonale wiedział, dokąd zmierzają.

Tym razem szli na południe, tym razem buty mieli na nogach, nie w rękę. Broadway zamknięto dla ruchu, nie było tam żadnych samochodów z wyjątkiem szpaleru wozów strażackich. Strażacy posyłali przechodniom całusy. Niektórzy płakali, trzymając w górze tabliczki ze zdjęciami poległych kolegów. Ludzie szli obok samochodów, uderzali w karoserie i wyciągali ręce, żeby dotknąć bohaterów i uścisnąć im dłonie. We wszystkich biurach niemal z każdego otwieranego okna powiewała amerykańska flaga. Ktoś zrzucił z góry papierowe konfetti, które wirowało nad głowami niczym wielobarwna śnieżycą. Maszerujący tłum z powrotem wzbijał je w powietrze.

Minęli ratusz. Szli coraz wolniej, w miarę jak ulice otaczające Strefę Zero zaczęły się zapelniać ludźmi nadchodzącymi ze wszystkich stron. Na wysokości Vesey Street skręcili w kierunku placu budowy, dotarli do Church Street i zatrzymali się na skrzyżowaniu, żeby spojrzeć na gigantyczną pustkę, wyrastającą z wielkiej dziury w ziemi aż do nieba. Ludzie zaczęli się rozpraszać i stopniowo otaczać ponadsześćhektarowy plac, przywierając do ogrodzenia z siatki.

Nad głowami krążyły helikoptery stacji telewizyjnych. Trąbiły klaksony, a ludzie, którzy przybyli do Nowego Jorku ze wszystkich zakątków globu, śpiewali amerykańskie pieśni patriotyczne. Marshall też śpiewał, *God Bless America*, *America the Beautiful*, *My Country 'Tis of Thee*, ściśnięty między kobietą ubraną w sari a wysokim mężczyzną z dreadami. Wszędzie dookoła dzieciaki z plecakami przepychały się i chichotały. One śpiewały i ci faceci w garniturach, i tamta grupka wytapirowanych kobiet na szpilkach, i ten staruszek w lotniczej kurtce, i jeszcze inny facet, i starsza pani, która przyszła tu z balkonikiem. Marshalla

ogarnęła fala silnych emocji: oczywiście poczuł ulgę, że schwymano bin Laden, ale też nagłą miłość do tego kraju, w tym momencie absolutną, bezgraniczną i szczerą. Nie zdawał sobie sprawy, że zna słowa aż tylu patriotycznych pieśni. Twarz miał mokrą od łez.

–Tata!

To był Victor, stał zaledwie kilka metrów od niego. Wyrwał się Joyce i podbiegł do ojca, obejmując go za kolana. Joyce przysła tu z obojgiem i obojgu założyła koszulki „Śmierć terrorystom!”. Dzieci w rączkach trzymały lody czekoladowe. Zaskoczona i speszona Joyce o mało się nie potknęła; Marshall już się nachylał, żeby ją złapać.

– Cześć – powiedział.

Spojrzeli po sobie, ale starali się unikać bezpośredniego kontaktu wzrokowego.

– Cześć – odparła.

– Złapali Osamę bin Laden – oznajmił Victor.

– Wiem, kochanie, to wspaniała wiadomość.

Viola podsunęła ojcu loda pod nos, żeby sobie polizał. Ludzie stali teraz w miejscu, tłum był zbyt gęsty, żeby iść dalej, zbyt gęsty, by oddzielić Marshalla i Joyce. Marshall czuł na sobie dotyk jej ciała. Było ciepłe, rozgrzane emocjami dzisiejszego dnia. Jak okiem sięgnąć, nowojorczyacy wypełniali ulice ze wszystkich stron. Stłoczone twarze i sylwetki iskrzyły się w oddali niczym łuski na skórze węża albo liście na drzewie owiewanym przez wiatr. Ich głosy niosły się echem w kanionach ulic. Obcy ludzie rzucali się sobie na szyję. Inni klepali się po plecach i ściskali za ramiona. Ktoś bębnił na bongosach. Z daleka było słychać wystrzały fajerwerków. Marshall ugryzł kawałek lodu. Popołudniowe słońce oblewało złotym

blaskiem budynki otaczające Strefę Zero. Szklane i kamienne elewacje wyglądały, jakby płonęły. Nad ogromną pustą przestrzenią w środku miasta wznosił się śpiew, na nowo budziły się nadzieje i pragnienia.

Z pobliskiego dachu zerwało się stado wróbli i swobodnie odfrunęło w błękit. Ta chwila będzie trwać wiecznie. Albo póki wszystko nie legnie w gruzach.

TTLR